ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXVIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

1897.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy **12.**

Druk ukończono d. 19 listopada 1897 r.

IDEAŁ I ŻYCIE.

W powieści [1]) naszéj, a nawet w rzeczywistém codziennêm doświadczeniu napotykamy mnóstwo fałszywych idealistów, którzy widzą przepaść między ideałem a życiem, między teoryą a praktyką. Wtórują im rzekomi praktycy, lekceważący miłośnikow ideału, jako nieobeznanych z wymaganiami życia praktycznego, jako marzycieli, do czynu niezdatnych. Najwięcéj się utarło to przeciwstawienie w świecie sztuki pędzla i dłuta. Malarz, który namaluje obrazek sympatyczny dla zwykłych filistrów, a zatém mający pokup łatwy, zamiast ciągle trudzić się nad arcydziełem wiekopomną mającém zapewnić mu sławę, jest renegatem, odszczepieńcem, podłym podchlebcą tłumów, który przez prostytucyę sztuki zadawalnia swe egoistyczne żądze i o niczém nie myśli prócz grosza. Na podobny sąd owych idealistów będzie narażony rzeźbiarz, gdy w celu własnego utrzymania, część czasu poświęcać będzie na wyrób zwyczajnych nagrobków. Gromy spadną na poetę, który talent swój użyćby zechciał na układanie płatnych ogłoszeń we wdzięczne rymy.

To przekleństwo zarobkowéj pracy nie ciąży jedynie nad artystami. Zdarza się także w pewnych kołach, że i uczony, gdy część czasu użyje na artykuły popularne dla pism codziennych lub tygodnio-

[1]) W grudniowym zeszycie „Ateneum“, nowela E. Maliszewskiego „Z życia“ wymownie ten temat przedstawiła.

wych, traci urok, jakim nauka otacza jego imię wśród naszych fałszywych idealistów. Gdybyśmy mieli wierzyć tym wzniosłym zasadom, każdy prawdziwy twórca byłby skazanym na śmierć z głodu, o ile przypadkiem nie odziedziczyłby pewnych zasobów materyalnych, zdobytych cudzą pracą.

Gdziekolwiek taki fałszywy idealizm panuje, zjawia się jako nieuchronna konsekwencya, nieufność do artystów i uczonych, lekceważenie teoryi, ślepe wychwalanie praktyki. To też godzi się śmiało wykryć błąd logiczny, z którego wysnuto teoryę ideałów całkiem niezgodnych z życiem i życia, wymagającego poświęcenia ideałów.

Zasadniczém spostrzeżeniem, z którego wyrosła bujna wegetacya fałszywego idealizmu, jest ogromna nierówność zdolności ludzkich, rażąca każdego, co bezstronnie patrzy na życie. Zdolności każdego człowieka mają niestety ciasne dosyć granice, o których często ani on sam ani jego otoczenie pojęcia jasnego nie miewa. Widać to szczególniéj w takich zajęciach bardzo specyalnych, w których można zdolności dwóch osób porównać i zmierzyć dokładnie. Typowym przykładem takiéj miary są wyższe gatunki gier, zasadzających się na wielkiéj ilości kombinacyi, np. szachy lub *Go* japońskie. Wiadomo powszechnie, że szachista pewnego rzędu, ze zdumiewającą stałością dowodzi swéj wyższości nad szachistą słabszym, i że tylko do pewnéj granicy można udoskonalić osobistą umiejętność gry w szachy. Jeśli ktoś jest szachistą pierwszorzędnym, a ktoś drugi dobrym szachistą ale drugorzędnym, to choćby ten pierwszy grał jedną partyę na rok, a ten drugi ćwiczył się ciągle i całe życie poświęcał grze w szachy, to zawsze go pierwszy pobije, oprócz wypadku chwilowéj nieuwagi lub chorobliwego osłabienia. Tylko między równymi graczami rezultat jest niepewny. Japońska gra w *Go*, mająca więcéj kombinacyi niż szachy, przedstawia jeszcze subtelniejsze stopniowanie zdolności graczy, tak dalece, że w Japonii istnieje kilkanaście stopni graczy w *Go*, i żaden z nich nie marzy nawet o wygraniu z kimś, co o dwa stopnie jest wyższy, gdy zaś wygra raz partyę z graczem o jeden stopień wyższym, to przez to zostaje uznanym za równego swemu przeciwnikowi i w hierarchii graczy postępuje o jeden stopień, co się nader rzadko ma zdarzać.

Tylko w tak ściśle ograniczonych czynnościach, jak gry mające swe raz na zawsze określone prawidła, drobne różnice zdolności mogą być praktycznie wymierzone. Gdy chodzi o bardziéj zawiłe czynności, jak np. praca literacka lub artystyczna, ścisła zupełnie miara i stopniowanie są niemożebne, ale różnice zdolności wcale nie są mniejsze i łatwo dają się spostrzedz tam, gdzie dochodzą do pewnych granic. Chętnie czytamy poezye Pola, ale nikt nie wątpi, że Mickiewicz był wię-

kszym poetą. Różnice zdolności a nawet nieskończona skala tych różnic pojawia się we wszystkich zakresach działalności ludzkiéj i ta nierówność dotkliwszą jest, niż nierówność majątkowa, tak ciężko ważąca na losach każdéj jednostki. Jeślim urodził się ubogim, mogę przynajmniéj roić sobie nadzieję, że zostanę bogatym, ale jeślim z przyrodzenia jest marnym wierszokletą, nie ma najmniejszéj iskierki nadziei, bym kiedyś mógł w tém życiu osiągnąć laury wieszczów.

Otóż, wskutek takiéj nierówności, więcéj bywa ludzi zdolnych do namalowania zwyczajnego widoczku, niż takich, co by umieli oddać na płótnie bitwę pod Grünwaldem. Ale wielki nawet artysta dla wielkiego arcydzieła potrzebuje dużo czasu i pracy, dużo myśli i wysiłków – tymczasem zaś musi żyć, i aby utrzymać się, maluje drobne obrazki, albo nawet kopje obrazów sławnych. Bo geniusze nie tylko, że nie zawsze rodzą się w rodzinach zamożnych, ale nawet bodaj częściéj trafiają się wśród ubogich, co ma także swoje przyczyny. Nędza zaś istotnie wcale nie hartuje ducha ani też nie rozwija talentu, co widać stąd, że kilka najwyższych szczebli doskonałości umysłu ludzkiego, zostało osiągniętych przez ludzi wolnych od troski o chléb powszedni, jak Platon, Kartezjusz, Leibnitz, Laplace i wielu innych.

Czy ten urodzony artysta, który maluje na sprzedaż obrazki mniéj doskonałe, zasługuje na naszą naganę i pogardę? Czy ma on zarabiać na życie nie pędzlem ale koniecznie jakiém narzędziem rzemieślniczém? Fałszywy idealista odpowié, że artysta powinien ciągle szerzyć tylko najlepszy ideał, do którego jest uzdolniony, i że malowanie pokupnych obrazków jest poniżeniem sztuki. Prawdziwy miłośnik ideału zauważy odrazu, że owe obrazki wzgardzone dlatego, że pokupne, będą się różnić w swéj doskonałości od podobnych wyrobów takiego malarza, który nic lepszego jak małe pokupne obrazki i kopje malować nie umié. Więc wielki artysta sztuki nie poniża się, malując małe obrazki dla zarobku, i dopiéro wtedy zaniecha ideałów, gdy jedynie do zarobku dążąc, nie będzie dbać o ciągłe doskonalenie swych zdolności, aby osiągnąć ową ich naturalną granicę, któréj w tém życiu przekroczyć nie zdoła. Zarobek na utrzymanie życia jest nie tylko prawem każdego ale i obowiązkiem, tak dalece, że zachodzą daleko większe wątpliwości, o ile szczęśliwie urodzeni mają prawo dążyć do ideałów, zadawalniając fizyczne potrzeby pracą cudzą. Ten wielki artysta, który część czasu poświęci na zarobek, nie potrzebuje zarzucić dążeń do odtworzenia ideału. Ale może porwany prądem, je zarzuci?— Nie, tysiąc razy nie, bo twórczość jest niezrównaną rozkoszą, a wielki artysta, jeśli jest nim istotnie, to będzie czuł nieugaszone pragnienie twórczości, i na zarobek tyle będzie pracował, ile koniecznie potrzeba.

Jeśli zaś wielkim artystą nie jest, to zostanie pożytecznym rzemieślnikiem, którym gardzić nie mamy prawa, jeśliśmy doszli już do tego stopnia rozwoju, że nie gardzimy szewcem ani adwokatem, jak gardzą chłopi geometrą.

A czy te małe obrazki, podobające się tłumom, koniecznie mają być liche?— Także nie: te tłumy nie zasługują wcale na ogólną pogardę urodzonych artystów: one mają swój gust, mniéj wybredny, mniéj doskonały, ale nie całkiem fałszywy, i one nawet odróżnią mały obrazek namalowany przez mistrza, choć nie wszystkie jego zalety ocenią. Te małe obrazki zdobiące ściany mieszczańskich salonów mają pewne znaczenie w życiu społeczeństwa, które je kupuje. Kto zechce rzecz zbadać, dojdzie do wyjaśnienia owego znaczenia i owéj skromnéj roli zwyczajnych obrazków, a litografii. Nie ma muru chińskiego między najdoskonalszém dziełem sztuki a najpospolitszemi jéj objawami, choć są nieskończone stopnie doskonałości każdego obrazu. Wszystkie jednak one są wywołane dążeniem tém samém, dążeniem do piękna, którego niższe szczeble są tak niezbędne jak najwyższe.

Wyobraźmy sobie, że wielki poeta urodził się w nędzy i z nędzą walcząc wyrósł. Ofiarują mu przyzwoite honoraryum za wiersze, reklamujące jakiś przedmiot pożyteczny i dobry, albo za powinszowania na imieniny, albo za okolicznościowe rymy, przedstawiające jakieś lokalnéj doniosłości zdarzenie. Czy ma się oburzyć, odmówić, i raczéj zarabiać przepisywaniem rękopisów? Czy nie lepiéj, żeby użył swego talentu na zaspokojenie zupełnie usprawiedliwionych i słusznych potrzeb bliźnich, wywdzięczających się za tę usługę środkami utrzymania dla biednego wieszcza? Tutaj zachodzi różnica, częstokroć nieuwzględniana a stanowiąca o moralnym charakterze podobnych zastosowań zdolności artystycznych. Wiersze pisane na obstalunek mogą być treści moralnie obojętnéj lub też moralnie nagannéj. Jeśli mi każą ułożyć reklamę dla jakiegoś produktu przemysłowego, to oczywiście za treść odpowiada ten co reklamę ogłasza nie jéj autor. W pewnych tylko wypadkach można odrazu ocenić, że reklama jest fałszywą, np. gdyby wynalazca jakiegoś lekarstwa głosił, że leczy niém wszystkie choroby. Ale o ile fałsz nie jest oczywistym, moralną zasadą jest przypuszczać dobrą wiarę. Więc poeta, któryby wyraził w rymach pięknie dobranych zalety pewnego gatunku welocypedu lub peruki, wcale by nie miał się czego wstydzić, témbardziéj, że nikt by od niego nie żądał, aby taki utwór opatrzył swym podpisem autorskim. Zaś sam fakt ogłaszania jakichkolwiek produktów nagannym być nie może, choć się np. pewnym lekarzom wydaje, że ubliża reputacyi ich młod-

szych kolegów, gdy ogłoszą studya jakie odbyli, lub wysokość honoraryów, jakich wymagają.

Więc nie ma żadnéj racyi winić poetę za to, że wiersze pisze dla kuryerów i w ten sposób zarabia sobie na utrzymanie zamiast męczyć się rzemiosłem, do którego jest mniéj zdolny. Przepaści między rzemiosłem a sztuką nie ma, i prosty okaz sztuki stolarskiéj może być odrobiony artystycznie. Najzwyczajniejsze czynności, jak np. palenie w piecu, mogą być wykonane z bardzo nierówną doskonałością, i uczony chemik może piękniéj napalić w piecu niż stróż, który mu usługuje, jeśli się zastanawiał nad sposobami wykonania téj czynności z minimalnym wydatkiem czasu i zapałek.

Stosowanie zasady fałszywego idealizmu, według którego każdy człowiek miałby przez całe życie tylko wykonywać najdoskonalszą czynność, do któréj jest zdolny, prowadzi do szczególnych konsekwencyi na polu naukowém. Ideał uczonego jest zdobywanie nowych prawd i najzwięźlejsze ich wyrażanie dla bardzo szczupłego zwykle grona tych, co je zrozumiéć mogą. W sferach wysokiéj abstrakcyi matematycznéj np., prawdy te czasami zaledwie dla kilkunastu osób na całéj ziemi są dostępne, co jednak wcale nie zmniejsza ich doniosłości. Także i w zakresie badań historycznych pewne nowe prawdy, ze względu na zawiłość ich udowodnienia, są przeznaczone dla bardzo nie wielu czytelników, jak np. nader ważne prawdy z zakresu historyi początków logiki. Człowiek uzdolniony do odkrywania takich prawd, na popularne podręczniki logiki mógłby spoglądać z takiém samém lekceważeniem, jak wielki artysta malarz na obrazki sprzedawane na jarmarkach.

Istotnie téż szkolne podręczniki prawie nigdy nie bywają pisane przez prawdziwych uczonych. A jednak gdyby państwo, albo jaki pomysłowy wydawca zaproponował wielkiemu filozofowi napisanie logicznych pogawędek dla dzieci, czy ów filozof potrzebowałby się wstydzić wykonywując obstalunek? Czy napisana przezeń logika szkolna nie byłaby lepsza niż podręczniki logiki używane w szkołach galicyjskich? Najlepsze elementarne podręczniki logiki są dziełem ludzi, którzy także w zakresie oryginalnych badań nad logiką się odznaczyli, jak Stanley Jevons lub Trendelenburg. Autorowie mieli z niezliczonych wydań tych doskonałych podręczników, nie mających naukowéj doniosłości, znaczne zyski—czy mamy ich winić o pogoń za mamoną, o cześć dla złotego cielca? Czy wśród wszystkich ludzi tylko artyści i uczeni mają być pozbawieni zarobku w swoim fachu? Bo jeśli wyjątkowo zdolny uczony ma tylko rozwijać naukę, to oczywiście i w nau-

czaniu żadnego udziału nie przyjmie, pozostawi katedry uniwersyteckie pospolitym przeżuwaczom, którzy sami nic nowego nie wymyślili.

A najdoskonalsza praca, najlepszy produkt najrzadszych zdolności, nigdy ceny żadnéj na rynku wszechświata nie ma, bo będąc oryginalnym i nowym, jeszcze nie może odrazu znaléźć znawców. Więc powszedni chléb tylko powszednią pracą zarobić można. Czasem nawet ta powszednia praca, jeśli ją wykona wielki mistrz, jest tylko na pozór powszednią, zaś w gruncie rzeczy arcydziełem, które zostanie ocenioném dopiéro przez następne pokolenia: ale płacą za nią, jako za powszednią. Człowiek, mający niezwykłe zdolności pedagogiczne, pobiéra jako nauczyciel prywatny tyleż mniéj więcéj co zwykły korepetytor, bo któż te niezwykłe zdolności oceni? Uczony pierwszorzędny, jeśli niezależnością charakteru nie narazi sobie tych, którzy mianują profesorów, pozyska najwyżéj katedrę uniwersytecką, na któréj będzie zarabiać mniéj niż *commis voyageur* poważnéj fabryki wyrobów bawełnianych. Polega to po prostu na tém, że dotąd ogół nie przywykł oceniać różnic pracy zwyczajnéj, wykonanéj przez człowieka wielkich zdolności. od téjże pracy zwyczajnéj, przez zwyczajnego rzemieślnika odrobionéj. W takich zajęciach, gdzie skutek jest oczywisty natychmiast, jak np. leczenie, ta różnica oceny oddawna się wyrobiła i publiczność jest wyrozumiałą dla profesorów, zarabiających majątki praktyką prywatną, choć i oni więcéj zbaczają czasem z drogi swych ideałów, niż by to uczynił poeta rymujący reklamy. Więc wszelkie odgradzanie ideałów, chowanie ich w inspektach o odrębnéj atmosferze, aby nie zwichnęły się w zetknięciu z życiem, jest uprzedzeniem szkodliwego, fałszywego idealizmu, nie pojmującego, że nawet w najskromniejszéj działalności ludzkiéj może tkwić dążenie do doskonałości.

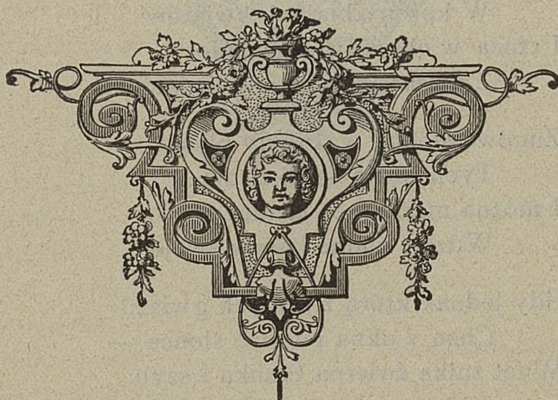
Prawdziwy ideał przyświeca i w powszedniéj pracy, a nawet wykonanie arcydzieła jakiegokolwiek w sztukach pięknych lub naukach wymaga zawsze prócz genialnego pomysłu — wytrwałéj cierpliwości i mozolnéj uwagi, skierowanéj na najdrobniejsze szczegóły, cierpliwości i uwagi, nie różniących się jako stany psychologiczne zasadniczo od tego usposobienia, które jest niezbędnym warunkiem zrobienia dobréj pary butów. Najlepszy szewc warszawski w zakresie swego fachu może być lepszym artystą, niż niejeden poczytny powieściopisarz, choć posiada inny kierunek zdolności. Zamiłowanie do doskonałego wykonania każdéj najpospolitszéj pracy cechuje prawdziwego idealistę, wcielającego ideały swoje w życie i nie widzącego rozdźwięku między ideałem a życiem, między teoryą a praktyką.

Bezmyślne głupstwo, które utarło się przez częste powtarzanie, głosi, że inaczéj w teoryi a inaczéj w praktyce; ale prawdziwa teorya

zwycięża zawsze i w praktyce. Zarozumiałe pseudo doświadczenie twierdzi: że z ideałami trzeba się pożegnać w praktyce: ale prawdziwa filozofia w i é, że ideały nabierają istotnéj wartości moralnéj dopiéro wtedy, gdy śmiało są stosowane do życia. Życie zaś ludzkie, ludzkiém jest a nawet boskiém, gdy mu przyświeca nieśmiertelna piękność ideału. Niezliczone przykłady dowiodły, że nawet to najwięcéj namacalne z materyalnych powodzeń, zdobycie bogactwa, może być osiągnięte w sposób idealny, wzbogacając innych i podnosząc poziom tych, co się dostaną pod wpływ genialnego organizatora pracy, czyli twórcy bogactw.

Więc nikt wśród ludzi, nawet najpraktyczniejszy praktyk, nawet urzędnik niższego stopnia lub redaktor pisma codziennego, nie ma potrzeby wyrzekać się tego wspólnego dziedzictwa przekazanego nam przez najszlachetniejszych naszych współwygnańców w życiu na naszéj niedojrzałéj planecie—ideałów ludzkości. Ideały nie są przywilejem wieszczów, artystów, mędrców—są one wspólną własnością całych narodów. Nie wystarcza wierzyć w ich odległą i niedościgłą piękność, trzeba ich potęgę szerzyć wśród walk życia codziennego.

W. Lutosławski.



Z poezyi M-me Alphonse-Daudet.

(Julia Allard).

MYŚLI ZIMOWE.

Srebrzyste gwiazdy wplata szron
W korony białych kwiatów
I rzuca w okno kwiatów splot
Z nieznanych jakichś światów...

Zimowe słońce w dziwny blask
Tych roślin stroi zwoje...
I można marzyć, że to maj,
Wdział cudne barwy swoje...

Gdy jednak którą z jasnych gwiazd
Chce z okna porwać słońce —
Wnet znika świetna tkanka z szyb:
Jéj barwy bledną lśniące.

Gorętszy promień zmienia wnet
Te hafty — w krople wody...
Z matowych okien spływa deszcz;
Zniknęły już ogrody...

I widać wtedy siwe mgły,
Zimowe, ciemne chmury...
I melancholii słychać lot,
Jak na nas leci zgóry...

Tak często dusza sobie tka
Srebrzyste z gwiazd zasłony...
Przysłania potém niemi świat,
W cudowny raj zmieniony...

A w tém oświeci nagły błysk,
Czém rzeczywistość jest blada...
Marzenie pierzcha... zimna łza
Ze smutnych oczu pada.

Tłómaczyła *Maryla Z.*



Z historyi dnia wczorajszego.



I.

Jeśli od wypadków z końca wieku XVIII przeniesiemy się myślą na wypadki z końca wieku XIX-go, widok, jaki się odsłoni w zakresie stosunków Rosyi z Francyą, odmienne już całkiem mieć będzie zabarwienie; nie spostrzeżemy na obrazie ani jednéj z plam czerwonych, jakiemi Panin i Repnin w raportach z Berlina nękali strapioną wyobraźnię cesarza Pawła I-go, wystawiając niestosowność bratania się z „krwiożerczém", „chamskiém" widmem Rewolucyi [1]). Świat znacznie się ucywilizował od owéj daty i trzecia Rzeczpospolita, w osobie swojego prezydenta Faure'a, bynajmniéj nie przypominała dziś nad Newą pierwszéj, robespierre'owskiéj i dantońskiéj. Przybyły wprawdzie kłopoty nowe, nie znane dawniéj, stąd głównie płynące, że z maluczkich i skromnych Prus urosły ogromne i chełpliwe Niemcy, rzucające cień długi i gruby na najbliższe otoczenie. Ale, choć się mrok zwiększył, choć urosły obawy, to przecież pomnożyły się zarazem i światła oryentujące; ostrzegają one przed zasadzkami, w które się w ciągu wieku niejednokrotnie wpadało, wskazują zdaleka niebezpieczeństwa, które niegdyś omackiem i szczęśliwym tylko trafem się omijało. Żeby się przekonać, jak rzeczywiście bogaty zasób wskazówek w okresie lat stu

[1]) Zob. „Ateneum", zeszyt majowy 1897, str. 320—339.

pozostawiły dzieje obu lądowych krańców europejskich, dość rzucić okiem na jedno panowanie cesarza Mikołaja I—ostatnie z tych, które z powodu względnéj swéj od nas odległości, dokładniéj nieco zbadane zostało na podstawie źródeł dyplomatycznych.

Mamy tedy nasamprzód — serdeczną zażyłość Rosyi z Francyą w ciągu pierwszych lat po wstąpieniu na tron Mikołaja I, jako wyraz zgodności zachowawczych zasad nowego monarchy z ultra konserwatywnemi widokami Karola X. Daléj idą: gotowość Francyi do wspólnéj akcyi z Rosyą w wojnie tureckiéj 1828 — 29, na wypadek, gdyby Austrya tamować zamierzała postęp oręża rosyjskiego pod Bałkanami; plan rozbioru Turcyi i nowego terytoryalnego podziału Europy przesłany do Petersburga przez ministra Polignac'a a niewykonany jedynie z powodu wzbierającéj na zachodzie fali rewolucyjnéj i podpisanego już wówczas (14 września 1829) traktatu adryanopolskiego; wygórowane wstecznictwo Karola X-go i gabinetu Polignac'a, potępione przez samego cesarza Mikołaja (w Londynie, w r. 1844, w rozmowie z lordem Aberdeenem); wreszcie lipcowy przewrót 1830 r. w Paryżu, niechęć dworu petersburskiego do Orleanów, zerwanie stosunków dyplomatycznych z powodu przyjęcia przez Ludwika Filipa tytułu królewskiego i zamiar przymusowego wydalenia z Petersburga poselstwa francuskiego. Chwilowa zgoda następuje dopiéro wobec powstania w Belgii, ale i ona pęka niebawem jak bańka mydlana i skrapla się na ostre nieporozumienie z powodu listopadowych wypadków w Warszawie. Próba wspólnéj interwencyi Francyi i Anglii nad Wisłą, chybiona wskutek takich samych w r. 1831 zabiegów Metternicha, jakich w r. 1863 użył Bismark ku największéj chwale swojéj i nieśmiertelnemu pożytkowi króla pruskiego, — głośny okrzyk Sebastianiego, rozgłośniejsza jeszcze mowa Thiersa w izbie deputowanych,—niby programat i kamień węgielny przyszłéj, dalekiéj, republikańskiéj polityki Francyi na wschodzie słowiańskim, oraz pojednawcza, nadskakująca instrukcya księcia Brogliego nowemu posłowi Francyi w Petersburgu, marszałkowi Maison'owi,—powodują warunkowe przebaczenie cesarza Mikołaja. Ale oto znowu zaraz następuje nagły wybuch gniewu i niezadowolenia z powodu różnicy w poglądach na sprawę wschodnią. Rozkaz nie wpuszczania członków ambasady francuskiéj na salę przyjęć w pałacu Zimowym w dniu imienin cesarza, wyjazd posła rosyjskiego z Paryża, zmiana gabinetu we Francyi i szereg daremnych usiłowań Guizot'a w celu zbliżenia się do Rosyi i przejednania cesarza, powodują nareszcie łaskawe pośrednictwo Metternicha i zgodzenie się Rosyi na wspólny podpis z Francyą w sprawie przytłumienia zawichrzeń w Szwajcaryi, zwiastujących nowy rewolucyjny kataklizm w Europie... Lutowy

1848 r. przewrót w Paryżu, ucieczka Ludwika Filipa, obwołanie drugiéj Rzeczypospolitéj i dziwne napozór z tego powodu słowa historyografa rosyjskiego, że „cesarz Mikołaj chętniéj, skwapliwiéj, rzetelniéj godzić się mógł z radykałami téj maści np. co Lamartine lub Ledru-Rollin, niźli z mieszańcami i mieszczuchami konstytucyonalizmu orleańskiego..." — to są wszystko fakta w najwyższym stopniu znamienne, pouczające; mówią one wiele, bardzo wiele, — i kto wié, czy w danym razie nie zawiele...

Tak jest,—za wiele. Nie trzeba bowiem mniemać, że całkowite i dokładne zbadanie przedmiotu, że wszechstronna i szczegółowa świadomość położenia zawsze i wszędzie stanowi dobro bezwzględne, sprowadza skutki wyłącznie pożądane i pomyślne. „Wiedzieć — to tyle co przewidzieć"; w dziedzinie zaś zagadnień społecznych i politycznych przewidywanie zjawisk spełnić się mających lub mogących, na podstawie spełnionych, zamiast ułatwiać i prostować drogi wyjścia i dojścia, obarcza samą podróż i samo zdecydowanie się na nią takim bagażem, baczenia na wszystkich, oglądania się na wszystko, że zwęża to w nas, ogranicza i mitręży ruch wszelki, wszelką inicyatywę czynną. Trudność wyboru środków zaciemnia i gmatwa cele, z których donioślejsze i większe ustępują przed bliższemi i mniejszemi, a te, na morzu skrupułów bez końca, więzną i utykają najzwykléj na mieliznach formalistyki jałowéj. Jednostki i narody, zanadto doświadczone, we wszechstronną naukę przeszłości zasobne, niezmiernie skłonne są albo do tycia na miejscu, w inercyi, albo téż ilekroć po wielu rozwagach i namysłach odważą się wystąpić na próg przyszłości, wystąpią zawsze w tak sutym rynsztunku, że przypomną komicznego owego bohatéra Jana Pawła Rychtera, co wybierając się na przechadzkę, zabierał z sobą parasol nie tyle w przewidywaniu słoty i deszczu, ile w zamiarze uchronienia się na słońcu od widoku własnego cienia...

Zdaje się, że Francya ostatniéj doby taki właśnie parasol sobie sprawiła. Ogarnęła ją jakaś ociężałość ołowiana, jakaś bezmierna troska o poprawność swéj postawy i kroków, granicząca z bojaźnią o pokazanie światu, że była kiedykolwiek sobą, że tworzyła awangardę pochodu ludzkości, wskazywała i torowała gościńce oświaty i cywilizacyi. Udomowienie jéj życia publicznego, okryły najwyższe nawet ściany i dachy narodowego jéj życia proszkiem jakiéjś szaréj, powszedniéj, nużącéj jednostajności; pomimo częstego przebierania w prezydenturach ze sfer najróżnorodniejszych (naukowo dyplomatycznéj za Thiersa, żołniersko-reakcyjnéj za Mac-Mahona, adwokacko-parlamentarnéj za Grevy'ego, tradycyjno rewolucyjnéj za Carnot'a, liberalno-mieszczań-

skiéj za Casimir-Perier'a, przedsiębiorczo-przemysłowéj za Faure'a), monotonna ta zajękliwość Rzeczypospolitéj zmienić gotowa dotychczasowy sens przysłowia: *plus cela change, plus cela la même chose*. Przypowieść — z brudno-białéj stać się może wyblakle-czerwoną. Krótkotrwałość monarchicznych rządów we Francyi, gdzie, od r. 1815, w ciągu nie spełna lat 55 przesunęło się czterech panujących, przybiera niemal skostniałą powagę wydłużonych dynastyi faraońskich w stosunku do przeobrażeń republikanizmu francuskiego, który w dwójnasób krótszym okresie lat 25 zużył sześć czy siedm etykietek prezydyalnych (thiersowską liczyć można podwójnie, a nawet potrójnie). Zapewne, o dwóch ostatnich, jako zbyt świeżych, historya zachować musi pełne zastrzeżeń milczenie; ale też i o czterech pierwszych nic tak bardzo wydatnego nie ma do nadmienienia. Ukazanie się i zniknięcie ich na widowni wygląda zaledwie jak okręcenie się w kółko migotliwych światełek „obietnicy ciągle odraczanéj" (według trafnego określenia prof. Ernesta Lavisse'a). Płaszczyzna zdarzeń szybko i sypko po sobie następujących wzdłuż czteropiętrowéj téj epopei prezydyalnéj nie przedstawia, w rzeczy saméj, ani dziesiątéj części tego urozmaicenia, téj niezwykle barwnéj, a prawie zawsze doniosłéj, szeroko rozbrzmiewającéj ruchliwości zasad, kierunków, zajść, zatargów, form działalności umysłowéj, towarzyskiéj i prawno-politycznéj, jakiemi w pierwszéj połowie wieku XIX zapisały się burzliwe, zaciekawienie powszechne budzące i każda na swój sposób głęboko wpływowe monarchie: legitymistyczno-restauracyjna, konstytucyjno burbońska, liberalno-kupiecka, cezaro-demokratyczna. Hypotezy co do powodów cichéj, miałkiéj, pleśnią w wielu miejscach zachodzącéj zastałości wód trzeciéj Rzeczypospolitéj, mogą być liczne i na uwagę zasługiwać; między innemi jest wielce prawdopodobném i to, że nizki poziom lat 1871—90 spowodowany został nadmierną obfitością wód 1793 i 1848. W każdym razie niewątpliwą jest rzeczą, że wyraźniejsza nieco charakterystyka czterech z rzędu naczelników państwa i odpowiadających im trybów rządowych nad wyraz jest trudna do uchwycenia i zaznaczenia wskutek nikłéj pod względem rezultatów, a tylko pod względem wróżb i zapowiedzi hucznéj ogólnéj przędzy żywota i wypadków we Francyi tegoczesnéj.

Skromna, niemal potulna na zewnątrz, kompromisami stronnictw podtrzymująca wewnątrz chwiejny i wiotki zarys republikańskiéj swéj budowy za Thiersa, zamaszyście lecz bezsilnie reakcyjna i pompatyczna za Mac-Mahona, Francya pochyla się za Grevy'ego ku śliskim spadzistościom praktyk bulanżystowskich i wilsonowskich, w których i po za któremi nie było już—zdawało się—dla niéj godziwego ocale-

nia. Dopiéro za Carnot'a, po skąpaniu instytucyi republikańskich w ucztach kronsztackich i fajerwerkach portsmouckich, naród francuski stanął jakby na nieco twardszym, pewniejszym gruncie. Atoli, nawet po należytém i wielokrotnie ponowioném zaświadczeniu postronném, że Francya wybrnęła nareszcie z zabagnień pogromowych 1870—71 r., rydwan przeznaczeń kraju nie przestał trząść się i przechylać złowrogo na obie strony pod natarciem raz po raz wznawiających się alarmów pogranicznych, ościennych, — a kołatał się i skrzypiał aż do chwili zniknięcia z horyzontu ponuréj, nienawistnéj sylwetki pierwszego kanclerza Niemiec zjednoczonych; z tego względu dzieje Francyi od r. 1875 do 1892 stanowią jakby jedną długą, przykrą i nawet wprost niekiedy wstrętną bismarkiadę...

Szczegół godny zastanowienia. W tym cyklu zgrzytań i biadań jeremiaszowych, najmarniej, najsmutniéj prezentują się rządy „najuczciwszego osobiście" prezydenta Rzeczypospolitéj—Grevy'ego. „Waszyngtonowi francuskiemu" niepodobna, zaiste, odmówić zalet cennych; nie podobna nie złożyć hołdu przymiotom jego indywidualnym: nie zachwianéj stałości przekonań, skromności i powadze pożycia prywatnego, czujnéj, do fetyszyzmu posuniętéj obserwacyi form i obyczajów parlamentarnych... Ale, cóż z tego, skoro w najściślejszém właśnie przestrzeganiu świąt, obchodów, pacierzów i godzinek konstytucyjnych, zamknął Grevy całą ambicyę najwyższego dostojnika państwa i dobrego obywatela kraju. Dowiedzioném zostało, że niedelikatne sprawy jego zięcia Wilsona nie dotknęły się go wcale; milczał, bo domowych goryczy nie chciał roztaczać przed światem, przez ustąpienie zaś z wysokiego stanowiska, wśród ujadań i niebezpiecznéj gry stronnictw, spłacił w zupełności „honorowe" długi swojego domu i najbliższych. Są to wszakże przygody nie wpływające na ogólne tło i koloryt zawodu publicznego. Z niemi czy bez nich powstać mogło słuszne pytanie: czy trochę więcéj dzielności i rzutkości ze strony uczciwego zwierzchnika państwa nie byłoby zapobiegło wielu zboczeniom i błędom, na które polityka ojczysta za dni Grevy'ego narażoną została i których następca jego, Carnot, stał się tylko jakby spadkobiercą niewłasnowolnym—a w końcu i ofiarą... Niesłychany wzrost (za Grevy'ego rozmaitych związków konspiracyjnych, sprzysiężeń socyalistycznych, lig patryotycznych, należy niezaprzeczenie zaliczyć do szkopułów politycznych, podziśdzień jeszcze potężnie oddziaływających na mniéj więcéj uciążliwe i upokarzające zwroty i obroty sterników francuskiéj nawy państwowéj. Gdyby można było w jedno orzeczenie ująć zjawisko tak płytko a szeroko rozpłynięte, jak dziewięcioletnie blisko (1879—1887)

kierownictwo sprawami dzielnego i bogatego zawsze, tylko trochę wylęknionego i strapionego narodu, możnaby o Grevy'm powiedzieć zwięzłemi słowami jednego z najcelniejszych publicystów tegoczesnych: „Utrwalił byt Rzeczypospolitéj, przygotował mocne dla niéj oparcie międzynarodowe, ale się nie wiele przyczynił do jéj podniesienia i uzacnienia... Moralnie poziom życia pod jego chłodném okiem i bezstronną pieczą obniżył się nawet poniekąd. Cenna i zbawienna gdzieindziéj, w innych okolicznościach, zasada nieinterwencyi władzy, przyczyniła się tylko w rozbitém i rozjątrzoném społeczeństwie do wydobycia z jego głębi sił grubych, żywiołowych, najlichszéj wartości cywilizacyjnéj..."

II.

Powstanie pewnych szczególnych prądów wymaga też pewnych szczególnych okoliczności, byt ich warunkujących. Niczego więcéj nad to, czém Francyę obdarzyć mógł Grevy, Francya od niego nie potrzebowała. Byle stał na uboczu, byle się do niczego nie mieszał,—przymierze niezbędne, przymierze „opatrznościowe",—tak samo jak przed czterdziestu laty Italia—*fara da se*. Gdyby do dzieła zabrali się byli mężowie stanu, biegli i wyćwiczeni doktorowie prawa narodów, hofraci opatrzeni pełnomocnictwami opartemi na instrukcyach tajnych,— zbiory Angebergów i Martensów zbogaciłyby się niechybnie o jeden jeszcze dokument dodatkowy do tylu innych, które zanim się dostały na pastwę molów, stoczyła logika faktów; prawnukowie nasi na niewdzięcznem polu publicystyki dyplomatycznéj pozyskaliby jakąś oświeżoną z czasów kongresu paryskiego notę protokularną, jakiś przystosowany do miary czasów dyaryusz z epoki zjazdu sztutgarckiego, — ale pokolenia współczesne ani iluminacyi tulońskich nie mogłyby były oglądać, ani też nie słyszałyby wiwatów szerburskich. Tymczasem, wobec rezultatu niemożliwego chwilowo do osiągnięcia w drodze rokowań urzędowych, wobec drażliwości postronnych (w Niemczech głównie, w Anglii, częściowo w Austryi), czyhających na każdy śmielszy krok lub nawet gest tylko osób u steru stojących, — bierność rządów i neutralne na oko zachowanie się Grevy'ego, stały się najbezpieczniejszym puklerzem, najskuteczniejszém narzędziem agitacyi czynnéj,—téj agitacyi szerokiéj, wszędzie obecnéj, nigdzie nie odpowiedzialnéj, którą wydobyć z pod łupiny formalistyki skrępowanéj i krępującéj zdolną była jedynie inicyatywa prywatna, energia jednostek, poparcie tłumów bezimiennych. W ten tylko sposob, obok władz w danéj sprawie nominalnych, wytworzyć się we Francyi mogła faktyczna władza

opinii publicznéj, działająca w kierunku zamierzonym, domyślnie od góry tolerowanym. I było już wtedy rzeczą zupełnie podrzędną, kto mianowicie nad tą rozkołysaną falą komendę obejmie, kto na nią wsiądzie i sztandar żeglugi ujmie w swe dłonie. Na czoło narodu wysunęła się kobiéta, któréj płomienna nienawiść ku „tradycyjnemu wrogowi” — Niemcom, wylewająca się w potokach złorzeczeń, niczém nie miarkowanych, nerwowych, histerycznych niemal, dała na razie powód do drwin i uwag uszczypliwych zarówno w Berlinie, jak w Paryżu i Petersburgu (artykuły „Now. Wr.”), — ale która, bądź co bądź, zrobiła swoje, postawiła na swojém, zniewalając poważniejsze nawet pióra współrodacze do wyznania w końcu, że „odegrała rolę drugiéj, nowoczesnéj, okolicznościami wywołanéj Joanny d'Arc.” Olbrzymi materyał jéj odezw, listów, broszur, wspomnień, opisów podróży etc. z okresu lat siedmiu poprzedzających manifestacye kronsztackie i peterhofkie, nabrał dziś, z konieczności saméj sytuacyi i powodzenia głównéj misyi, tegoż samego znaczenia, téj saméj wagi, jaką w innych epokach posiadają noty dyplomatyczne, relacye poselskie, deklaracye gabinetowe. Dyplomacya to *sui generis* — nie wybredna, nie głęboka, nie zagadkowa — amerykańska, trzaskająca jak z bicza, w pełni słowa „ze schyłku naszego stulecia.”

Nie mamy pod ręką szczegółowego życiorysu pani Adam (Julietty Lambert). Dziewczę ubogie, artystka podobno z powołania, oddaje rękę staremu, bogatemu finansiście, deputowanemu, szczeremu i gorącemu patryocie, który przed zgonem zapisuje jéj całą swą fortunę z wyraźném zastrzeżeniem, że użytą zostanie przeważnie na cele odwetu za rok 1870. Młoda wdówka, po kilku ewolucyach dokoła osoby Leona Gambetty, — jeszcze przed tragicznym i zagadkowym zgonem „nieodzownego dyktatora Francyi” i najniezawodniéj z jego upoważnienia, zawiązuje stosunki z wpływowemi osobistościami w Rosyi, mając głównie na widoku najwybitniejszą z nich, najbardziéj wpływową, cieszącą się czas jakiś popularnością niezmierną, a z wielu względów zasłużoną; mówimy—oczywiście—o generale Skobielewie.

Wiadomość o pierwszém widzeniu się pani Adam z „białym generałem”, jak sławna propagatorka stale Skobielewa nazywa w swych pismach, dostała się do roczników kończącego się naszego stulecia pod postacią rzadkiego dziś memoryału, ogłoszonego w Paryżu w r. 1886. Spotkanie nastąpiło w początkach stycznia 1882 r. w Petersburgu, w hotelu Europejskim, w którym się pani Adam zatrzymała po przybyciu do stolicy nadnewskiéj. „W chwili—opowiada interlokutorka—gdy generał wchodził do salonu, zajmowanego przeze mnie, opuszczały go pani Giers z córką. Mijając się z wchodzącym, damy te, uderzone

wspaniałą postawą gościa, spytały półgłosem: — „Kto to?"... — „Jakto? nie znacie go panie? — To Skobielew." Po odprowadzeniu pań, gospodyni zbliżyła się do generała, którego również widziała po raz pierwszy (imię jego odczytała tylko co z kartki wizytowéj) i wyciągnęła doń dłonie. „Spojrzeliśmy na siebie z wyraźną intencyą oszczędzenia sobie nawzajem utartych komplementów"... Idzie daléj opis powierzchowności Skobielewa, skréślony ręką kobiéty widocznie zachwyconéj: „Głowa niezmiernie piękna, twarz niesłychanie wyrazista, dumna i delikatna, oczy lazurowe przepyszne, głos nadzwyczaj urozmaicony, klarowny, brzmiący raz słodyczą nieskończenie harmonijną, to znów donośnie i dźwięcznie jak trąbka bojowa"... Pani Adam literalnie zapewnia, że tylko dwóch równie urodziwych mężczyzn widziała w swém życiu: pierwszym — naturalnie — był Gambetta; o nieboszczyku mężu, sędziwym doktrynerze republikańskim, nie ma wzmianki. Skądinąd, ręczyć można, że w danym wypadku entuzyazm dla osoby Skobielewa był najzupełnéj natury platonicznéj. W roku 1882-im pani Adam była już osobą poważną, nie w zaraniu młodocianego wieku i pod względem doskonałości fizycznéj trochę słotami życia przyćmioną. Prerafaeliczne jéj uczucia dla Skobielewa były osobiście bezinteresowne, płynęły z krain—rzecby prawie można — historyozofii metafizycznéj. Przemawiała z nich miłość — to pewna, lecz „miłość zbiorowa, ogólna, plemienna", sącząca się z zaognionego uprzedzenia do Niemiec i do Niemców. Sama pani Adam najformalniéj, po razy kilka zapewnia, że smółki swego uwiebienia palone przed ołtarzem zwycięzcy z pod Geog-Tepe i Plewny „zbiérała w lesie tegoczesnych stosunków politycznych, na gruncie klęsk i upokorzenia Francyi z roku 1870-go." O nic innego nie chodziło obecnie, tylko o zorganizowanie akcyi odwetowéj, przedewszystkiém zaś o sprowadzenie generała do Paryża, wciągnięcie go w sam środek działalności ligi patryotycznéj, związanie zażyłością przyjacielską z jéj przywódzcami i o zaokrąglenie tym sposobem systemu podniet zobopólnych: Francyi przez Rosyan, Rosyi przez Francuzów.

Rozmowy na odpowiednio dobrane tematy podtrzymywała korespondencya, w któréj powoli, stopniowo, brały udział figury z najwyższych szczebli administracyi wojskowéj i cywilnéj. Subiektywne poglądy i humanitarne uniesienia kobiéty nie miałyby ani tego rozgłosu, ani tego skutku, jaki istotnie sprawiły, gdyby im nie towarzyszyły dokumenta opatrzone podpisami największych w swoim czasie powag dyplomatycznych, finansowych, duchownych. Podpisy takie, co prawda, znajdowały się zazwyczaj na krótkich, nic prawie nie mówiących

odpowiedziach na listy, głównie generała Skobielewa, — ale listy same, opublikowane nieco późniéj, dziś jeszcze robią wrażenie, dają nie mało do myślenia. Przytoczymy dla przykładu jedynie wyjątek z misywy do generała X., najbliższego niegdyś z politycznych przyjaciół pani Adam; przekonamy się z niego, że niektóre orzeczenia znalazły się późniéj powtórzone niemal dosłownie w aktach ostatniéj, bezapelacyjnéj instancyi. „Wrażenia moje z pobytu w Niemczech — pisze Skobielew — streścić można w dwóch słowach: byłem oczarowany i przerażony, — nie z powodu pruskich sił zbrojnych, którym ostatecznie sprostać-byśmy mogli, jeżeli nie w szczegółach, to przynajmniéj pod względem masowym, — lecz przerażony z powodu uporu i konsekwencyi, z jakiemi się tu przygotowują do wojny z nami... Nie lękam się wcale orężnéj walki z Niemcami, gdyż, choćbyśmy na razie pobici zostali, to przecież, koniec końców, zwycięstwo przy nas zostanie; natomiast rzeczywiście się obawiam politycznych przeciwko nam knowań księcia kanclerza, jego intryg nieustających, skierowanych ku temu, by nas odosobnić i osamotnić w Europie. Za jakie lat dziesięć uwikła on nas na Wschodzie w matnię takich trudności, że obruszą one na nas nietylko całe Niemcy, lecz wszystkie bez wyjątku mocarstwa. Uwziął się Bismark nas podkopać, zrujnować moralnie, pokłócić z Francyą, Turcyą i słowiańskiemi państewkami półwyspu Bałkańskiego—a pokłóciwszy, rzucić na pastwę losu, z całą masą głupstw i błędów, które za jego poradą popełnimy... Wy tam we Francyi wyobrażacie sobie, że Prusy czyhają u nas na Pomorze baltyckie, że w téj to stronie najpierw na nas uderzą. Gdzie zaś! Książę Bismark bezpośrednio ma na oku nie Rygę, lecz Konstantynopol. Nie gdzieindziéj, tylko na Wschodzie postarają się nas zaszachować i z tego powodu tysiąckroć razy wolałbym, aby wojna z Niemcami rozpoczęła się raczéj teraz, niżli za lat pięć lub dziesięć. Dzisiaj, wpływ nasz pod Bałkanami jest jeszcze prawie nie tknięty, jutro już będzie zachwiany, jeśli nie podkopany i zniszczony. Nie łudźmy się jedwabnemi słówkami naszych obecnych przyjaciół w Berlinie. Nigdy przyjaźni téj nie chodziło o co innego, jak o sprowadzenie nas do nicości z pomocą fałszywych obietnic. Bo póki stać świata, nie podzieli się Słowianin z Niemcem panowaniem na ziemi; jedno z tych plemion nieodmiennie podbić musi i pod siebie zagarnąć drugie... O, jakżebym pragnął zmusić Niemców do lizania prochów pod naszemi stopami... *Oh, comme je voudrais forcer les Allemands de lécher la poussière sous nos pieds!*

Filipice powyższéj wszystkiego odmówić można, — tylko nie celowości, sformułowanéj najdokładniéj, najjaśniéj, z otwartością bez-

względną, posuniętą po za granice wszelkiego konwenansu politycznego. W zestawieniu z tą jędrną, męską prozą, subtelne odkrycia pani Adam, jakkolwiek również nie grzeszą dbałością o finezye dyplomatyczne i parlamentarne, tracą jednak na sile i trafności. Rozmowy jéj z generałem, mniéj więcéj wiarogodnie powtórzone, bledną w porównaniu do naturalnéj czerstwości i wybujałéj energii epistolarnych zwierzeń Skobielewa. Najwięcéj szkodzą tym dyalogom, których autorka podziśdzień nie przestaje odgrzebywać w swéj pamięci, rozmaite nadużycia paryskiéj przenośni krasomówczéj, jak np. zapewnienia, że „popularność zwycięzcy z pod Geog-Tepe równała się w Rosyi popularności Napoleona I-go we Francyi", że był to wódz nad wodze, że nie krew, lecz płomienie płynęły w jego żyłach, że serce jego było tak wspaniałomyślne, iż nawet Polaków kochało i t. p. Pomimo to, nie brak w tych notatkach postrzeżeń, rzucających niejakie światło na główne zadania „Ligi patryotycznéj" we Francyi. Poruszono pewnego dnia sprawę drobnych ludów bałkańskich.

— Zapewniam panią—ozwał się Skobielew—że gniecie je ciężka ręka tyranii. W Bośnii, Hercogowinie, ciemiężca zmusza dzieci słowiańskie do służenia w armii, mordującéj ich ojców i braci. W dłonie nieszczęśliwych wtykają karabiny zbryzgane krwią słowiańską. Myśl o tém wnętrzości mi przewraca. Doznaję uczucia, jakie w was wre zapewne, gdy słyszycie opowieść o ucisku lotaryńczyków i alzatczyków...

— Ależ, kwestya to inna: lotaryńczycy i alzatczycy są naszymi braćmi...

— A tamci, pod Bałkanami, nie są naszymi?—zawołał Skobielew głosem, który panią Adam do głębi przejął... Przecież są oni Słowianami, przeto rodzonymi naszymi braćmi...

— W każdym razie Austryę — od pewnego czasu — niepodobna winić za jéj postępowanie na Wschodzie. Nie ma ona rąk wolnych. Popychają ją Niemcy...

— A! Niemcy!... — pochwycił Skobielew i w jedném tém słowie (dodaje pani Adam) zawarł całą swą wiarę, całą swą namiętność („Natchnionym był; ci, którzy niegdyś wzywali do wydarcia grobu Chrystusa z rąk niewiernych, musieli mieć taki apostolski wyraz twarzy").

— Zaprawdę — mówił generał — nie lubię wojen, wcale ich nie lubię. Ale jest z nich jedna, do któréj zawsze będę gotów, która nigdy nie wyda się mi za kosztowną; wojna to święta. Trzeba, żeby zjadacze Słowian wcześniéj czy późniéj sami z kolei byli przez nich

zjedzeni... Widzę to, czuję, zapowiadam pani, że Niemcy pożarte kiedyś zostaną przez Słowian...

— Obyż się spełniły pańskie słowa!... Co do mnie, pomimo tylu przeniesionych bólów (?), będę i ja, generale, równie jak pan, zawsze przygotowaną do świętéj wyprawy Gallów i plemion romańskich przeciw Germanom...

— Niemiec — stwierdził Skobielew dźwięcznie i donośnie — jest wrogiem Francyi, Rosyi i wszystkich drobniejszych narodowości w Europie...

— Ach, generale, wyrazy te: „Niemiec — to wróg”, powinienbyś wyrzec wśród nas, w Paryżu...

— Hm, wątpię... Każdy z was zanadto jest jeszcze obecnie zaniepokojony, każdy lęka się przedewszystkiém Bismarka...—i przez to samo wszyscy mu ulegają. Robi on dziś co chce... wszędzie. Zobaczysz pani, że jeżeli kanclerzowi niemieckiemu się spodoba, uczyni on was, zarówno jak i nas, swoimi sprzymierzeńcami...

W owéj chwili przymierze potrójne rosyjsko-prusko-francuskie podstawione na miejsce podwójnego, na wzór staréj kombinacyi z r. 1797, zaledwie dopiéro jeszcze kiełkowało w niektórych głowach, zanim—jak się o tém w lat kilka póżniéj przekonano—stało się osią obrotów „w tył i napowrót” całego systemu pomysłów „nijakich”, sprowadzających do zera cel i doniosłość związku krańców. Przeto téż i pani Adam nie zwróciła baczniejszéj uwagi na wróżbę Skobielewa, zaznaczając tylko na razie, „że taka wszechpotęga Bismarka, powinnaby być tém większą pobudką dla przeciwników czarnego księcia, aby połączyli w jedno ognisko rozproszone swe usiłowania i razem bili na trwogę...”

Skobielew, jak wiadomo, uległ w końcu tym namowom. Odwiedził Paryż i w d. 16 lutego 1882 r. istotnie uderzył na alarm, wygłaszając między innemi pamiętne słowa: „*L'ennemi — c'est l'Allemand... Une lutte extra le Slave et l'Allemand est inévitable; elle sera longue et terrible, mais le Slave triomphera...*”

Lubo wygórowana nuta téj alokucyi nie przebrzmiała bez wrażenia, lubo w przemówieniu swém Skobielew zamknął wszystko, co w danym momencie historycznym było do nadmienienia w kwestyi sojuszu dwu największych lądowych potęg w Europie, to jednak fizyologiczne motywa zachowawczości, wzięły niebawem górę nad psychologiczną pobudką do czynów nowatorskich — i wkrótce trzeba było cofnąć się raz jeszcze na stanowisko utyskiwań słownych, obaw teoretycznych, pożądań platonicznych... Pogawędki, przyrzeczenia, nadzieje—raz po raz chowające się za szare obłoki bieżącéj powszedniości—ciągnęły się

daléj, ustnie i na papiérze. Ale nie było już w nich dawnego ognia i „płomieni w żyłach”...

— Ach—powiadał generał pewnego dnia—czemuż minęły czasy ręcznéj szermierki... Wyobraź sobie pani, coby to było za spotkanie: z jednéj strony ja, z drugiéj Bismark, dokoła zaś nas siły dwu armii nieprzyjacielkich, rosyjskiéj i niemieckiéj... Ot, byłoby na co spojrzéć...

— Walka byłaby straszna, z nim szczególniéj, nieprawdaż?...

— O, z nim szczególniéj... — powtórzył generał głosem zmienionym.

„Nastąpiła długa, przykra przerwa...” Pani Adam, dla podtrzymania rwącego się wątka rozmowy, odważyła się przypomniéć. Skobielewowi nieszczęśliwy wypadek jego matki pod Bałkanami, zgon jéj przypisany złości i zemście niemieckiéj...

— Wiész pan dobrze—podjęła łagodnie — jak uwielbiałam pańską matkę, jak wysoko ceniłam jéj patryotyzm, jéj poświęcenie...

— Wiem — odparł generał — i dlatego wyznaję przed panią że z nieprzyjaźnią mą patryotyczną łączy się nieprzyjaźń osobista. Nie, przyjaźń tę głoszę tam wszędzie, gdzie ona zrozumiana być może... I będę się z nią nosił, będę ją opowiadał zawsze, nieustannie, aż wróg Rosyi i wróg mój osobisty zgnębiony zostanie...—aż do śmierci...

„Wyzwanie” — zaznacza pani Adam — nie długo czekało na odpowiedź. Wkrótce potém generał już nie żył... Przyjaciółka Gambetty i Skobielewa, dwóch wielkich antagonistów księcia Bismarka, pisze z tego powodu: „Zachowałam przy sobie garść nieśmiertelników, które się trumny dotknęły, — grobowe zaś to kwiecie przypomina mi powinność moją — moje nadzieje i zobowiązania... Jeden z naszych towarzyszów wspólnych, do którego Skobielew powiadał na tydzień przed zgonem: gdy zniknę, nie opuszczajcie sprawy i nie zapominajcie w projektach waszych o przyjaciółce paryskiéj, — towarzysz ten wié dobrze, do jakich poświęceń gotowa jestem w celu przyprowadzenia do skutku wielkiego przedsięwzięcia anti-bismarkowskiego...”

Przedsięwzięcie anti-bismarkowskie!... Jestto, jak widzimy, bardzo już znaczne uszczuplenie idei Skobielewa, wysnutéj z przeslanek historyozofii ras, wobec któréj kwestya jednego jakiegoś Bismarka, lub nawet jednéj jakiéjś dynastyi pruskiéj, schodziła do drobiazgów podrzędnych, niemal śmiesznych. I w ogólności, dalsza, poskobielewowska propaganda pani Adam, jako czepiająca się zbyt uparcie pewnych osobistości lub zdarzeń przejściowych, przygodnych, — przeto nie zasadnicza, nie znajdowała długi czas posłuchu i poparcia w kołach poważniej-

szych. W publicystyce, zarówno francuskiéj jak rosyjskiéj, często słyszéć się dawały głosy niedowiarstwa i szykany; napomykano nawet o psychopatyi, o obłędzie... Mniemano, że „niemilknące takie gdakanie bez widomych następstw", wzmacnia tylko zabobon bismarkowski, szerzy po świecie zarazki bojaźni chorobliwéj, przeceniającéj „szatański" geniusz pierwszego kanclerza Niemiec zjednoczonych. Atoli, doświadczenie lat późniejszych przekonało, że błąd nie tkwił po stronie „polityki niewieściéj". Niezadługo nadciągnęły wypadki téj miary i tego wszecheuropejskiego znaczenia, co uroczystości w Kronsztadzie, Cherbourgu, — wreszcie, za dni najświeższych, w Paryżu, w Châlons-sur-Marne, — wypadki poprzedzone na odległość lat kilku przez najbardziéj z nich wszystkich uderzający — a mianowicie: ustąpienie z widowni księcia Bismarka, przeciw któremu pani Adam tyle farby drukarskiéj zużyła... Dziś, trudnoby już nawet było wykryć, z powodu niezmiernie powolnego podnoszenia się gruntu ugodowego, kiedy mianowicie nastąpiło pęknięcie lodów, — to jest urzędowa sankcya zwrotu, który początkowo, za dni Grevy'ego, wykluwał się napozór tak nienormalnie, rozwijał się w sposób przygodny, pokątny, dorywczy. O ile z kilku wskazówek wnosić wolno, stało się to nie wcześniéj, aż kiedy na piersi prezydenta Carnot'a zabłysnęła gwiazda i wstęga Ś-go Andrzeja. Wtedy to *ex officio*, z pewną podniosłością zapisano słowa znamionujące działalność spoczywającéj w Panteonie ofiary zamachu lugduńskiego, wtedy po raz pierwszy od lat kilkunastu posłyszano godne trybuny francuskiéj *memento*: „Prezydent, któregośmy umieścili na najwyższém stanowisku, równał się bezwątpienia osobom panującym. Wśród tych znalazłaby się nawet nader ograniczona liczba takich, co jak Carnot, z ufnością spoglądaćby mogli w przyszłość, polegać na niéj, dokładnie znając zamiary swych ludów. . Wśród blasku otaczającego pierwszy urząd we Francyi, order ofiarowany prezydentowi stał się dowodem, że monarchie postronne uznały moc i potęgę moralną narodu republikańskiego. Nie jest w tym razie bez wpływu także i świadomość ogromnych zasobów wojennych, któremi Francya rozporządzać może w razie potrzeby..." Prawda i to, że jednocześnie z owém *sursum corda* — ozwała się i pani Adam, najwyżéj w górę rzucając steoretypową swą zwrotkę, która bodaj czy w tym razie nie była śpiewem łabędzim jéj karyery wolnéj, niezawisłéj, samorzutnéj. Przypomniała ona światu swe proroctwo, wygłoszone podczas dymisyi Bismarka: „Z miasta Moskwy, ze świętego grodu Rosyan, wyszło hasło porażki kanclerza niemieckiego. Niepomszczona dusza Skobielewa nie przestała się unosić nad Kremlinem, udzielając natchnienia tym, co walczą bronią anti-bismarkowską... W nadludzko-wieszczym artykule Katko-

wa, który tak zwycięsko uwolnił Rosyę od tyranii niemieckiéj,—poczułam oddech Skobielewa..."

Poczucie pani Adam było już złudzeniem. W dobie, o któréj mowa,—na schyłku prezyndetury Carnot'a, duch Skobielewa już całkowicie się był ulotnił z téj przynajmniéj części programu, która dotyczyła Niemiec i „tyranii niemieckiéj". Od daty zaciągnięcia rozmaitych manifestów „Ligi patryotycznéj" do protokułów obu kancelaryi, odpadło z nich niezmiernie dużo natchnień, a to, co z prozy pozostało w kształcie wskazań zaakcentowanych i prawomocnych, zobowiązywało raczéj do uwzględniania i szanowania czujności Niemiec niźli do drażnienia ich miłości własnéj. Inne, łagodniejsze wiatry powiały w stosunkach międzynarodowych. Stało się zadość odwiecznemu pewnikowi, że, zyskując na obszarze i objętości, tracimy na spoistości, że prąd, który się rozszerza, zaciéra się i nieraz niknie.

III.

Po wyparciu z pobojowiska „upiora wieku", szybko, w ciągu lat dwóch nowicyatu monarszego, rosła i urosła sława młodego cesarza Wilhelma II. Jego narzucające się wycieczki do Rosyi, jego grzeczne, uprzedzające pod adresem Francyi telegramy inauguracyjne, jubileuszowe, kondolencyjne, jego zamaszyste pomysły reform międzynarodowo-socyalnych i kongresowo pokojowych, wykierowały go odrazu na najbardziéj oryginalną i zajmującą osobistość ostatniego dziesięciolecia wieku. Kurs nowy, z kanclerzem Caprivim na froncie — podobał się; podobał się nawet w wyższych, myślących sferach rosyjskich. Przeciwieństwo było widoczne — antyteza zupełna. Bismark za wiele liczył na konika polskiego — i naturalnie przeliczył się. Opiérając się na postrzeżeniu zaznaczoném najdokładniéj, ale zamkniętém w ciasnych granicach lat 1863 — 70, że nic tak nie schlebia Słowianinowi, jak obelga rzucona w twarz jego bratu, posępny książę z empirycznego tego aksyomatu za długo wygniatał w żelaznych swych dłoniach najdziwaczniejsze figurki retoryczne o potrójnych i więcéj obliczach: dla bliżéj stojących wyglądały one figlarnie; z oddalenia wziąć je mogłeś z tragicznéj strony; w Polakach wreszcie—z tegoż powodu—rosło serce, wzbierał animusz... W kraju zbiédzonym, dotkniętym przesileniem rolniczém i ciężarami burzliwéj przeszłości, z nieuregulowaną spuścizną różnorodnych kwestyi chłopskich i żydowskich, stary kanclerz niemiec

ki z zaciętością iście grabarską wykopywał codzień nowe jakieś skarby patryotyzmu, ofiarności, konspiracyi, intrygi, — a to zarówno w kobiétach bohatérkach zmarłych na wałach Trębowli, jak w kapłanach, przypominających legendową postać księdza Marka lub w podrostkach wyrzuconych ze szkół z puginałami Mazziniego w zanadrzu... Zmyślał przytém i wymyślał, jak hajduk, myśliwy lub kapral koszarowy, dopuszczając się często kłamstw oczywistych, grubych, cynicznych, jak w procesie Kraszewskiego, kiedy z wysokości wszechwiednego urzędu kanclerz wskrzeszał i powoływał na świadectwo spiski i stowarzyszenia zwinięte przed piętnastu laty z powodu braku funduszów na opłacenie lokalu („Towarzystwo wojskowych polskich" w Paryżu)... Wszystko uchodziło — i byłoby zapewne szło daléj, gdyby księciu Bismarkowi nie przyszło było do głowy rozpocząć tę samą grę z drugiego jeszcze końca. Po rugach poznańskich, po komisyach kolonizacyjnych, kanclerz zabrał się do wyrzucania z rządowych banków walorów rosyjskich, do zamykania komór celnych, do ogłaszania dokumentów sfabrykowanych za autentyczne i na odwrót, — wreszcie, do przesławnego ubezpieczania umów tajnych na dwa fronty: w Wiedniu i Petersburgu. Przebrała się miarka... Nie dziw przeto, że gdy z kolei u boku cesarza Wilhelma ukazał się teraz doradca lojalny, dyplomata-żołnierz, człowiek honoru i zdrowego sensu, dało się słyszéć zapewnienie kół kompetentnych nietylko nad Sekwaną, lecz i nad Newą: „wolimy miéć do czynienia z otwartym wrogiem, niźli z obłudnym i podstępnym przyjacielem..." „Wróg" wszakże, jak się niebawem pokazało, nie był ani twardym, ani zarozumiałym; powstały stąd domysły, że Prusy zdołają tym razem nareszcie naprawić chybione przed stu laty próby Caillarda i „obiema nogami wskoczyć do przymierza francusko-rosyjskiego", — oczywiście w tym celu (jak się w innéj okoliczności wyraził ks. Bismark), aby je zerwać. Publicystyce usłużnéj, długich zleceń nie trzeba już było dawać: dość będzie, gdy wynajdzie obiekt dla tak rozległego związku, gdy rozwiąże pytanie, z kim Rosya i Francya, połączona pośredniém ogniwem niemieckiém, mają walczyć, czyj wpływ równoważyć, do jakiéj mety dążyć?... Austrya dawna, z roku 1797 już nie istniała... Czy nie zastąpiłaby jéj Wielkobrytania, Włochy?—Do pierwszéj nagrody za odpowiedź na te zagadnienia, w okresie odpowiednio sporządzonych broszur półurzędowych, stanął jeden z najbieglejszych agentów-negocyatorów głośnéj operacyi finansowéj, która masę zagranicznych długów rosyjskich przerzuciła z Niemiec do Francyi.

Kombinacya naczelna, — następstwo czegoś wielce złożonego i zgmatwanego pod względem zasad, — opiérała się tym razem na po-

stulacie, że, nie chcąc wchodzić w zatarg z Niemcami, a nawet pragnąc je na razie pozyskać, należy usunąć na plan jak najdalszy kwestyę alzacko-lotaryńską i związkowi krańców europejskich nadać dyrektywę „wschodnią", a nawet nie zupełnie wschodnią, tylko „śródziemną". Interesa francuskie — powiadano — ogniskują się dziś wyłącznie na morzu Śródziemnem, na jego pobrzeżach afrykańskich i azyatyckich. Wpływ Francyi w tych stronach znacznie zachwiany został wskutek nadmiernéj przewagi Anglii, która oprócz starych swych posiadłości, Gibraltaru, Malty, Adenu, nabyła jeszcze w ostatnich czasach Cypr i Egipt; flota włoska, w połączeniu z angielską, łatwo zadać może śmiertelny cios kolonialnym widokom Francyi na lądzie afrykańskim. Niemałym zapewne antagonistą Francyi są Niemcy, lecz większym i groźniejszym byłaby Anglia, gdyby w posiadanie bezsporne zagarnęła morza. *Qui mer a — terre a.* Dlatego Francya z taką radością wita flotę rosyjską na morzu Śródziemném; wody te mają dla przyszłości rzeczypospolitéj bez porównania większą wagę niźli kąsek ziemi alzacko-lotaryńskiéj. Ponieważ zaś, z drugiéj strony, wyjście dla marynarski rosyjskiéj na morze Śródziemne możliwe jest wyłącznie przez Bosfor, przeto...

Nie ma żadnego „przeto". Nikomu dziś zgoła po głowie się nie błąka podbój Turcyi, zdobycie Konstantynopola. Rosya nie może ściągać głównych swych sił na południe, gdyż przez to dałaby *carte blanche* uroszczeniom Niemiec do panowania na morzu Baltyckiém. Gdyby Rosya główną masę swych sił morskich wyprawiła na południe, jużby przez to samo odstąpić musiała od widoków na północy, — a gołe posiadanie cieśnin czarnomorskich nie jest bynajmniéj wynagrodzeniem dostateczném za zrzeczenie się pierwszorzędnego stanowiska na Baltyku.

Wywód—bezwątpienia logiczny. Tylko-że, jeszcze natrętniéj niż przedtém staje w takim razie pytanie: jeżeli przymierze przyszłości (Rosyi z Francyą), z Niemcami w odwodzie, usuwa ze swych rachub Alzacyę, żeby nie zrazić Niemiec, a wcale nie zagraża Anglii nad Bosforem, to jaka jest rola potrójnego tego związku w koncercie europejskim? co ona ma do czynienia na świecie? — Rezolucya na to ma być krótka: „Przymierze zapewni Europie pokój..." I posypały się wraz,— sypią się dotąd z téj beczki rozumowania tartakowéj już niemal treści: Jak tylko Rosya i Francya zwiążą się z sobą traktatem wyłącznie o d p o r n y m, któż się wówczas ośmieli w Europie dać strzał jeden bez ich pozwolenia? Powody, dla których pokój obecny jest tak niepewny, a obawa zatargu—powszechna, są proste; trwać one będą dopóty, dopóki porozumienie się Rosyi z Francyą nie będzie stwierdzone i przypieczętowane umową formalną, o charakterze n i e z a c z e p n y m; wte-

dy dopiéro Berlin przestanie się łudzić nadzieją oderwania Rosyi od zgody z Francyą, pogróżki wojenne ustaną, Włochy zawieszą zbrojenia się rujnujące, bezsensowne, podniecone żądzą obłowu na Francyi, przeciw której ks. Bismark umiał niegdyś zaostrzać zęby włoskich mężów stanu. To samo, co z Włochami, stanie się i z Austryą. Obecnie, kiedy polityka francuska nietylko się nie wypiéra zamiarów odwetowych względem Niemiec, lecz poniekąd z niemi afiszuje, Austro-Węgry, zaciągnięte do związku z Niemcami, doskonalą swe pogotowie wojenne w nadziei na zdobycze za Bałkanami; ale w dniu podpisania traktatu ściśle odpornego między Francyą i Rosyą, perspektywa pojednania się Francuzów z Niemcami zajaśnieje na widnokręgu w całym swym blasku, a Autro-Węgry stracą wszelką pewność zwrotu olbrzymich kosztów łożonych na armię i flotę... Wtedy téż myśl rozbrojenia powszechnego otrząśnie się z dotychczasowych kolorów utopii, wejdzie na tory urzeczywistnienia i czynu... Rozumié się samo przez się, że piękną tę zorzę poranną XX stulecia poprzedzi wspaniały zachód XIX-go wieku: rozchwianie się potrójnego przymierza Europy środkowéj (Niemiec, Austryi, Włoch). Austrya śmiało, bez obaw opuścić może dotychczasowych swych sojuszników, gdyż nic jéj zgoła nie grozi od strony Rosyi. Czas rozwinąć legendę o istnieniu nad Newą lub nad Jauzą jakiéjś partyi panslawistycznéj, zmierzającéj do obalenia monarchii rakuskiéj. „Takiéj partyi nigdy w Rosyi nie było, z téj racyi niezbitéj, że w kraju tym szczęśliwym nie istnieją i istniéć nie mogą żadne stałe stronnictwa polityczne.” Rzeczywistość na tém się tu zasadza, że Rosya zawsze była najwierniejszą, najrzetelniejszą aliantką Austro-Węgier. Nigdy wojska dwu tych państw, znajdujących się przecież w sąsiedztwie najbliższém, nie toczyły z sobą walk orężnych; przeciwnie, armia rosyjska na niezliczonych polach bitew stawała obok armii austryackiéj i zawsze w obronie zagrożonych praw dynastyi Habsburgów. Kto nie czytał o kampanii Suworowa we Włoszech i Szwajcaryi? kto nie pamięta interwencyi Paskiewicza w r. 1849-ym? Rosya nie potrzebuje ani jednéj piędzi ziemi austryackiéj; całość i bezpieczeństwo państwa Habsburgów jest owszem gwarancyą całości i bezpieczeństwa saméj Rosyi. Zresztą, co Rosya mogłaby zabrać od Austro-Węgier? Czy nie Galicyę? I po co? Czy żeby zdobyć parę setek Rusinów socyalistów, zarażonych duchem najgorszym, milion żydów umiérających z głodu po straconéj lichwie, dwa do trzech milionów Polaków katolików, zepsutych, zdemoralizowanych wygórowanemi pragnieniami samorządu i parlamentaryzmu? — Lecz może istnieją plany testamentu Piotra W-go o niezbędności przedarcia się przez Tatry do Moraw i Czech, odebrania Szląska, podania ręki Kroatom

ponad głowami 12 milionów Węgrów? Posądzeń takich już dziś nie wysuwa na czoło swych artykułów wstępnych nawet szowinistyczna prasa polska. Przytém, w razie rozbicia Austro-Węgier, kto z łupu skorzystałby najwięcéj? — Włosi i Niemcy. Alboż Crispi, popychany przed laty przez księcia Bismarka, nie wyznał, że dlatego sprzymierza się z Austro-Węgrami, aby od nich odebrać Tryest i Trydent?... Rachuba zupełnie prawidłowa, gdyż obecny sojusz Austryi z Niemcami i Włochami, fatalnie popycha polityków wiedeńskich ku Bałkanom i zatoce Salonickiéj, nad któremi wisi groźny protest Rosyi. Owóż, Rosya nie myśli pracować *pour le roi de Prusse*, ani *pour le roi d'Italie*; nawzajem atoli, ślepy kto nie spostrzega, że upadek monarchii rakuskiéj stałby się niedzownym, gdyby Austro-Węgry daléj się kusiły o rozszerzenie swego panowania ku południowi. Dążność ta naraziłaby monarchię habsburską na szereg długich walk z Rosyą, — w takim zaś razie Włochy niezawodnie potrafiłyby zagarnąć Trydent... — co najmniéj. Bo co do Tryestu, łudził się p. Crispi, mniemając, że Niemcy zrzekną się kiedykolwiek tego portu. Jedném słowem, zbawienie Austro-Węgier spoczywa jedynie w sojuszu francusko-rosyjskim, wzmocnionym przychylną neutralnością Niemiec; cesarz Franciszek-Józef, przystępując do niego, stanie się prawdziwym członkiem-opiekunem ligi pokoju i wolności..."

Jakież-to zawiłe i w ilu to miejscach hypotezami jedynie powiązane rusztowanie! W ciągu lat kilku nie wiele téż z niego się ostało; po za niém zaś wzniósł się tylko chromy kawałek muru, noszący przed ostatnią wojną grecko-turecką miano protektoratu Rosyi i Francyi... nad dzierżawami padyszacha. Zbudowano ten mur w stylowéj parafrazie znanego aksyomatu, że Carogród nie jest Rosyi potrzebny, że na nic-by się jéj nie przydał. „Nie należy mniemać—pisano w owéj pobismarkowskiéj, pośrednicząco-niemieckiéj fazie przymierza rosyjsko-francuskiego — że posiadanie cieśnin pociąga za sobą niezbędnie rozbiór Turcyi, pozbawienie sułtana stolicy. Rosya nie ma nic do robienia z tém miastem; woli ona widzieć w niém sułtana, niżli jakikolwiek inny naród europejski. Nie zapominajmy, że sułtan jest nietylko rządcą świeckim, ale władcą wiernych. Rosya, równie jak Francya, liczy sporo poddanych wyznania mahometańskiego; z tego powodu dwa te mocarstwa nietylko nie mogą pragnąć umniejszenia prerogatyw samowładcy stambulskiego, lecz przeciwnie, dbać muszą o zachowanie i nawet wzmocnienie jego powagi — i to na mocy tych samych przesłanek logicznych, które państwom katolickim nakazują dbać o nietykalność i wolność głowy kościoła—papieża rzymskiego..."

Miraże! fantasmagorye! reminiscencye złudzeń dawnych (1833)! Kolej zdarzeń dziejowych ostatniéj doby sprawiła, że i ta nareszcie turecka pozostałość rozklejającéj się w zarodku przychylności Niemiec dla przymierza francusko-rosyjskiego, podminowaną w końcu została—i zdaje się doszczętnie zrujnowaną skutkiem zwycięstw półksiężyca nad chrześciańską Grecyą (1897). Pobitych Rosya zniewoloną była wziąć pod swoją opiekę, oszczędzając im przykrości samotnego obrachunku z wrogiem, którego nagłe i nieprzewidziane powodzenie wzbiło w dumę, rozzuchwaliło... Za to cesarz Wilhelm zawczasu zdążył zebrać plon całéj téj awantury... Nie dobiło to wprawdzie jego reputacyi, silnie nadszarpniętéj od dnia nieracyonalnéj, niczém nie wymotywowanéj odprawy hr. Capriviego, ale też i nie przysporzyło mu wawrzynów, więdniejących nader prędko temi czasy. Nuta gorzkiego rozczarowania odzywała się już i wcześniéj, — i nie w krajach ościennych tylko, lecz w samych Niemczech; nie oszczędziła ona w końcu nawet „pierwiosnków" panowania. Przewidział to na lat kilka przed wojną grecko-turecką najprzenikliwszy z biografów Wilhelma II, członek akademii francuskiéj, prof. Lavisse. Można dziś bez obawy spotkania się z zaprzeczeniem faktów powtórzyć jego zwięzłą, lekko sarkastyczną, figarowską charakterystykę działalności młodego... wciąż jeszcze młodego cesarza. „W poczcie ludzi śmiertelnych monarcha niemiecki jest najbardziéj zadowolonym z życia, w rzędzie zaś panujących, najszczęśliwszym, że panuje. Radości swéj z tego, że żyje i że rządzi, Wilhelm II nie kryje bynajmniéj, okazując ją nie tylko przed obliczem ziemi i morza, po którém żegluje w otoczeniu swych pancerników, ale téż i w obliczu niebios, których gwiaździstą oponę z pokładu statku podziwia. Radość ta, ujawniana bez przesady, naiwnie, oraz młodość monarchy, nadają mu dużo powabu. Bo téż, naprawdę, fortuna nie była dotąd zbyt rozrzutna w rozdawaniu tronów ludziom w trzydziestym niespełna roku ich życia! Cokolwiekbądź, władzę swą pojmuje Wilhelm II ze strony całkiem poważnéj. Godność „z łaski Bożéj" nie jest w jego oczach czczym tylko tytułem, formułką bez znaczenia. Wiara we własne posłannictwo, jako pomazańca Bożego, jest w nim szczera i nie zachodzi najmniejszy powód do podawania jéj w wątpliwość. A przytém królewie pruscy od samego początku przedstawiali sobie swą misyę dziejową nie inaczéj, jak pod postacią wykonawców woli boga wypraw wojowniczych... Wilhelm II oddawna się poczuwał do roli inicyatora zagadnień najtrudniejszych, najmniéj oczekiwanych. O potrójném przymierzu z Austryą i Włochami, wyrażał się on zawsze z pewną wyszukaną grzecznością, lecz bez zapału. Bardzo być może, że kombinacyę tę uważa już za przestarzałą... Zniewolić do sojuszu

Austryę zwyciężoną, przypuścić Włochy do przyjaźni przez nich upragnionéj—sztuka to mała, łatwa... Co innego z przedsięwzięciem, którego się Wilhelm II podejmie na własną rękę, o własnéj koncepcyi... Mówimy tu o antynomiach, od którychby Kanta zabolała głowa. Rozpocząć politykę kolonialną na gruncie, który Anglia uważała zawsze za wyłącznie swój własny i chcieć z nią załatwić się w tym punkcie polubownie; składać wizyty w jednym i tym samym czasie Cesarzowi Wszechrosyi i królowéj angielskiéj; robić przeglądy floty wielkobrytańskiéj w mundurze admirała Wielkiéj Brytanii, a przeglądy piechoty rosyjskiéj w mundurze pułkownika rosyjskiego; marzyć o jakimś na rzecz Niemiec pojednaniu dwu tych mocarstw nieprzejednanych; chcieć być w jednym i tym samym czasie przyjacielem Anglii i potężnéj Rosyi,—oto dopiéro perspektywa świetna, wspaniała, —a niemożliwa..." Niemożliwa? — Cesarz niemiecki znajdzie jeszcze niemożliwszą. Nie życzycie sobie godzić się z Anglią?—w takim razie będziemy się z nią bili,—wszyscy bić się z nią będziemy. Skoalizujemy przeciwko niéj państwa europejskie, pozbawimy ją hegemonii nad morzami, odbierzemy jéj Egipt, oddamy go Francyi... Pod warunkiem, naturalnie, że Francya przestanie wzdychać do porozumienia się z Rosyą sam na sam...

„Sam na sam" nie poszło przecież na dno wśród tylu zabiegów kompromisowych, to burzliwych i grzmiących za Bismarcka, to układnych i przyjacielskich za Wilhelma II. A jeśli dzisiaj, po latach pięciu od biesiad i owacyi kronsztackich, mówi się o przymierzu przyszłości bez pierwotnego entuzyazmu, z pewną rozwagą i oschłością, przyczyn szukać należy nie tyle w nacisku współzawodnictw postronnych, ile raczéj w saméj naturze związku, w jego kontrastach wewnętrznych, w trudnościach sytuacyi niezawisłéj od woli ludzkiéj, w niepodobieństwie przewidzenia i doraźnego określenia zobowiązań, jakie zmienny bieg wypadków narzuci z czasem stronom, wraz z wymaganiem większych lub mniejszych rękojmi zobopólnie ścisłego wykonania umów, z konieczności rozciągłych, ulegających wielorakiemu tłumaczeniu.

IV.

Punktem wyjścia i podstawą rozmyślań nad zaznaczonemi powyżéj szkopułami lub ewentualnościami, stało się opracowanie w *Revue des deux mondes*, przypisawane jednemu z członków rodziny Orleańskiéj. Polemika zawiązana z tego powodu i liczne sprostowania czasopism mniéj pesymistycznie zapatrujących się na dalsze losy przymie-

rza, usunęły z pracy anonima pewną część materyi spornych; treść główna zwycięsko wyszła z opałów krytyki.

Sojusz krańców europejskich, stający obronnie wobec możliwéj zawsze napaści mocarstw środkowych, ma tę ułomność główną, organiczną, że rokuje znaczną przewagę wspólnikowi wschodniemu, że przerzuca wszystkie polityczne widoki powodzenia na jego szalę, upośledzając szalę zachodnią, francuską. Francya, raz olśniona oczekiwaniem i z wielu względów urojonemi korzyściami związku, wycofać się z tego zaczarowania nie ma żadnego prawie sposobu, gdyż okrom Rosyi nie posiada ani jednego sprzymierzeńca na lądzie Europy; dla Rosyi, przeciwnie, odwrót zawsze był i jest możliwy. Nie ma takiego położenia, w którémby dyplomacya rosyjska nie mogła liczyć na dobre, usłużne przyjęcie swych ofert w Berlinie lub Wiedniu; kiedy więc Rosya w każdym bezwarunkowo wypadku ma przed sobą do wyboru kilka dróg otwartych, to dla Francyi stawianie siebie w sytuacyi bez wyjścia, bo osamotnionéj, należy do niebezpieczeństw widocznych, nie przypuszczających dyskusyi. Co więcéj, nierówność między dwoma państwami, nie przestaje istniéć nawet wtedy, gdy Rosya zobowiąże się do wspólnego działania aktem formalnym. Czyny i fakta spełnione mówią w historyi głośniéj niż umowy. Czy wojna wypadnie szczęśliwie czy nieszczęśliwie, zawrzéć pokój znacznie łatwiéj monarchii niż Rzeczypospolitéj. Rokowania w każdym razie dogodniéj i chyżéj się prowadzą pomiędzy panującymi. W razie gdyby związkowi upadli pod ciężarem koalicyi europejskiéj, zwycięzcy z pewnością łagodniéj traktować będą jedną stronę niżli drugą; wojna niefortunna alboż nie może się zakończyć odnowionem przymierzem trzech cesarzy?... Nierównomierność dałaby się naprawić dopiéro wtedy, gdyby na tronie francuskim zasiadł jeden z członków rodziny monarszéj, z państwa zaprzyjaźnionego. I nie jest to wcale kombinacya czcza, napowietrzna. Po Sedanie, w otoczeniu ówczesnego następcy tronu niemieckiego i w głównéj kwaterze istotnie poruszano pytanie, czy nie dałoby się narzucić Francyi króla w osobie tego samego księcia Leopolda, którego kandydatura hiszpańska stała się w r. 1870 iskrą rzuconą na prochy. Jeżeli Francya znajdowała się już raz w pozycyi tak nieszczęśliwéj i upokarzającéj, że można było myśléć o „zamianowaniu” panującego dla niéj, toć w porównaniu do takiéj przymusowéj „elekcyi”, dynastya z rąk życzliwych, wybrana i przyjęta świadomie, uważaną być by mogła za zaszczyt i prawdziwe szczęście... W ten sposób ułatwiłoby się sobie jednocześnie rozwiązanie innego problematu,—na wschodzie azyatyckim. Bezwątpienia, nawet w obecnych warunkach, nader skomplikowanych nad Bosforem i na wodach oceanu Spokojnego, interesa Francyi ni-

gdzie się z interesami Rosyi nie krzyżują. Z międzynarodowego punktu widzenia, oba państwa mają jednych i tych samych nieprzyjaciół; w ustroju wewnętrznym, pomimo istotnych różnic w formach politycznych, są to dwa społeczeństwa o dążnościach centralizacyjno-demokratycznych, w gruncie jednogatunkowych. Nie zachodzą też obecnie obawy co do skłonności narodowych i cywilizacyjnych; republikanie francuscy są za dni naszych równie szczerymi rusofilami, jak przed laty trzydziestu lub czterdziestu byli nieobłudnie polonofilami. Natomiast, wyznać należy, że w najdrażliwszym i najcięższym do rozwikłania węźle tegoczesnych stosunków międzynarodowych, w kwestyi wschodniéj, Francya częściéj się różniła z Rosyą, niźli się z nią jednała, głównie z powodów religijnych i dynastycznych, jak się to ujawniło przed wojną krymską lub za Ludwika-Filipa, kiedy dworowi petersburskiemu tak trudno było pogodzić się z „uzurpacyjném" źródłem władzy królewskiéj Orleanów; że zaś zachodzi wielka wątpliwość czy Francya tegoczesna zrezygnowała z praw i przywilejów nabytych niegdyś na Wschodzie, przeto dziwném uroszczeniem z jéj strony byłoby żądać od Rosyi ustępstw w tych stronach bez odpowiedniéj kompensaty *na inném polu*... We Francyi za długo grasowało w masach przekonanie optymistyczne, jakoby jedno mocarstwo świadczyć mogło gratisowe usługi drugiemu. W Petersburgu zawsze o wiele chłodniéj i praktyczniéj zapatrywano się na te kwestye niż w Paryżu... Dowód—w dotychczasowym przebiegu „uwzajemnionych usług", ujawnionych w zakresie rozmaitych incydentów dyplomatycznych. W rokowaniach o neutralizacyę kanału Suezkiego i w ogólności, w całéj sprawie egipskiéj, Rosya zupełnie konsekwentnie i lojalnie popierała interesa francuskie; nawzajem, Francya z równą gorliwością i stałością oświadczała się na rzecz zamiarów Rosyi w długich korowodach bułgarskich. Oba państwa w solidarności swéj na gruncie luźnych i częściowych objawów kwestyi wschodniéj nie tylko się wzajemnie podtrzymywały, lecz wzajemnie kilkakrotnie naprawiały własne błędy. Ostatecznie atoli, cóż widzimy? Jak dynastyczne, silnie w kierunku monarchicznym zaakcentowane stanowisko Rosyi pozwoliło jéj energicznie w stanowczéj chwili zahamować niepożądany obrót operacyi wojennych w Tessalii, tak znowu nieco wcześniéj, dość było położyć właściwy nacisk na motyw religijny, ażeby z długoletniego zatargu bułgarskiego dojść do zażyłości znośnéj, — gdy tymczasem *republikańska, bezwyznaniowa* Francya, wciąż jeszcze nie wié, co począć i jak się obrócić ze swoim fantem nad Nilem... Bezwątpienia, organiczną i cywilizacyjną niesprawność Francyi w danym zakresie, z pożytkiem zastąpićby można dobrze zorganizowaną flotą wojenną, zdolną do mierzenia się z An-

glikami na pobrzeżach afrykańskich; ale na tym punkcie Rosya żądać tylko i oczekiwać może współudziału Francyi, — w zamian za nadwyżkę lądowych swych sił zbrojnych...

Upodrzędniona rola Francyi w przymierzu dobitniéj się jeszcze ujawnia w stosunku do Austryi. Państwo rakuskie, od daty wyrzucenia go z Włoch przez Francyę, a z Rzeszy niemieckiéj przez Prusy, nie posiada już — oprócz przyległego Wschodu — ani jednéj piędzi ziemi, gdzieby wpływ swój szerzyć mogło jako mocarstwo pierwszorzędne, więcéj niż inne którekolwiek potrzebujące, wskutek klęsk poniesionych w latach 1859 i 1866, zapewnionéj na przyszłość lokaty swych kapitałów cywilizacyjnych. Pod parciem téj konieczności, antagonizm Austro-Węgier z Rosyą na półwyspie bałkańskim staje się nie do zażegnania, choćby się raz na zawsze dało odprawę tradycyom drażniącym. Owóż, w jakiéj mierze obchodzić to może Francyę? dlaczegoby w sporze tym przyrodzonym i odwiecznym, zaostrzonym warunkami sytuacyi geograficznéj i etnograficznéj, dyplomacya francuska ciężar pośrednictwa swego przyjacielskiego nieodmiennie przetapiać miała na ładunki do armat, skierowanych przeciwko Wiedniowi?.. Czyliż odsiecz Austro-Węgier, w razie gwałtowniejszéj potrzeby, stała się dla Francyi mniéj cenną i pożądaną przez to jedynie, że Niemcy urosły, spotężniały, zajęły górujące pozycye nad Dunajem i Renem?..

O zastąpieniu dywersyi austryackiéj rosyjską, pisano dużo. Że byłaby skuteczną,—skuteczniejszą nawet, o tém nikt nie wątpi. Lecz gdzie są p o w o d y? Okrzyczana nieprzyjaźń rosyjsko-pruska jest faktem, to prawda; fakt to wszakże antycypowany, — pożyczany z obrachunku dalszéj, bardzo może dalekiéj przyszłości. Ani nad Newą ani nad Sprewą gabinety się nie liczą i liczyć się tak bardzo nie potrzebują z sympatyami lub antypatyami mas. Niezaprzeczenie, popędy zaborcze istnieją zarówno z jednéj jak z drugiéj strony. Lecz jakie, w jakim kierunku? Komu od epoki kanclerstwa Bestużewa-Riumina, Woroncowa lub Czartoryskiego przyszło do głowy wysnuwać plany wojenne z przypuszczenia, że Rosya pragnie odebrać Prusom ujścia Niemna i Wisły? Prawdopodobniejszą już byłaby hypoteza odwrotna, przesuwająca szachownicę ku środkowéj Wiśle. Ale zasłużyłby na miano ideologa i marzyciela ktoby mniemał, że na tę nową Hekubę przyjdzie kiedykolwiek do o s t r e g o zatargu Berlina z Petersburgiem.

Swoją drogą—wojny bardzo często wybuchały i wybuchać zapewne będą wbrew wszelkim obliczeniom statystów i klątwom filantropów. Wówczas, rezultat modeluje się matematycznie, najprościéj według stosunku sił do boju wprowadzonych i odporności gruntu, na któ-

rym się walka odbywa. W dotychczasowych debatach teoretycznych, dotyczących przymierza przyszłości, lwią część dodatnich z téj dziedziny prognostyków jednomyślnie przyznawano Rosyi. Najpierw,—ilość, gąszcz, masa: jest ona *hors concours*. Powtóre: jakość. Z piechotyńcem rosyjskim, przyzwyczajonym do znoszenia trudów i niewygód najcięższych, cierpliwym i karnym, żaden żołnierz w Europie nie poważy się stanąć do miary. Jazda znowu—stepowa, głównie kozacka—odznacza się taką zwinnością, taką umiejętnością radzenia sobie w nieznośnych na wojnie troskach utrzymania, że słusznie otrzymała nazwę „stale zmobilizowanéj"; w ciągu dni kilku nie trudno zalać nią setki kilometrów,—pomimo, że leśne i podmokłe przestrzenie na zachodnich kresach Rosyi znacznie utrudniają działanie kawaleryi większemi korpusami. Co do oficerów, dowódzców, głównego sztabu, już dziś do legend należy tradycya ich niższości w porównaniu do zagranicznych, szczególnie niemieckich. Kwalifikacye naukowe i technika zostawiają jeszcze być może nieco do życzenia; ale przymiot na wojnie najważniejszy—wprawa, doświadczenie, rzemiosło, nie mogą też i po za granicami Rosyi, rościć prawa do osobliwego, specyficznego jakiegoś patentu w lat bez mała trzydzieści od ostatniego popisu na polu bitew... To samo, zapewne, należałoby powiedziéć i o ustroju administracyjnym, o środkach komunikacyi, gdyby sprawy te odsłoniętemi być mogły bez potrącenia o t. zw. tajemnice stanu... A obok tego, co za wspaniały teren odporny! Rysuje się on szczególnie ostro i twardo w zestawieniu z terenem Francyi, gdzie od końca wieku XVIII nie słychać wcale o najazdach wypartych lub zgniecionych, wtedy gdy w Rosyi, od epok najdawniejszych, każde wtargnięcie zagraniczne, od strony zachodniéj kończyło się na odwrocie lub walnéj przegranéj (Zygmunt III, Karol XII, Napoleon I)... Z tém wszystkiém, czy legiony Wilhelma II (lub kogoś równie jak on do wielkich planów pochopnego) spotkałby los jego poprzedników, czy nie spotkałby, — najtrafniejsze nawet odczytanie téj szarady strategicznéj do niczego nie prowadzi, nic nikomu nie obiecuje; najmniéj zaś obiecuje Francyi i jéj usiłowaniom sprzymierzeńczym. Choćby się przypuściło, że koleje żelazne, rozwój przemysłu i stosunków zamiennych zdjęły z dzierżaw wielkiego mocarstwa północnego tę surową i niemal dziką nietykalność przyrody lub równego przyrodzie wyodrębnienia żywiołów etnicznych, jeszcze i wtedy nie ulegnie wątpliwości, że Rosya z powodu swych obszarów niezmierzonych, podziś dzień zachowała w sobie los niedostępnego, niezdobytego,—przeto czyniącego (w takich razach) pomoc sojusznika — niemal zbyteczną. Niezbity to pewnik, że „przeparta nad Wisłą, przeparta nad Niemnem, nad Dźwiną, nad Dnieprem, — Rosya

wybornie daléj prowadzić może walkę nad Wołgą i Donem,"—ale właśnie do pewników tego rodzaju stosuje się w pełni przysłowie rosyjskie: „co ruskiemu na zdrowie, to francuzowi—śmierć." Po co tu Don, po co Wołga! Zanimby konie niemieckie napiły się wody w strudze pod Studzianką, już by nad Sekwaną wielkim głosem wołano o pardon...

Tak bowiem chciała mieć arytmetyka dystansów, tak sprawiły wypadki z przed lat trzydziestu, taką jest odwetowa logika wszelkich politycznych pomysłów sprzymierzeńca zachodniego, że doń najświetniejsza i najdzielniejsza o d p o r n o ś ć na wschodzie, blado, żałobnie się tylko uśmiecha. Jedynie zwięzła, z kopyta i na przełaj zaczepność —ona jedna cośby mu jeszcze obiecać była w stanie i z obietnicy źdźbło jakieś możeby dotrzymała.

Obecny prezydent rzeczypospolitéj, odwiedzając Petersburg, zdobył się zapewne na tyle męzkiéj, sumiennéj odwagi, aby rzecz tę szczerze i bez ogródek wypowiedzieć rosyjskim mężom stanu.

I. T. Hodi.



FELIBRZY I FELIBRYZM.

(Nowożytna literatura prowansalska [1]).

Nad uroczemi brzegami Rodanu, wśród gajów oliwnych i winnych pól, ocienionych z południa błękitnemi Alpami, zakwitła poezya felibrów, wyniosła i słodka, jak wdzięk głębookich dziewic Prowancyi. Patryarchą téj poezyi jest sędziwy Roumanille, jéj bogiem — Fryderyk Mistral, a zrodziła ją cicha, święta łza matczyna: Roumanille czytał raz matce swoje wiersze francuskie, staruszka zaś, nie umiejąca po francusku, nic z nich zrozumiéć nie mogła i zapłakała z żalu, — wtedy wzruszony poeta przysiągł jéj, że odtąd już nic więcéj nie napisze, czegoby matka jego zrozumiéć nie mogła. Tak miała powstać nowa poezya prowansalska, w któréj łza matczyna stała się wzruszającym symbolem cichéj, niesformułowanéj skargi staréj Prowancyi, drogiéj ojczyzny, maleńkiéj, poniewieranéj i zapomnianéj przez ojczyznę wielką, przez zcentralizowaną i pochłaniającą wszystko Francyę. Znaleźli się wnet młodzi poeci, w których duszy ozwały się tęskne odgłosy starych, zapomnianych pieśni, i postanowili wskrzesić poezyę trubadurów. Nie wskrzesili jéj, bo już jéj wskrzesić nie można było, stworzyli jednak poezyę nową, która wydobyła na jaw ukryte skarby Prowancyi.

---

[1]) Z powodu przekładu jednego z najznakomitszych poematów prowansalskich: „Mireio“, świéżo wydanego u nas w tłómaczeniu A. M-skiego.

Jeżeli nowożytni poeci prowansalscy łudzą się, sądząc, że wskrzesili poezyę trubadurów, to jednym z powodów jest długie zachowanie słowa *Provence* w znaczeniu, jakie Rzymianie nadawali wyrazowi *Provincia*, którym oznaczali kraje, rozciągające się aż do Pirenejów i daléj za Garonnę. Nazywano niegdyś Prowansalczykami wszystkich południowców, z wyjątkiem Gaskończyków. W rzeczywistości jednak właściwa Prowancya nie wzięła bardzo wielkiego udziału w południowéj poezyi wieków średnich [1]. Poezya trubadurów miała za kołyskę i zachowała ognisko swe daleko od Rodanu, w Limousin. Tam to używano dyalektu, który służył za osnowę wspólnego języka literackiego. Rzecz dzisiejszych poetów z nad Rodanu, którą niżéj przedstawić zamierzamy, nie jest bynajmniéj wskrzeszeniem poezyi trubadurów. Poezya ta była ściśle złączona ze społeczeństwem i obyczajami, które dziś z trudnością wyobrazić sobie możemy [2].

Linia geograficzna, biegnąca od północnego Delfinatu przez Owernię, Limousin i Perigord, dzieli Francyę na dwie odrębne części pod względem językowym, oznaczane zwykle według różnicy w wyrazie potakującym. Południowa część — to *lengua d'oc*, północna — *langue d'oïl*. Na południe pierwsza sięga Hiszpanii i obejmuję Katalonię, na wschodzie należy do niéj Sabaudya i mała część południowo-zachodniéj Szwajcaryi. W dawniejszych czasach południową mowę francuską oznaczano mianem *romans* lub *lengua romana*, t. j. mowa ludowa, w przeciwstawieniu do mowy uczonéj, do łaciny. Prócz tego, nazywano ją *la lengua provensal*, *lo provensal*, *lo provensales* i t. d. Prowansalska ta mowa, jak ją teraz powszechnie nazywają, powstała— jak i inne romańskie języki — z łacińskiéj gwary ludowéj, zmieszanéj z elementami germańskiemi i w mniejszym stopniu z celtyckiemi. Pierwsze zastosowanie ludowéj znajdujemy w dokumentach IX-go wieku, które zawiérają trochę wyrażeń i zwrotów—głównie formuły prawne—w języku romańskim, wogóle zaś panowała jeszcze w piśmiennictwie łacina. Najstarsze dokumenty, w których przeważa tekst prowansalski, spotykamy na początku XI-go wieku, tekstu zaś całkowicie prowansalskiego nie mamy wcale przed wiekiem XII-ym. Pierwszy

---

[1] Gaston Paris: *Poëtes et penseurs.*—Fréderic Mistral: „Poezya"

[2] O poezyi trubadurów patrz: 1) A. Restori: *Histoire de la litterature provençale*, tłom. z włoskiego, Montpellier, 94; 2) Karl Bartsch: *Grundriss zur Geschichte der provenz. Litteratur*, Elberfeld, 1872; 3) C. Fauriel: *Histoire de la poésie provençale*, Paryż, 1846. O literaturze felibrów: 1) Ed. Boehmer: *Die provenzalische Poesie der Gegenwart*, Halle, 1870; 2) Ludovic Legré: *Le poète Théodore Aubanel*, Paryż, 1894; 3) Koschwitz: *Ueber die provenzalischen Feliber und ihre Vorgaenger*, Berlin, 1894, — Gaston Paris: *Poëtes et penseurs*, Paryż, 1896.

okres literatury prowansalskiéj, jéj początek, obejmuje wiek X-ty i XI-ty, rozkwit jéj przypada na XII-ty i XIII-ty, upadek na XIV-ty i XV-ty wiek.

W pierwszéj epoce poezya prowansalska spoczywała w rękach duchowieństwa, jedynego przedstawiciela nauki, kiedy utwory epiczne, śpiewane przez lud, nie weszły do piśmiennictwa i przez to przepadły dla nas. Poezya ta nosi głównie charakter kościelny, przeważającą jéj formą była epika. Główny jéj materyał tworzyły legendy, obok tego jednak zwracano się już i do przedmiotów świeckich. Język, będąc wtedy jeszcze w stanie tworzenia się, posiadał bardzo starożytne formy; wyrażenia poetyckie były proste i niewyszukane. Same formy poezyi były jeszcze bardzo proste, bez upiększeń. Głównym tematem téj poezyi epicznéj były wojny przeciw napływającym z Hiszpanii Arabom, którzy zagrażali całéj Francyi, a nawet całéj Europie chrześciańskiéj. Daléj, walki, które południowa Francya prowadziła o swą niezależność, zagrożoną przez Karolingów, zwycięskie pochody Karola Wielkiego przeciw Arabom i historya Rolanda. Należy téż tu zaliczyć cykl opowieści o Wilhelmie Orańskim. Obok większych utworów epicznych były mniejsze epiczne pieśni ludowe. Poezya kościelna czerpie główne swe przedmioty z Biblii i legend. W literaturze pierwszéj téj epoki często używane są jeszcze na pół lub zupełnie łacińskie słowa.

Druga epoka — jest to epoka wojen krzyżowych i najbogatszego zarazem rozwoju wszystkich duchowych i materyalnych zasobów wieków średnich. Południe Francyi z wielkim zapałem przyjęło ideę tych wojen. Przedstawicielem poglądów tego czasu było rycerstwo, które rozwinęło się we Francyi do skończoności i którego wyobrażenia przedostały się wkrótce do całéj Europy. Stworzyło ono przesadną cześć dla kobiéty, uczyniło z tego formalny system poezyi i sztuki miłosnéj, poezyi dworskiéj, arystokratycznéj. Poezya prowansalska, w któréj duch średniowiecznego romantyzmu naprzód się rozwinął, dosięga téż w téj epoce najwyższego punktu rozwoju. Rozkwit jéj przypada około końca XII-go i początku XIII-go wieku. Treść liryczna otrzymuje najbardziéj wykończoną formę poetyczną. Wszechmożni panowie, królowie i książęta popiérali wtedy poezyę i poczęści sami wstępowali w szeregi trubadurów [1]). Śpiewacy ciągnęli od miasta do miasta, od kraju do kraju, wszędzie dobrze przyjmowani i czczeni. Wędrując, przechodzili daleko po zagranice przestrzeni języka prowan-

---

[1]) Szczególniéj niezliczone dwory mniejsze pielęgnowały poezyę. W pierwszym rzędzie stały: Tuluza, Montpellier i Marsylia.

salskiego, wnosząc francuską poezyę południową i obyczaje do obcych krajów. Jest to epoka najbardziéj udoskonalonéj sztuki poetyckiéj.

Na wiek XIII-ty przypada powolny upadek literatury prowansalskiéj. Głównym powodem tego upadku były stosunki polityczne. Wielcy panowie i książęta, zajęci sprawami chwili, coraz bardziéj odwracali się od udziału w poezyi. Stąd płynęły coraz częściéj skargi poetów na obojętność możnych panów i na zmniejszony popyt. Wojny albigensów zniszczyły zewnętrzny i wewnętrzny pokój Francyi południowéj. Jednocześnie jednak w saméj poezyi tkwiły również zarody upadku. Dosięgła ona takiéj subtelności w treści i formie, że dalszy rozwój w tym kierunku musiałby niechybnie doprowadzić do upadku. Główną cechą bowiem téj poezyi stała się nadmierna sztuczność formy obok pustki w treści. Z powagą czasu i poezya zaczyna nabiérać poważniejszego tonu. Od połowy XIII-go wieku zaczęto się zwracać do t. zw. poezyi naukowéj (dydaktycznéj). Jedne po drugich powstają wielkie utwory pouczające, które w sposób encyklopedyczny wykładają całą wiedzę ówczesną. Brak poezyi starano się zastąpić materyałem naukowym. Uprawiano jednocześnie legendy i prozę — i w ten sposób literatura powraca do epoki poprzedniéj, lecz nie do jéj prostoty.

Wypadki historyczne znalazły odzwierciedlenie w ówczesnéj poezyi — najważniejszemi z nich były wojny krzyżowe i z albigensami. Daléj idą opowiadania dworskie: przygody romantyczne i nowele. Najwybitniejsze jednak stanowisko w epoce rozkwitu i poczynającego się za nim upadku zajęła liryka. Miała ona nietylko najliczniejszych, lecz i najznakomitszych poetów. Główną jéj osnową była oczywiście miłość. Stworzyła ona cały system kultu kobiéty, a raczéj „damy”. Liryka ta, w istocie swéj, jest rycerską. Wśród poetów lirycznych spotykamy téż bardzo często rycerzy. Nawet królowie i hrabiowie zostawali trubadurami. Dwory stały się w ten sposób naturalném ogniskiem poezyi,—poezya stała się dworską. Mieszczaństwo jednak dało również znaczny zastęp trubadurów, a od drugiéj połowy XIII-go wieku, gdy książęta i szlachta odwrócili się od poezyi, miejsce ich zajęło prawie wyłącznie mieszczaństwo. Miasta, dzięki wzrosłemu na sile i znaczeniu mieszczaństwu, poczęły pielęgnować poezyę.

Poeta dworski zwał się *trobaire*, *trobador*, od *trobar* — tworzyć, a więc t w ó r c a. I rzeczywiście, na miano trubadura zasługiwał ten tylko, kto stworzył nowe formy rytmiczne i muzykalne. Poeci byli po większéj części również kompozytorami melodyi do swych utworów—tworzyli tekst i melodyę, wówczas bowiem każda pieśń nieodłączna była od muzyki.

Obok trubadura stoi *jongleur*, prowansalski *joglar*—grajek. Ten z poezyi uczynił sobie rzemiosło w celu zdobywania środków do życia. Trubadur uprawia ją jako swobodną sztukę, co jednak nie przeszkadza, by i on chętnie nie przyjmował podarunków. Joglar przedstawia pieśni, ułożone przez trubadurów, oraz większe i mniejsze utwory epiczne. Niektórzy trubadurowie prowadzili ze sobą kilku joglarów. Nieraz i trubadur z braku środków stawał się joglarem. Lecz pole działalności joglara było większe: musiał on umiéć grać na dość znacznéj liczbie instrumentów muzycznych, znać najrozmaitsze sztuki, właściwe jego zawodowi, tańczyć, rzucać noże, udawać śpiéw ptaków, skakać przez obręcze, prowadzić ze sobą małpy i psy, dawać przedstawienia maryonetek i t. d., w celu zabawienia publiczności [1]).

Jak dalece poezya ta, wykwitła na gruncie owoczesnych stosunków społecznych, odpowiadała duchowi rycerstwa średniowiecznego, świadczy najlepiéj jéj rozpowszechnienie. Liryka prowansalska wpłynęła na charakter i sztukę liryczną wszystkich niemal cywilizowanych ludów europejskich. Zarówno pod względem treści, jak i formy, liryka XII i XIII-go wieku była w innych krajach wyraźném odźwierciedleniem liryki prowansalskiéj. Spotykamy téż tu zjawisko, jakie w żadnéj prawie innéj literaturze średniowiecznéj zauważyć się nie daje. Mianowicie, literatura prowansalska XII i XIII-go wieku, zwłaszcza jéj poezya, stała się do pewnego stopnia językiem powszechnym. Wprawdzie, w saméj Francyi południowéj było wiele rozmaitych narzeczy, lecz szczególniéj w poezyi właściwości rozmaite dyalektów zlały się w jeden język literacki, którym posługiwali się trubadurzy z najrozmaitszych stron południowéj Francyi. Dziś odrodzić lirykę poezyi prowansalskiéj, znaczyłoby odrodzić miłość w formie dworskiéj galanteryi, przesadną i śmieszną. Odrodzenie zaś całéj ówczesnéj literatury jest również niemożliwe, jak odrodzenie wieków średnich. Zarówno jéj treść i forma, jak i towarzyszące jéj warunki zewnętrze (wędrówki trubadurów i joglarów) czynią z téj poezyi sztukę oryginalną, właściwą wiekom średnim i rycerstwu. Dzisiejsza literatura prowansalska, stworzona przez felibrów, ma tyle tylko wspólnego ze średniowieczną literaturą prowansalską, że — jak zauważył Gaston Paris [2])—trubadurzy wpłynęli na jéj rozwój sławą swego imienia: sła-

---

[1]) Wśród trubadurów i joglarów znajdowały się i kobiéty. Między poetkami były po większéj części wysoko urodzone damy i wiele hrabin. Joglarki należały do niższych warstw społecznych i nie cieszyły się szczególną sławą obyczajów.

[2]) *Poètes et penseurs*, Fr. Mist., „Poezya".

wa ta podnieciła dumę i wielkie nadzieje felibrów, którzy widzieli w sobie ich następców, nie dbając o uzasadnienie tytułu tego następstwa.

* *
*

Po upadku swoim, literatura prowansalska wiodła marny żywot. Od XVI-go do XIX-go wieku, hodowano w języku prowansalskim prawie wyłącznie literaturę popularno-naukową lub dziwaczne, śmieszne opowiadania.

Na wzmiankę zasługuje zaledwie liryk Goudelin (zmarły w roku 1649-ym).

Pierwszy objaw powstania poezyi nowoprowansalskiéj zrodziła Gaskonia, w któréj pewien cyrulik z miasta Agen wydał w r. 1825-ym zbiór poezyi p. n. *Papillotos*, obecnie bardzo rozpowszechnionych. Liryk prowansalski Jausemin (Jasmin), zmarły w r. 1864, stał się chlubą południowéj Francyi. Paryż nawet zwrócił na niego uwagę. St. Beuve napisał o nim artykuł i nazwał go langwedockim Manzonim. Akademia francuska w 52-im roku udzieliła mu wielkiéj nagrody. Z drugiéj strony, cyrulikowi z Agen podał przyjacielską dłoń markiz de la Fare-Alais, który użył mowy Cewennów do twórczości poetyckiéj i pięknym stylem władał.

Lecz najbogatszy rozkwit poezyi nowoprowansalskiéj nastąpił nad ujściem Rodanu, wśród wspaniałéj płaszczyzny, którą widać z pałacu w Awinionie. Tu, we właściwéj Prowancyi i w Comptacie utworzył się formalny związek poetów, który postawił sobie za zadanie odrodzić literaturę prowansalską i ożywić ducha narodowego. Najstarszym w tém gronie młodych poetów był Józef Roumanille, syn ogrodnika z St.-Remi. Już w r. 1848 i w następnych w małych, pięknie pisanych opowiadaniach i nowelach, napadał on na ówczesne idee rewolucyjne. Jego proza ma być przykładem literatury ludowéj. Szczególniéj znane jest jego „*Lis oubreto en vers*“, które St. Beuve bardzo chwalił. Poezye Roumanille'a ukazały się po raz pierwszy w roku 1852 w zbiorze „*Li prouvençalo*”, na którego wydanie otrzymano piéniądze z wielu stron Prowancyi. W tym zbiorze poezyi powszechną uwagę obok Roumanille'a wzbudzili głównie Mistral i Aubanel. Teodor Aubanel, który tak samo, jak Roumanille, żyje jako księgarz w Awinionie, potrafi nielicznemi, lecz śmiałemi rysami jaskrawych kolorów stworzyć żywy obraz. Na dnie ponurego usposobienia tego poety, leży jego własne nieszczęście: dziewczę, które kochał, zostało mniszką. W wilię wypełnienia jéj ślubu powstał jeden z najładniejszych i przejmujących w swéj prostocie utworów.

Najgenialniejszym jednak ze wszystkich tych poetów i przewódcą całego wszczętego ruchu odrodzenia był Fryderyk Mistral.

Mistral sam opowiedział swe życie na kilku cudownych stronicach, umieszczonych na czele jego pięknych *Iles d'or* (Złote wyspy). Jest to życie proste, nie wybiegające po za horyzont stosunków wiejskich, a jednak nader poetyczne i piękne. Autor urodził się w Maillane (blisko Taraskonu) 8-go września 1830 roku. Ojciec jego był wdowcem. W 50-ym roku życia ożenił się z młodą dziewczyną, którą spotkał pewnego dnia, gdy zajęta była zbiéraniem kłosów na ściernisku, zostawionych przez żniwiarzy. Z tego Booza i Ruty urodził się prorok. Ojciec, Franciszek Mistral, był bogaty i sam kierował uprawą swych pól. Matka, która długo przeżyła ojca, pozostała zawsze prostą kobiétą wiejską. Mówiła tylko językiem swego kraju, mało rozumiejąc po francusku.

Chłopczyk rósł wśród różnorodnych scen życia wiejskiego, ze świtem śpiesząc w ślady robotników do robót polnych, do siewu, strzyży owiec, sianokosu, żniw, winobrania, zbioru oliwek lub liści morwowych, rozmawiając z chłopami w jedynym języku, jaki znał i napawając nieświadomie oczy i duszę majestatycznemi widokami przecudnego krajobrazu. W wieczory zimowe wszyscy domownicy zasiadali przy długim stole, który obsługiwała matka, a któremu prezydował ojciec, jak patryarcha biblijny, „wielki i piękny starzec, dostojny w swéj mowie, nieugięty w swych rozkazach, życzliwy dla biédnych i surowy dla samego siebie." Po skończonym obiedzie zasiadali wszyscy koło płonącego ogniska, podsycanego staremi gałęźmi oliwek. Zdarzał się téż często i przybłęda nocny, żebrak-włóczęga, przyjęty na nocleg; siedząc naprzeciw ojca, pod piecem, opowiadał stare opowieści, legendy lub śpiewał piosnki żebracze. Lecz w pięknych piosnkach i pięknych „*sornettes*" celowała szczególniéj matka; to téż nie ustawała w opowiadaniach, pracując jednocześnie przy kołowrotku, a syn siadywał wtedy u nóg jéj, słuchając z zajęciem. Czasami ojciec czytał ewangelię zebranéj rodzinie, w wigilię Bożego Narodzenia błogosławił choinkę opowiadał jakieś historye o starych ludziach, prosząc zebranych, by się modlili za ich dusze; potém śpiéwano jedną z wdzięcznych wigilii Saboly'ego, organisty-poety z XVII-go wieku, które były tak popularne w tym kraju. I dziecię zasypiało wśród czarów poezyi ludowéj, z sercem niewyraźnie przejętém temi pierwszemi nawoływaniami muzy, która miała je późniéj tak silnie natchnąć.

W 9-ym roku życia oddano go do szkoły. „Tak często opuszczałem godziny szkolne — opowiada — że rodzice moi postanowili odebrać mnie ze szkoły, aby położyć kres méj swawoli." Zresztą, pomimo

tych dziecinnych figli okazał w szkole rzadką inteligencyę, którą téż ojciec jego postanowił daléj rozwijać. Oddano go na pensyę do Awinionu. Dziki malec czuł się tu z początku nieszczęśliwym, nie mogąc już biegać po polach, zamknięty wśród posępnych murów. Bywał często bardzo zmieszany, widząc, że go nie pojmują lub ośmieszają, gdy mówił swym językiem. Wkrótce jednak pociągnęła go piękność poezyi starożytnéj. W Wergiliuszu i Homerze odkrył takie pojmowanie i objaśnienie natury i życia, które odpowiadało nieświadomym aspiracyom jego duszy i poznał w nich, jak sam mówi naiwnie „idee, zwyczaje i obyczaje maillańskie.” Ten posiew klasyczny rozwinął w dzikim prowansalczyku kwiat jego poezyi. W młodości czytał zapewne wielkich poetów francuskich, pijąc z lubością z szerokiego i harmonijnego źródła Lamartine'a, z tego „wielkiego źródła poezyi — jak mówił późniéj — które odmłodziło ducha świata.” Opowiada, że w 14-ym roku życia próbował napisać w aleksandrynach prowansalskich sielanki Wergiliuszowskie. Zdaje się jednak, że G. Paris ma słuszność, gdy sądzi, że idea użycia języka ojczystego do poezyi nie przyszła Mistralowi sama przez się na myśl, i gdy została mu podsuniętą, nie odrazu narzuciła mu się, jako wyłączna, gdyż w kilka lat późniéj, studyując prawo w Aix, tworzył wiersze francuskie [1]), które pomieszczał w jedném z pism, wychodzących w Prowancyi.

Potrzeba było oczywiście, niezwykłéj śmiałości młodego poety, aby wyrzec się wielkiéj publiczności francuskiéj, upajających tryumfów stolicy, akademii, która zwykle staje przed oczyma w wyobraźni młodych autorów, i poświęcić wszystkie skarby swoich natchnień poematom, pisanym w języku, uchodzącym za gwarę prowincyonalną, za *patois*, narażając się na to, że nie znajdzie czytelników w saméj nawet Prowancyi, ani wśród ludu, ani wśród inteligencyi. Józef Roumanille, mistrz prozy prowansalskiéj, rzucił w jego duszę zarzewie świętego ognia. Roumanille, syn ogrodnika z Saint-Remi (blizko Maillane), starszy od Mistrala o lat 12, napisał już był po prowansalsku większą część swych „Margarideto” (Małe małgorzatki), gdy z nim się spotkał. Roumanille też rozpoczął od pisania wierszy francuskich, nie odrazu i nie zupełnie porzucił język francuski, gdy postanowił przyczynić się do odrodzenia literatury ojczystéj. Postanowienie to nie polegało wyłącznie na samém pisaniu w języku prowansalskim. Nie brak było autorów w XVIII i XIX wieku, którzy używali tego *patois* do tworzenia wierszy; lecz u nich *patois* był elementem komicznym lub

---

[1]) Legré również twierdzi, że Mistral w tym czasie pisał po francusku. P. Ludovic Legré: „Le poète Théodore Aubanel.“ Paris, 1894. Str. 22.

też tworzyli w nim ckliwe idylle, ku uciesze niewybrednych buduarów. Roumanille chciał, aby prosty język ojczysty służył do wyrażania prawdziwych wzruszeń, wyższych uczuć i wrażeń poetyckich. Sam jednak w połowie tylko porzucił poprzednie tradycye. Dał wszakże dowód w niektórych pieśniach, że jego język ojczysty zdolny jest do dźwięków słodkich, nawskroś przenikających duszę, i dostrzegał niewyraźnie, że może on dać jeszcze więcéj i lepsze dźwięki. W roku 1845 został profesorem w małym pensyonacie Awinionu, w którym Mistral próbował tłomaczyć lub naśladować w wierszach francuskich Teokryta i Wergiliusza. Tu przyszłe filary felibryzmu zawarły szybko przyjaźń. Młodzieniec pokazał swe wiersze profesorowi. Ten poznał w nich zacząlki wielkiego talentu poetyckiego, lecz dostrzegł przytém brak oryginalności w wyrażeniach. „Zostaniesz — powiedział mu — szacownym poetą francuskim. Czemu jednak nie próbujesz pisać w naszym ukochanym języku z Saint-Remi? Będziesz w nim swobodniejszym i głębszym.” I aby go przekonać, pokazał mu swoje „Paquerettes,” książkę, którą wówczas kończył dopiéro. „Zaledwie pokazał mi w świeżości wiosennéj te piękne kwiaty z łąk, miły dreszcz ogarnął istotę moją i zawołałem: oto zorza, któréj oczekiwała dusza moja, aby się obudzić do światła! Wprawdzie czytałem do tego czasu trochę po prowansalsku, lecz zrażało mnie to, że język nasz był zawsze używany jakby na pośmiewisko. Roumanille pierwszy nad brzegiem Rodanu śpiewał wszystkie uczucia serca, z godnością, w formie prostéj i świéżéj. Padliśmy sobie w objęcia i zawarliśmy przyjaźń pod tak szczęśliwą gwiazdą, że od lat 30-tu dążymy wspólnie do jednego dzieła, i nasze przywiązanie, ani starania nasze nigdy się nie zmniejszyły. Obadwaj przejęci pragnieniem podniesienia języka ojczystego, studyowaliśmy razem stare księgi prowansalskie i postanowiliśmy ożywić język według tradycyi i charekteru narodowego, co się późniéj spełniło przy pomocy i chęci naszych braci felibrów” (*Iles d'or*).

Nie odrazu jednak rozpoczął Mistral swą misyę. Po ukończeniu studyów, powrócił do domu, biorąc na siebie część pracy rolnéj wśród rodziny. Naszkicował wówczas poemat prowansalski w czterech pieśniach o „Żniwach”, którego nie ogłosił. Ojciec spostrzegł, że wychowanie, jakie syn jego otrzymał, inne mu losy przeznaczyło, wysłał go tedy na fakultet prawniczy w Aix. Nie zaniedbując studyów prawniczych, Mistral wzmacniał się coraz bardziéj na drodze, na którą pchnął go Roumanille i na któréj tenże utrzymywał go ciągle, dzięki bardzo częstéj korespondencyi. Wyrzekł się wtedy ostatecznie wierszowania francuskiego. Z Aix posyłał Roumanille'owi niektóre swe utwory wierszowane, pełne ognia i wdzięku, które ten wydał w 1852 roku,

wraz z wierszami 30-tu innych poetów miejscowych, w „*Li Prouvençalo*" („Prowansalczycy"), w zbiorze, tworzącym pierwsze ognisko rozpierzchłych autorów prowansalskich, zjednoczonych i prowadzonych przez Roumanille'a. Po skończeniu prawa, Mistral powrócił do Maillane'u. „Natychmiast, powiada, zrzuciłem z siebie togę adwokata, aby napawać się widokiem tego, co tak kochałem: pięknością méj Prowancyi." Ojciec umarł mu w cztery lata późniéj, „a ja z bólem serca porzuciłem *mas* (dom) rodzinny, wskutek podziału spadku między członków rodziny, i wraz z matką zamieszkałem w miasteczku Maillane, gdzie téż pragnę umrzéć, gdy dobry Bóg tego zechce, i być tam pochowanym, naprzeciw owych pagórków, co rozweselały wzrok mój, były natchnieniem mych wierszy i ukojeniem méj duszy." Z tego cichego zakątka płynęła odtąd poezya jego życia. „Pomyśl pan, mówił niedawno w rozmowie z jednym dziennikarzem, że po ukończeniu studyów powróciłem do tego miasteczka, aby się stąd już nie oddalać. Wyznaję, czasami wydawały mi się długiemi owe wieczory zimowe, w czasie, kiedy byłem jeszcze młody i znałem Paryż, co mnie zachwycał i w którym drodzy mi przyjaciele radzili pozostać. Wytrwałem jednak. Chciałem być wiernym memu miasteczku..."

W miasteczku owém mieszka już lat przeszło 40. Opuszcza je tylko na krótko i to prawie zawsze w interesie swych utworów lub „sprawy", bądź to przebiegając wszystkie kąty Prowancyi, aby je poznać i wyśpiewać, bądź téż odwiedzając miasta prowansalskie, Langwedocyi i Gaskonii, w celu szerzenia apostolstwa swego lub prezydowania na ucztach, których jest bohatérem. W 1868 roku przeszedł nawet Pireneje, aby odwiedzić Katalończyków, którzy na wzór felibrów urządzili w Barcelonie swe „*Jochs florals.*" Poświęcił im jeden z najwspanialszych swych utworów, „Do poetów katalońskich," w którym głosi jednocześnie miłość małéj i wielkiéj ojczyzny. Katalończycy urządzili poecie tryumfalne przyjęcie i tegoż jeszcze roku oddali wizytę felibrom, przywożąc im w podarunku „święty puhar", który wniesiono przy dźwiękach pięknéj pieśni felibrów; figuruje on odtąd na wszystkich ich biesiadach, przy dźwiękach téj saméj pieśni. Ukończywszy *Mireio* w 1858 roku, Mistral przyjechał do Paryża. Został tu przedstawiony Lamartine'owi, któremu przeczytał niektóre swe wiersze. W następnym roku posłał mu swój nie wydany jeszcze poemat. Zachwycony świeżością i blaskiem téj nowéj poezyi, Lamartine poświęcił mu cały *Entretien littéraire* i potęgą swego pióra puścił w obieg sławę młodego poety. Mistral, który przedtém sam jeszcze wątpił o sobie, rozwarł odtąd szeroko skrzydła swéj poezyi do polotu w sfery światła i radości. „Tobie poświęcam swoją *Mireio* odpowiedział autor, —

jest to serce moje, dusza moja, kwiat mego życia. Jest to grono winne z nad Crau, które wraz z liściem ofiaruje ci chłop... Jeżeli okręt mój bukietem przyozdobiony, bukietem z laurów kwitnących—Tyś mi go dał. Jeżeli żagiel mój wzdęty, to wiatr Twéj sławy go nadął."

Po wydaniu *Mireio*, autor, otoczony już wielkim rozgłosem, powrócił do Paryża. Spotkał go tu upajający entuzyazm stolicy, co ustawicznie wzburzona i zmienna nakształt morza, wylewa się na chwilę u stóp tych, którzy zjawiają jéj się w blasku sławy. Tu dusza poety wystawiona była na wielkie pokusy: ze wszystkich stron radzono mu pozostać w stolicy, wszystko, co uwodzić zdolne, zatrzymywało go tam. Lecz instynkt jakiś szeptał mu, że geniusz jego przebywa w prostocie Prowancyi i tam tylko wypełnić może istotę jego. Dziwiła go i zrażała obojętność, z jaką mieszali się w tłumie wybranych przedstawiciele najrozmaitszych opinii, które w kraju jego przepaść dzieliła. Spotkał się tu z Renanem, który wydawał mu się Lucyperem we własnéj osobie, a Renan mówił o *Mireio* w tak słodkich i pochlebnych wyrażeniach, że jéj autor, przejęty niemi do głębi duszy, uląkł się o swą wiarę, która była dlań świętém dziedzictwem ogniska rodzinnego. Czuł, że w odurzającém środowisku wielkiego miasta pomału rozpierzchną się czyste i pierwotne skarby jego duszy, nagromadzone w otoczeniu matki, lasów, gór i wielkiego Rodanu, — i uciekł z Paryża, ratując swe skarby. Nie zapomniał też słów, które wyrzekł doń w czasie odjazdu piekarz-poeta z Nimes, Reboul; „Mistral, udajesz się do Paryża. Pamiętaj, że w Paryżu stopnie schodów są ze szkła. Nie zapominaj o matce! Nie zapominaj, że stworzyłeś *Mireio* w *mas* Maillane'u i że to właśnie czyni cię wielkim! I nie zapomnij, że dobry katolik z parafii św. Pawła przed chwilą włożył koronę na twą głowę."

Z Meillane'u Mistral kierował wydawnictwem swych dzieł: *Mireille* ukazała się w 1859 r., *Calendal* w 1866, *Iles d'or* w 1874, *Nerte* w 1884, *La reine Jeanne* w 1891 r. [1]). Obecnie pracuje nad poematem o „Rodanie", który ma być koroną dzieł jego. Tam również przygotowuje zbiór swych mów i pisze swe „Pamiętniki". Wreszcie, przez całe lat 40 ogładza i ożywia w najprawdziwszém, właściwém narzeczu prowansalskiém „sornetty"—opowieści matek i babek, które tak zachwycały jego dzieciństwo. Zbierał je w czasie odpoczynków z ust robotnic i podczas wieczornych opowiadań prządek. Niezmiernie też przysłużył się nauce ułożeniem bogatego słownika prowansalskiego i innych narzeczy południowych, *Lou Tresor dou Felibrige* (tak się ten słownik

---

1) *Calendal*, epopeja romantyczno-historyczna w 12 pieśniach; *Lis Isclo d'or*, zbiór pieśni, romansów, sonetów i opowieści; *La Rèino Jano*, duży utwór historyczno-dramatyczny.

nazywa)—ten skarb felibryzmu, do którego zbierał materyały we wszystkich zakątkach Prowancyi, sam jeden uczyniłby autora sławnym. Nad dziełem tém pracował 30 lat [1]).

*
* *

Mistral nie poprzestał wyłącznie na działalności literackiéj, lecz stworzył ruch, który wnet przekroczył granice czystéj poezyi. Ruch ten ma na celu niepodległość, naprzód lingwistyczną i literacką, następnie administracyjną i do pewnego stopnia polityczną Południa wogóle i Prowancyi w szczególności. Téj to sprawie poświęcił całe swe życie i poezyę swą. On téż doprowadził do skutku ową ciekawą ligę felibrów.

21-go maja 1854 roku w dzień świętéj Estelli, dzisiejszéj patronki felibrów, siedmiu młodych poetów: Teodor Aubanel, Jan Brunet, Anzelm Mathieu, Fryderyk Mistral, Józef Roumanille, Alfons Tavan i Paweł Giéra, złączonych ścisłą przyjaźnią i wspólnemi dążeniami, zebrało się w zamku Fontségugne (w blizkości Châteauneuf-de-Gadagne, dep. Vaucluse) na ucztę i postanowili nadać sobie i swym następcom nazwę, któraby ich wyróżniła. Inicyatywa wyszła od Mistrala, i on téż ochrzcił nowe towarzystwo mianem felibrów. Mistral słyszał raz w Maillane staruszkę, śpiewającą „Gorzkie żale", w których N. P. Marya opowiada swemu Synowi o swych siedmiu boleściach. Jest to rymowane opowiadanie, które dotychczas śpiewa w niektórych miejscach lud prowansalski. W opowiadaniu tém znajduje się właśnie słowo „felibre." Co oznaczało ono? Staruszka sama nie wiedziała, Mistral zaś ani nikt inny znaczenia tego słowa się nie dowiedział [2]). Ale słowo było nowe, dźwięczne i łatwo nadające się do rymów, więc „było oklaskiwane przez siedmiu gości i *Armana prouvençau*, organ nowéj szkoły, zaproponowany i założony na temże posiedzeniu, obwieścił Prowancyi, Południowi i światu całemu, że odnowiciele literatury prowansalskiéj nazwali się felibrami." Organ ten był głównie przeznaczony dla ludu. (*Armana prouvençau per lou bèl an de Diéu 1855*, *adouba*

---

[1]) Słownik ten został całkowicie ukończony w 1886 r. Zawiera przeszło 2,400 trzyszpaltowych stronic, in 4-o.

[2]) W swym „skarbie felibryzmu" Mistral podaje rozmaite objaśnienia etymologiczne, przedstawione przez rozmaitych filologów. Wywodzono więc: 1) od łacińskiego *felibris* lub *fellebris*, od słowa *fellare*, ssać, skąd słowo *filius* syn; 2) z greckiego φιλεβραιος (filosemita), którém to słowem nazywano przez długi czas w synagogach doktorów prawa; 3) z greckiego φιλαβρος—przyjaciel piękna; 4) z irlandzkiego *filea*—poeta, 5) z prowansalskiego *fe libre*—wolny przez wiarę i t. d. i t. d.

e publica de la man di felibre). Zajął się nim szczegolniéj Roumanille, lecz oryginalność swéj formy organ ten zawdzięcza Mistralowi, który natchnął go swym duchem. Powodzenie tego wydawnictwa ciągle wzrastało [1]). Służyło ono za łącznik zwolenników „sprawy.” Kolekcya 40 przeszlo tomów, które już wyszły, wraz z temi, które się jeszcze ukażą, posłuży za źródlo do badania historyi ruchu prowansalskiego, lub przynajmniéj ruchu oficyalnego, jeżeli tak wyrazić się można, gdyż niebawem religia ta, któréj Roumanille był zwiastunem, Aubanel gorącym apostołem, a Mistral prorokiem i niemal bogiem—znalazła swych heretyków.

Po kilku latach powolnéj propagandy, Mistral powziął myśl nadania felibryzmowi egzystencyi korporacyjnéj i w *Armana prouvençau* opublikował w 1863 roku pierwsze statuty stowarzyszenia felibrów oraz listę 50-ciu członków, którzy mieli utworzyć rodzaj akademii prowansalskiéj, podzielonéj na siedm *tiero* czyli oddziałów. Był to tylko szkic tymczasowy, lecz jego autor ciągle myślał o tém, żeby go ulepszyć. W roku 1876 został ułożony plan ostateczny, który ukonstytuował całą hierarchię. W r. 1879 statuty, ułożone przez Mistrala, zostały entuzyastycznie przyjęte przez zgromadzenie, zwołane do sali kapitulnéj templaryuszów w Awinionie. Felibryzm został podzielony hierarchicznie na rozmaite stopnie: konsystorze, majorów, z naczelnikiem najwyższym, którego otaczają kanclerz, asesorowie i syndycy. Naczelnikiem najwyższym obrany został naturalnie Mistral, który utrzymał się na tém stanowisku aż do ostatnich czasów, kiedy postanowił odstąpić tę godność naprzód Romanille’owi, potém Felixowi Gras. Ten ostatni jest naczelnikiem t. zw. młodego felibryzmu, który pod względem „idei” jest w zgodzie ze starą grupą, różni się zaś od niéj zupełnie odrębnemi przekonaniami politycznemi i religijnemi. Szeroki plan, pomyślany przez Mistrala, nie ograniczał się na Prowancyi: obejmował Langwedocyę, Akwitanię, Limousin, Owernie i nawet Katalonię. Chodziło mu o stworzenie języka literackiego, wspólnego całemu temu obszarowi, oraz pewnéj jedności w akcyi i dążeniach.

Ideę tego planu znajdujemy w „Hrabinie”, utworze Mistrala, który podług autora skierowany jest tylko przeciw centralizacyi. Trudno jednak nie dopatrzyć się w nim, jak i w całéj działalności felibrów, czegoś więcéj pod względem tendencyjnym. W utworze tym Prowancya przedstawiona jest jako hrabina, ogołocona ze swego mienia przez

---

[1]) Podług E. Boehmera („Die provenzalische Poesie der Gegenwart“), który pisał o tém w 1870 r., liczba czytelników tego wydawnictwa miała wynosić 30,000.

złą swą siostrę i zamknięta w klasztorze; przy każdéj strofie znajduje się propagacyjna zwrotka: „ach, gdyby chciano usłuchać głosu mego! Ach, gdyby chciano pójść za mną.” Chodzi o wyzwolenie uwięzionéj hrabiny, o przywrócenie jéj bogactw i blasku.

Idea „małéj ojczyzny,” jak nić barwna, przewija się przez całe życie Mistrala i przez wszystkie jego dzieła. Jest ona celem i duszą całéj jego działalności, wszystkich pieśni, poematów, dramatu, opowieści, słownika -- bez téj idei zrozumiéć nie można ani poety, ani dzieł jego.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad utopijnością politycznych pożądań felibrów. Ale istnienie ich przebija się wyraźnie w wielu utworach. W *Calendau* (wyd. 1867 r.), w poemacie o 12 pieśniach, Mistral opowiada przygody pewnego rybaka, który odbił księżniczkę hersztowi zbójców. Księżniczką jest tu widocznie Prowancya. Na uczcie w St. Remi Mistral tak się wyraził: „Chcemy, aby lud nasz dowiedział się, że ojcowie nasi uważali się zawsze za rasę oddzielną. Powinien on wiedzieć, że przodkowie nasi przyłączyli się swobodnie i z godnością do szlachetnéj Francyi, z godnością, to znaczy: zachowując swą mowę, zwyczaje i obyczaje, swe imię narodowe. Niech wié lud nasz, że gdy on tego chciał, język, którym mówi, był językiem poetyckim i literackim Europy, językiem miłości, sztuki, wolności municypalnéj, cywilizacyi. Patrz, dzielny ludu, czego cię nauczyć chcemy: nie rumienić się wstydem przed byle kim, jak zwyciężony, nie wstydzić się swéj historyi, swéj ojczyzny. napowrót zająć stanowisko swoje; pierwsze miejsce wśród ludów południa. I gdy każdy Prowansalczyk i każdy Katalończyk w ten sposób odzyska swą cześć, wtedy zobaczycie, jak wsie nasze zamienią się znowu w miasta, i gdzie teraz tylko pył prowincyi leży, tam ujrzycie, jak rozwiną się sztuki, wzrośnie literatura, powstaną wielcy ludzie, ujrzycie naród w rozkwicie [1].” Rozumié się, że Mistral uskarża się bardzo na to, że język prowansalski jest ze szkół usunięty. Wyraźne światło na separatystyczne dążenia felibrów rzuca Prowansalczyk i były felibr, Eugeniusz Garcin. Legré opowiada o nim, że z początku przyłączył się do felibrów z większym zapałem, niż inni, lecz po to tylko, aby z równym zapałem i energią działać późniéj przeciw sprawie felibrów, jak przedtém ją popiérał. Garcin ogłosił pamflet przeciw Mistralowi i felibrom, w którym poraz pierwszy zjawia się oskarżenie o separatyzm. Chodzi tu już wyraźnie o coś więcéj, niż o decentralizacyą, gdyż sam Garcin odrzuca centralizacyą administracyjną, jako wyraz despotyzmu. Obwinia on Mistrala o zamach na narodową jedność francuską. Podług niego, nie ma wcale prowansal-

---

[1]) P. Boehmer, *die prov. Poesie d. Gegen*, str. 25.

skiego narodu i podział na południe i północ Francyi byłby nieszczęściem dla postępu. „Teorye Mistrala—pisze—czynią nadzieje legitymistom [1]), gdyż walczą o stare porządki prowincyonalne; z drugiéj zaś strony mają one wiele przyciągającego dla republikanów, gdyż zdają się dążyć do państwa związkowego. Dlatego system jego zapuszcza korzenie w Prowancyi, w Katalonii, nawet w kołach paryskich... Paryż jest Francyą, Paryż jest wodzem duchowym narodu" — i z téj centralizacyi intelektualnéj cieszy się Garcin.

* * *

W r. 1870 pisał cytowany już przez nas Boehmer: Francya posiada mocną jedność państwową, lecz nie jedność narodowościową, przeszło 1/3 część Francuzów nie mówi po francusku. „Na 37 1/2 miliona ludności, przebywającéj na państwowém terytoryum Francyi (nie licząc Korsyki i kolonii) — nie francuskiéj mowy używa (licząc w okrągłych cyfrach) 1 1/2 mil. Basków i Celtów, 1 1/2 mil. Niemców i 10 milionów prowansalczyków." Teofil Gautier, w sprawozdaniu ministeryum oświaty za rok 1868 o postępach literatury we Francyi, pisze: „Mistral ma to nieszczęście, że jest wielkim poetą, piszącym w narzeczu, rozumianém tylko przez ograniczoną ilość publiczności. Nieszczęście to, należy przyznać, nie bardzo go zasmuca, gdyż podług niego, język francuski rozumiany jest tylko w 8 lub 10 departamentach środkowéj Francyi. W jakich 30-tu innych departamentach mówią po baskijsku, hiszpańsku, celtycku, niemiecku, walońsku, włosku, nie licząc rozmaitych *patois*, kiedy język prowansalski liczy sobie 15 milionów ludzi."

„*Armana Prouvençau*" za rok 1863 (str. 29) liczy, że w 30 departamentach 10,191,554 ludzi mówi językiem *d'oc*.

Że dziś język francuski jest rozumiany przez daleko większą ilość Francuzów, o tém nie można wątpić. Od czasu istnienia republiki, oświata, powszechne nauczanie zapuściło mocne korzenie. A że państwo, szerząc oświatę, rozpowszechnia jednocześnie znajomość języka państwowego, to rzecz wiadoma. Bądź co bądź, w rozmaitych zakątkach Francyi daje się jeszcze dziś słyszéć nie francuska mowa Ma to szczególniéj miejsce w Prowancyi.

Językiem literackim felibrów jest narzecze popularne z St. Remi

---

[1]) Pierwsi zwłaszcza felibrzy byli gorącymi legitymistami i nie uznawali Francyi bez króla. Mistral opublikował w „Aiôli", oficyalném piśmie „sprawy", wychodzącém od paru lat w Awinionie, dwa listy hr. Paryża, w których reprezentant tradycyjnéj monarchii, wyraża wielkie uwielbienie dla poety i całą swą sympatyę dla dzieła decentralizacyi prowincyonalnéj, przedsięwziętego przez felibrów.

i jego okolic. Mowa ta rozpowszechniona jest bez znamiennych różnic wzdłuż rzeki Rodanu, od Oranżu aż do Martigues. Jestto jedna z odmian języka gallo-romańskiego, jedna z tysiąca form, które przybrał język, przyniesiony przez Rzymian do Galii, zależnie od szerokości i długości geograficznéj. „Ogólne zasady fonetyczne tego narzecza są wspólne z innemi narzeczami Galii, mianowicie, dzieli ono wraz z północną Francyą wiele degradacyi dość niedawno ustalonych, jak np. zatarcie się wszystkich prawie spółgłosek, jeżeli za niemi nie następuje samogłoska, wymawianie *c* przed *e*, *i*, jak *s*, osłabienie *l* w *y*. Zachowało ono natomiat piękne dwugłoski (*ái*, *áu*, *óu*, *òu*, *éu*, *èu*) i nie skróciło swych słów, co im nadaje więcéj archaizmu i bogactwa dźwięków. Francuskie *e* „nieme" na końcu słów zastępuje tu dźwięk pośredni między *o* i *ou*, który pisze się *o* i wymawia się wyraźnie (*prouvenço*, *bello*). Język prowansalski posiada, prócz tego, nieakcentowane końcówki *e*, *es* (*cante*, *cantes*) i *i*, *is*, przez co otrzymuje się bardziéj urozmaiconą muzykę słowa. Charakterystycznym rysem téj mowy, który dla ucha naszego ma coś pieszczotliwego, lecz sprawia zarazem wrażenie mowy dziecinnéj—jest wymawianie litery *ch* jak *ts*, litery *g* i *j* jak *dz* (*chato* = *tsato*, *moungeto* = *moundzeto*); natomiast nosowe *m*, *n* na końcu słów lub przed spółgłoską nie znikły, jak w języku francuskim, w którym nadają dźwięk nosowy poprzedzającéj samogłosce."

„Ze wszystkich tych warunków fonetycznych wynika mowa harmonijna i łagodna, w któréj akcent, bardziéj uwydatniony, aniżeli we francuskim, posiada również bardziéj muzykalny charakter, w któréj bogaty system samogłosek i dwugłosek nadaje koloryt i rozmaitość dźwiękową wymowie, w któréj wszystkie sylaby wyraźnie się artykułują, w któréj miękkość nie wyklucza siły, w któréj rytm, właściwy każdemu słowu, pozostaje zawsze uczuwalny, bez wysiłku nagina się do przejściowych ruchów uczucia lub namiętności" [1]).

Pod względem formy, dwa fakty rzucają się najbardziéj w oczy. Rzeczowniki straciły wszelką różnicę liczby pojedyńczéj i mnogiéj. W języku francuskim ma to wprawdzie również miejsce w wymowie, lecz niezawsze, mianowicie przed samogłoską następującego słowa; liczba mnoga zachowała się w każdym razie w pisowni, przyczém niektóre słowa, kończące się na *l*, mają prawdziwą liczbę mnogą (*chevaux*, *cieux*). Z drugiéj strony, zachowane zostały końcówki osobowe czasowników.

Pracując nad dźwignięciem literatury ojczystéj, felibrzy napotkali dwie ważne trudności. Język ich, który do czasu powstania no-

---

[1]) G. Paris: *Poètes et penseurs*. — F. Mistral: *La langue*.

wéj literatury służył tylko do użytku chłopów i robotników, nie posiada wyrazów dla abstrakcyi i wogóle dla idei, będących wytworem wyższéj kultury. Aby temu zaradzić, bierze się słowa francuskie i przebiéra się je po prowansalsku, co nadaje im charakter zapożyczonych. Jeżeli stworzoną zostanie prawdziwa literatura prowansalska, brak ten niepostrzeżenie się zatrze; wszak w każdym innym języku jest tyle słów cudzoziemskich, które wydają się teraz zupełnie swojskiemi, dlatego że powolniéj zapożyczone zostały z zagranicy. Z drugiéj strony, jako język warstw niższych, mowa prowansalska posiada mnóstwo słów charakteru grubego i trywialnego. „Wynika z tego często ten szczególny rezultat, że dana strofa Mistrala (mianowicie w *Calendau*, gdzie autor pragnął wznieść się na wyższy poziom), która w tłómaczeniu wydaje się szlachetną i pociągającą, nabiéra dla czytelnika francuskiego charakteru trywialnego i prawie komicznego, gdy ten zagląda do oryginału."

„Lecz obok tych braków i chropowatości, słownik Mistrala posiada bogactwa, energię i słodycz, które czynią z niego instrument, znakomicie zastosowany do muzyki, jaką chciał wywołać. Przedewszystkiém, przyroda i życie południowe, tak różne od tego, które się odzwierciedla w języku północnéj Francyi, przedstawiają masę przedmiotów, wrażeń, czynności, zwyczajów, które nie posiadają i posiadać nie mogą ścisłych wyrażeń w języku francuskim. Trzeba widzieć w poematach Mistrala niezliczoną ilość nazw ptaków, owadów, roślin, narzędzi, sprzętów domowych, wyrazów, odnoszących się do uprawy roli, chowu bydła, do przemysłu, polowania, rybołóstwa, żeglugi, które tłómaczenie może oddać tylko przez równoznaczniki nieścisłe lub pedantyczne określenia naukowe!" (G. Paris, str. 107).

Chcąc z prowansalskiego uczynić język literacki, Mistral oczyścił go, o ile można było, ze słów francuskich, które wkradły się nawet do mowy ludowéj i ustalił pisownię. Dzięki jego wysiłkom i jego uczniów, oczyszczony język prowansalski wchodzi powoli w użycie wśród ludu. Pisownia, ustalona przez Mistrala i Roumanille'a, używana jest we wszystkich dziełach felibrów. Prócz tego, Mistral wzbogacił język prowansalski wyrazami, znalezionemi po za ścisłemi granicami tego narzecza, o ile dawały się zastosować do nowych odcieni uczuć lub czynności. Zachował też mnóstwo wyrazów starych, któreby były zniknęły zupełnie z użycia, gdyby ich Mistral nie podjął. Wreszcie, potrafił doskonale wyzyskać i rozwinąć wszystkie źródła tego języka.

Niektórzy zarzucają felibrom, że język Mistrala nie jest językiem ludowym. Poezya autora *Mirei* ma być niezrozumiałą dla chłopów

z nad Crau, jak również dla dziewcząt z Comptatu — a to z dwóch przyczyn: wielu słów, używanych przez Mistrala, w rzeczywistości nie zna lud téj lub innéj miejscowości; powtóre, narzucił on wymowie i ruchomym formom gwary popularnéj ścisłość i stałość, których te nie mają wcale; język, w którym pisze Mistral, jest językiem, jakim nikt nie mówi, i który tylko ci rozumieją, co go przestudyowali w jego dziełach lub dziełach jego naśladowców. Jest to do pewnego stopnia prawdą, ale nie zupełną. Niektóre poezye Mistrala znane już są całemu ludowi Prowancyi: hymn słoneczny, którym rozpoczynają się „Złote wyspy", stał się pieśnią popularną. Wiele jego pieśni znane są w rozmaitych okolicach i wszędzie zrozumiałe. Oczywiście, w każdéj prawdziwie artystycznéj poezyi znajdują się ustępy, niezrozumiałe dla niewykształconych, nawet gdy są pisane w ich języku. Język literacki nie jest językiem gwary ludowéj, a Mistral chciał stworzyć właśnie taki język, chciał z prowansalskiéj gwary, rozmaitéj w rozmaitych miejscowościach, uczynić język n a r o d o w y. Zdaniem specyalistów, język literacki Mistrala jest pod tym ostatnim względem bliższy języka ludowego, aniżeli jakikolwiek inny.

Daleko ważniejszy zarzut, jaki spotkał felibrów, jest następujący: jeżeli języka ich nie używa lud, jeszcze mniéj używają go ludzie wykształceni, nie wyłączając samych felibrów! Mistral rozmawia ze swymi przyjaciołmi o sztuce lub filozofii po francusku, a nie po prowansalsku! W ten sposób język prowansalski staje się „*patois*", ograniczonym do wyrażania tego, co mówi lud niepiśmienny, lub do tego, co chcą mu powiedziéć literaci. Przez długi czas usiłowania felibrów spotykały w saméj Prowancyi więcéj wzgardy, aniżeli sympatyi. Mistral nieraz miał świadomość fałszywego swego położenia między ludem, który go na pół tylko rozumiał i między ukształconemi warstwami, które nie chciały go brać na seryo. „Lecz chłopki nie rozumieją wierszy, a mieszczanki pojmują je na opak!" — wykrzykuje zrażony poeta w „Złotych wyspach". Było to jednak w roku 1868-ym. Dziś „mieszczanki" prowansalskie zajmują się felibryzmem z sympatyą i poezya felibrów znajduje coraz większe uznanie w Prowancyi. „Nie dowodzi to jednak, aby język prowansalski stał się z czasem językiem poważnych rozmów — i wątpić należy, czy się kiedykolwiek uda felibrom zastosować go do dziennikarstwa, historyi i t. d., t. j. prócz poezyi do prac filozoficznych" (G. Paris). Dla samych felibrów język francuski pozostaje dotąd językiem rozumowania i prozy. Język ich nadaje się prawie wyłącznie do poezyi i do niéj też został zastosowany.

Wierszowanie felibrów podobne jest do francuskiego. Wszystkie wiersze prowansalskie, począwszy od XVI-go wieku, wzorowane były na wierszowaniu francuskiém. Roumanille nie postąpił inaczéj, jak jego poprzednicy, i Mistral nie wszedł na nowe tory. Bo téż nie sposób im było naśladować pracowite komplikacye wierszowania trubadurów.

* * *

Mireille, która ukazuje się teraz w tłómaczeniu polskiém, staraniem „Biblioteki najcelniejszych utworów", należy bezwątpienia do najlepszych utworów Mistrala. Wprawiła ona w zachwyt nietylko starego Lamartine'a, lecz i akademię francuską, która nagrodziła ją medalem w roku 1861-ym. Mistral sam ją tłómaczył na język francuski, z czego zapewne skorzystał tłómacz polski, w przeciwnym bowiem razie miałby niesłychanie trudne zadanie. Jest to epopea w 12 pieśniach, przedstawiająca obraz życia ludu prowansalskiego, osnuta na tle historyi miłosnéj. Historya ta jest bardzo prosta i rozwija się z homeryczną szerokością, powoli, nieprzerwanie, przykuwając silnie uwagę czytelnika, powiedzielibyśmy—widza, przed którym przesuwają się kolejno wspaniałe obrazy przyrody prowansalskiéj i zaludniających Prowancyę żywych istot i duchów legendowych. Mireio, 16-letnia córka bogatego chłopa prowansalskiego, kocha się w Wincentym, synu biédnego koszykarza. Ojciec jéj nie zezwala na ten związek, i Mireio, po daremnéj walce, postanawia udać się nad brzeg morza, gdzie stoi kaplica trzech Maryi, aby błagać je o pomoc. Bieży tedy bez odpoczynku przez szerokie pola, w żar słoneczny, dociéra do kaplicy i wyczerpana z sił—umiéra. Ta, tak prosta historya, dała autorowi sposobność do wymalowania przecudnych obrazów. Sceny w czasie zbioru liści morwowych, zdzierania kokonów z gałęzi drzew, towarzyszące przytém rozmowy i pieśni — są nadzwyczaj piękne. Wspaniały jest obraz, w którym przed wzrokiem naszym rozwija się bogactwo stad pasterza, starającego się o rękę Mirei. Tu miał się ukazać w całéj swéj ozdobie język poety, pełen znaczenia i pięknych wyrażeń, język, który własność danego zwierzęcia jedném słowem określić potrafi, kiedy tłómaczenie francuskie musi daleko okrążać. Daléj, zjawia się drugi konkurent Mirei, właściciel stadniny dzikich rumaków, które wydają się, jakgdyby się zerwały od wozu Neptuna, czując się dobrze tylko w oceanie powietrznym—nowy wspaniały obraz. Po nim zjawia się trzeci konkurent, Urias, pogromca rozwścieczonych byków. Nadchodzi noc ś. Medarda. Topielcy wypływają na powierzchnię Rodanu i szukają swych dobrych uczynków, które w rękach ich zamieniają się na kwiaty,

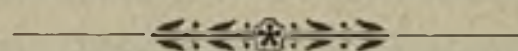
a kwiaty te pozwalają im płynąć do nieba. Pojawiają się też złe duchy i dyabły; łódka, na któréj Urias chce przepłynąć, pociągnięta zostaje na dno, i prąd grzebie go w nurtach rzeki. Cudowny obraz fantastyczny. Konającego Wincusia, zdradziecko ugodzonego przez Uriasa, Mireio zanosi do czarownicy, mieszkającéj w jamie górskiéj. Rozwija się tu znów obraz przesądów ludowych. Uzdrowiony kochanek powraca do ojca i błaga go, aby się starał dlań o rękę Mirei. Scena między dwoma ojcami jest znakomicie odmalowana. Ojciec oznajmia Mirei, że nigdy nie ujrzy swego kochanka. Mireio przypomina sobie trzy Marye, o których mówił jéj kochany przy pierwszém spotkaniu, jako o potężnych pomocnicach. Lud prowansalski opowiada sobie, że Marya Magdalena, Marya Jakóbowa i Marya Salomea, po śmierci Chrystusa, rzucone zostały do łódki i oddane na pastwę bałwanów morskich. Zapędzone na brzegi Prowancyi, zostały tu pierwszemi apostołkami Ewangelii, a potém osiedliły się wszystkie trzy na jedném miejscu, gdzie obecnie stoi kaplica trzech Maryi. Mireio, któréj dusza odchodzi już od ziemi, słyszy w kaplicy, jak trzy święte opowiadają jéj zwycięstwo Krzyża w Prowancyi, poczém przygląda się ich odpłynięciu w łódce na pełne morze. Zamyka wreszcie oczy w kaplicy, otoczona swymi rodzicami, którzy pobiegli w jéj ślady. I kochanek jéj przyleciał, jak wicher polny i pocałunkami swemi pokrywa trupie lica kochanki.

Adolf Wars—ki.



Z ALBUMU PRZYJAŹNI.

NOWELA.



Starożytność zostawiła nam w spuściźnie przepis na przyjaciela, który ma być dobry, stały, wierny, szlachetny, zdolny do poświęceń, miłujący prawdę, szczodry, prawy, mężny, nieskazitelnie czysty jako charakter. Wielu z tych zalet nie posiadał w różnym stopniu Alfons D., mój przyjaciel i kolega szkolny. Młodość kocha, nie pyta dlaczego. Czuje ona szczérze potrzebę wyzwolenia uczuć, co właśnie stanowi tajemnicę wszelkich związków, kojarzących się między młodzieżą; dobór jest tu sprawą czysto indywidualną.

Podobał mi się mój przyjaciel, wysmukły młodzieniec, z bujną czarną czupryną, namiętnemi oczyma, z dziarskim wyrazem twarzy, krzepką ręką. Jedynak u matki, bogatéj pani, rozpieszczony, krnąbrny, skłonny do gwałtownych wybuchów, leniwy, chociaż zdolny, niebawem zasłużył sobie w szkołach na niełaskę nauczycieli.

W klasie trzeciéj wzięliśmy się parę razy dobrze za czuby tak, że każdemu z nas pozostał w garści pęk włosów, wydartych drugiemu. Gwałtowniejszy zatarg wybuchnął w klasie czwartéj, po skończonéj lekcyi rysunków: Alfons ściągnął mię przez głowę linią, która poszła w trzaski; ja połamałem na jego grzbiecie rajzbret. Dostaliśmy się do ciemnéj kozy i wtedy to zawiązaliśmy stosunki przyjaźni, a dobrze pamiętam, że początek naszéj rozmowy w kozie obracał się około jednego punktu: „Imię każdego z nas zaczyna się od A., nazwisko od D.”

Władza szkolna być może zmierzała do tego, abyśmy się pojednali, doznając wspólnéj niedoli więzienia. Cel ów w zupełności osiągnięto: powracaliśmy z kozy do domu, trzymając się pod ręce. Alfons zachwycił mię wtedy nadzwyczajnie, przemawiając z wielką pewnością siebie i lekceważeniem o przepisach szkolnych, dotyczących zrywania przez uczniów różnych owoców zakazanych, jak: palenie fajki, picie wódki, gra w karty. Tegoż samego dnia pamiętnego, rozmawialiśmy z niemałém zajęciem o roli, którą w ludzkości odgrywają mężczyźni i kobiéty...

No i odtąd sprzymierzaliśmy się już bardzo często, a zwykle kiedy chodziło o użycie przyjemności z przekroczenia przykazań szkolnych. W sprawie porozumienia się co do wspólnego wypalenia fajki, urządzenia wyprawy na wagusy i t. d., wystarczały nam obu spojrzenia, migi, półsłówka. Klasę piątą przebrnęliśmy jakoś szczęśliwie, uchodząc przed bardzo bacznem okiem pana inspektora, który coś jednak przewąchiwał i od czasu do czasu czepiał się już mnie, już Alfonsa. Byliśmy w szóstéj klasie, kiedy pod koniec stycznia wyszły na jaw rozmaite nasze przestępstwa: inspektor schwytał nas obu na gorącym uczynku kurzenia fajki, picia wódki i gry w karty — dyabełek po trojaku do puli. Krótko się namyślała władza szkolna nad wymiarem kary na winowajców. Za mną przemawiały przynajmniéj postępy w naukach, tak zwane trójki, czwórki, piątki; Alfons, choć zdolny, zarabiał jedynie na pałki i dwójki, a przeto wydalono go ze szkoły. Poprawę moich złych obyczajów szkoła wzięła na siebie: otrzymałem dziesięć rózg chłosty i odsiedziałem okrągłą dobę w ciemnéj kozie o chlebie i wodzie.

Bolało mię takie upośledzenie, gdyż czułem, że w niczém nie jestem niższy od Alfonsa. Uspokoiłem się wtedy dopiéro, kiedy zacny ksiądz prefekt przyzwał mię do swego mieszkania raz, drugi, trzeci, przedstawił całą zgrozę występków, wzruszył do łez i wymógł przyrzeczenie poprawy. Skruszony grzesznik, nie piłem już wódki, nie grywałem w karty, tylko ukradkiem po kątach ćmiłem jeszcze fajczynę, wspominając przyjaciela-bohatéra.

Wkrótce téż potém stratę Alfonsa wynagrodziła mi Kazia, śliczna dziewczyna, którą widywałem tylko zdaleka. Rzuciłem się do pisania wierszy miłosnych i, nosząc w duszy ideał anioła, ukończyłem szkołę. Podczas wakacyi pisywałem tak tkliwe i smętne ody do Kazi, że cztérnastoletnia siostra moja, któréj wyznałem tajemnicę serca, zaléwała się łzami po kątach ku strapieniu matki, nie mogącéj pojąć przyczyny smutku i płaczu. Obraz Alfonsa ściemniał jakoś w mej pamięci, Kazia go zaciérała.

Pamiętam dzień, kiedy otrzymałem świadectwo dojrzałości i uważałem się za człowieka skończonego. Z tym patentem na sercu przeszedłem kilka razy pod oknami Kazi w nadziei, że jeśli ją przypadkiem spotkam, wyznam natychmiast gorącą swoję miłość i złożę swą dojrzałość u stóp ubóstwianego anioła. Naraz spostrzegłem toczącą się od rogatki brykę w cztéry fornalskie konie, a na bryce ojca, który mię już z oddalenia dojrzał i kiwnięciem palca przyzwał.

— Patent jest? — Zapytał.

— Jest! — Odrzekłem, całując spaloną przez słońce rękę rodzica, a bałem się go zawsze jak ognia.

Musiałem wyrzec się Kazi, wsiąść na brykę, jechać do zajazdu, a potém, razem z fornalem, pakować swoje manatki. Ojciec tymczasem poszedł do pana inspektora, zapewne w celu podziękowania za opiekę nademną. Dała mi się nieraz ta opieka we znaki! Inspektor ćwiczył mię zawsze własną ręką, a w trzeciéj klasie dostałem raz o trzy rózgi więcéj niż inni.

W zajeździe u Ołdakiewicza, oczekiwałem ojca bardzo niecierpliwie, ponieważ żywiłem płonną nadzieję, że mi sprawi ubranie cywilne u krawca Kanapińskiego i będę mógł pokazać się Kazi jako przyzwoity obywatel. Około godziny jedenastéj w nocy ojciec wrócił, a ja przez otwarte okna numeru słyszałem gromkie jego wołanie: „Walek, zaprzęgaj!”

Pomyślałem wtedy z goryczą: „Nie sprawi mi cywilnego ubrania, nie pożegnam się z Kazią!”

Kiedy ojciec wszedł do numeru, zmiarkowałem z jego oczu i zaczerwienionego nosa, że musiał z inspektorem wypić niejednę butelkę. Przystąpił do mnie, patrzył groźnie swojemi roziskrzonemi niebieskiemi oczyma i porywczo przemówił w te słowa:

— Wisusie, wiész, za co nie dostałeś medalu?.. Bo profesorowie, chociaż uznali twą rozprawę za najlepszą, nie mogli ci dać stopnia z obyczajów! Ale bierz dyabeł medal, mnie twój patent wystarcza!.. Tylko pięknych się tu rzeczy dowiaduję! Do gorzałki się bierzesz, do kart, do fajki, do... do... do... ten tego!..

— Proszę ojca, ja, jak mamę kocham, słowo honoru daję...

— Osieł jesteś! Ani matki nie kochasz, ani pojęcia nie masz o honorze!.. Błazen, z Alfonsem D. się zaprzyjaźnił! To ja, durniu jakiś, panom się muszę wysługiwać, żeby na chléb zarobić, a ty się z nimi upijasz, łajdaczysz! No, no, rozmówię ja się z tobą, łotrze!

Rzecz prosta, uważałem ojca za srogiego tyrana, który brutalnie ubliża mojéj godności osobistéj dojrzałego człowieka. Byłbym się może postawił, odciął, gdyby nie obawa, że gniewem i trunkiem podniecony

rodzic, trzasnąłby mię w kark najniezawodniéj. Zmilczałem więc i w skrytości ducha myślałem o Kazi, jedynym przedmiocie, który wypełniał całą moję istność duchową.

W domu rodziców była tradycyjna biéda, która z dziadów, pradziadów, przechodziła na wnuki i prawnuki. Jako płatny praktykant, spędziłem parę lat u budowniczego, rysując plany, pisząc kosztorysy. Z téj pracy miałem się za co utrzymać; ale zbywało mi na wewnętrznéem zadowoleniu i teraz marzyłem o wstąpieniu na uniwersytet.

Z małym zasobem pieniężnym przybyłem do Warszawy, gdzie jąłem się Cycerona i Homera, którzy mieli mi utorować drogę do przybytku wiedzy: przepoczwarczałem się z realisty na filologa.

Idąc raz przez Krakowskie Przedmieście, spotkałem Alfonsa, dowiedziałem się od niego, że służył w huzarach i dopiéro przed tygodniem wystąpił ze służby. Był to dorodny młodzieniec w całém znaczeniu tego słowa, tylko zawsze mówił głosem jakimś ochrzypłym. Trwonił podówczas resztki swego majątku, żył jeszcze po pańsku, rzucał pieniądze, których mi brakowało tak dalece, że nie codziennie jadałem obiad czy śniadanie.

Podobnie jak w szkołach, Alfons i teraz wskazywał mi nieznane drogi życia: pozawiązywałem stosunki w teatrze, poza teatrem, naturalnie z płcią piękną, poznałem licznych młodzieńców, którzy podówczas używali życia. Niestety, ja obchodziłem się tylko smakiem! Katonem nigdy nie byłem i pohulałbym sobie nieraz, ale tylko za swoje pieniądze, a tych nie miałem.

Parę razy na tydzień przychodził do mnie Alfons, naigrawał się z mojéj pilności, wydrwiwał klasycyzm, a kończyło się na tém, że mię zawsze wyciągnął z domu na jakie śniadanie, czy kolacyą.

Trwało to kilka miesięcy i w ciągu tego czasu mój przyjaciel coś podupadał na duchu, tracił swoję gęstą minę, wygłaszał pesymistyczne uwagi o końcu, jaki go oczekuje. Spostrzegałem coraz większe zaniedbanie w jego ubraniu, bieliźnie, oszczędność w zaspakajaniu potrzeb. Wierny i nieodstępny sługa Alfonsa, Wawrzek, chodził w podartym kubraku, dziurawych butach. Majątkowa ruina panicza widocznie rączym krokiem szła naprzód. Nareszcie jednego dnia, kiedy pracowicie żułem jakąś bibułę, wszedł Alfons. Był małomówny, chodził po izbie, chrząkał, albo z przymusem pogwizdywał: coś go truło.

— Wyglądasz, jak gdybyś się skompromitował. Rzekłem.

— I to ciężko—odpowiedział z westchnieniem.

— No, no? Pojedynek? Awantura?...

— Żeby to przynajmniéj!.. Bydlę skończone, ten Wawrzek, łajdak, przyczepił się do mnie i nie mogę się pozbyć hultaja.

— Także ważny powód zmartwienia!

— Bardzo ważny, gdyż moim obowiązkiem jest nakarmić niewolnika, tymczasem...

— Ha, od tego jesteś panem! — powiedziałem z przekąsem. — Zwyczajny plebejusz, człowiek z tłumu, nigdy nie ma takich strapień.

— Rwie się, runąłem! Ani gotówki, ani kredytu! Mniejsza o to, że sam jestem dziś wściekle głodny; ale Wawrzek, kanalia, od rana patrzy mi na ręce—zemknąłem przed nim właśnie.

Wzruszyła mnie niedola przyjaciela, głodnego poraz pierwszy w życiu i rzekłem bardzo nieśmiało:

— Mam jeszcze trzy bilety na obiady, tylko nie wiem, czy taki obiad na Piwnéj...

— Żadnych romansów! Powiadam ci, umiéram z głodu.

W niespełna godzinę potém zajadaliśmy „Pod papugą” kapuśniak z chlebem; no i następnie podano nam gnat jakiś, który wyobrażał pieczeń cielęcą. Pozostały trzeci bilet spożytkował oddzielnie Wawrzek, gdyż Alfons nie chciał się zgodzić na to, aby jeść obiad współcześnie i w jednym pokoju ze służącym. „Bestya cham, i tak się już zanadto spoufalił!”

Nazajutrz, jak mi mówiono, mój przyjaciel „wydębił” od ciotki, czy téż od wuja-pułkownika, znaczniejszą sumę piéniędzy, za które powozem pocztowym w sześć koni i z pochodniami urządził sobie przejażdżkę nocną do Puław z hrabią Stasiem i z piękną Julcią.

Od obiadu na Piwnéj upłynął może miesiąc czasu, kiedy spotkałem Wawrzka, samopas błądzącego po ulicach Warszawy, a biédnie wyglądał.

— Co słychać?—zapytałem.—Jak się miewa pan rotmistrz?

— Nie służę już teraz u niego, żyjemy sobie osobno, każdy na swoją rękę. Zobaczymy, czy mnie kto zastąpi, kiedy wypadnie grosz jaki od ciotki wydębić!... Przeniósł się do hotelu Słowiańskiego na Podwale i tam mu usługuje taki numerowy, fagas. Ja téż tam nie jestem chciwy tych smaków służby, a u lada kogo nie będę służył!

Był brudny, obdarty, przemawiał z goryczą i tonem człowieka, którego miłość własną ciężko zraniono.

Ja wyczerpałem był podówczas swoje zasoby i żyłem w ostatniéj biédzie. Obchodziłem się bez łóżka, pościeli, i poszukiwałem tak zwanéj „belferki na wieś”, aby uciec z Warszawy przed śmiercią głodową.

Kolega mój, niejaki Szczepcio, zakochał się wtedy w pewnéj urodziwéj właścicielce cukierni, a że doznawał wzajemności, przeto wyrobił mi tam nieograniczony kredyt na kawę i ciastka. Otóż, ile razy brakowało funduszu na obiad, a głód dokuczał, uciekałem się pod

skrzydła Szczepcia, brnąłem w długi za słodycze: sporo się tego uzbiérało.

Tymczasem przez rozmaite stosunki znalazłem sobie pożądaną belferkę w domu szlacheckim i zacząłem prowadzić układy. Wybadywano mnie, dowiadywano się z boku, czy jestem zdolny, moralnie odpowiedzialny do zajęcia stanowiska nauczyciela domowego dwóch wyrostków, umysłowo tępych i urwisów z pod ciemnéj gwiazdy.

Cóż ja mogłem umiéć z zakresu pedagogiki? Dawni moi pedagogowie gorliwie usiłowali dowiéść mi czynnie, że, aby wychować młodego człowieka, trzeba go od czasu do czasu smagać rózgą, a dla rozmaitości — bić po łapach, targać za uszy, skazywać na klęczenie i odsiadywanie kozy. Posiadłem tę sztukę urozmaicania cierpień i sprzedałem ją pierwszemu, kto się nawinął.

W ciągu przebiegu owych układów odwiedzałem parę razy Alfonsa, który pozostawał w przerażającéj nędzy. Całe swoje ubranie już sprzedał i musiał udawać chorego w łóżku. Pożółkł, wychudł, zgorzkniał, sposępniał, jak to mówią—upadł na cztery nogi. Całą nadzieję wyzwolenia się widział w tém, że ciotka albo wuj, do których słał list za listem, przybędą mu z pomocą piénięźną. Nazajutrz, po ostatnich moich odwiedzinach u Alfonsa, zawarłem ostatecznie umowę, a na trzeci dzień otrzymałem upragnioną zaliczkę, dającą mi możność spłaty długów i ucieczki od nędzy. Miałem bardzo ciekawą rozmowę z swoim chlebodawcą, który umyślnie zjechał do Warszawy, aby mnie obejrzéć i osobiście zobowiązać: rumiany, okrągły, dobroduszny — że miło patrzéć—szlachcic.

— Chłopaki, żbiki! — mówił. — Książka im śmierdzi! Proszę, tak po ojcowsku, szczerze, serdecznie, nie żałować rózgi! Brzeziny u nas nie brakuje... Może pan być pewien mojéj wdzięczności, jeżeli toto na ludzi powychodzi! O, bo ja nie jestem z tych ojców, co pobłażają!

Dałem mu do zrozumienia, że sposoby udoskonalenia młodych ludzi przez zadawanie im bólu nie są dla mnie wcale obce i niebawem uzyskałem zaliczkę, a także piéniądze na koszta podróży, którą należało odbyć do Lublina w pocztowym omnibusie; w Lublinie zaś miały na mnie oczekiwać konie.

Szlachcic tego samego dnia odjechał do domu, wziąwszy odemnie uroczyste zapewnienie, że na trzeci dzień wieczorem wyruszę z Warszawy i nie zrobię zawodu koniom jego, oczekującym na mój przyjazd. Teraz jąłem się co żywo dzieła załatwienia swoich zawiłych interesów: jak mogłem, wyłatałem dziury długów, sprawiłem sobie ubranie ciepłe, gdyż był to grudzień, i kupiłem bilet na karetkę do Lublina.

Rano, w dzień swego odjazdu, spostrzegłem, że bez żadnego uszczerbku dla siebie, mogę stracić cztery do pięciu rubli. Wspomniałem Alfonsa:

— Biédny on, nie wyjdzie tak łatwo, jak ja, z kłopotów!

Około pierwszéj z południa poszedłem do niego. Przyjął mnie jakoś opryskliwie, a na moje nowe szaty spoglądał z szyderczym uśmiechem lekceważenia i pozwalał sobie złośliwych uwag o moim zawodzie pedagogicznym.

— Pamiętaj dobrze bić smyków, dopóki nie wybijesz łajdaków! Osłami zostaliby i bez twojéj pomocy, chociaż wątpię, czy bez łaciny można wyjść na osła, co się zowie.

Odcinałem mu się z uśmiechem przyjacielskiego pobłażania, myśląc, że taki sponiewierany przez los człowiek, nieraz złorzeczyć gotów niebiosom. Znając przesadną szlachecką pychę przyjaciela, który, choćby bosy, zawsze nosił ostrogi, a swoją drogą naciągał krewnych i nie płacił długów, nie miałem odwagi ofiarować mu kilku rubli i rzekłem:

— Mój Alfonsie, należy nam się dzisiaj przyjacielski kieliszek wódki!

— Co to znaczy kieliszek? Butelka, dwie!—zawołał wesoło.

Opuściłem go na chwilę, aby niebawem powrócić z zapasem gorzałki, piwa i różnych zakąsek. Wypiliśmy całą butelkę wódki, zjedliśmy, co było, a zalaliśmy to piwem. Rozrzewniliśmy się teraz, jeden drugiemu padał w objęcia i Alfons parę razy powtórzył:

— Ostatniego przyjaciela tracę! Psiakrew, w łeb sobie przyjdzie strzelić!...

Było już dobrze po piątéj, ściemniło się, kiedy wypaliłem papiérosa i rzekłem wzruszony:

— Komu w drogę, temu czas! Przed dziewiątą mam być już na poczcie, a jeszcze muszę wpaść tu i owdzie.

Mój przyjaciel sposępniał i w bardzo uroczystym nastroju zaczął bluźnić losowi, urągać uczuciom rodzinnym, przyjacielskim.

— Psiakrew, to wszystko razem torby sieczki nie warte!

Splunął, zaciągnął się papiérosem, wyglądał przerażająco.

— On sobie gotów życie odebrać — pomyślałem, nie śmiejąc go pożegnać.

Zapaliliśmy w milczeniu świéże papiérosy, a Alfons nieco już spokojniejszym głosem tak przemawiał:

— Dzisiaj, do godziny ósméj wieczorem, mógłbyś mi oddać nadzwyczajną usługę, od czego życie moje zawisło... Ale—dodał z gorzkim uśmiechem—cóż ja mam za prawo żądać od ciebie poświęcenia?

W téj chwili, w głowie méj powstało przypuszczenie, że Alfons pragnie, abym poszedł do jego wuja, czy ciotki, z żądaniem piéniędzy. Istotnie, byłoby to poświęcenie. Myślałem więc, jakby tu się wykręcić. On tymczasem, strzelając oczyma po suficie, mówił, jakby sam do siebie:

— Ciotka wezwała mnie do siebie, chce mi przyjść z pomocą. O wpół do siódméj powinienem być u niéj; no, ale przecież nie mogę przedstawić się nago w salonie.

— Gdybyś powrócił tutaj o wpół do ósméj z pewnością, pożyczyłbym ci swego ubrania—rzekłem zadowolony, że przyjaciel poświęceniem mianuje tak nieznaczną przysługę.

— Jak to, gotów jesteś zostać w téj norze przez parę godzin bez ubrania?

— Tak!—odpowiedziałem głosem stanowczym i niebawem zacząłem zdejmować z siebie szaty.

Wyskoczył z łóżka, rzucił mi się na szyję, w rozczuleniu łzę nawet uronił, a po obu policzkach rozrzucał sążniste całusy.

Za chwilę zmieniły się role: ja ległem w łóżku, na wstrętnie brudnéj pościeli, pocieszony myślną, że spełniam czyn przyjacielskiego poświęcenia; on, ubrany, uśmiechnięty, rzeźwy jak ptak, wypuszczony z klatki. Chociaż byłem niższy, szczuplejszy, Alfons i tak pokaźnie wyglądał w moich szatach, a na odchodném podskoczył, wyciął hołupca, zanucił: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!”

Ucieszyła mnie ochoczość przyjaciela i na razie nie zważałem wcale, w jakiém położeniu pozostaję. Był wieczór, resztka świécy rychło zgorzała i tylko kilka zapałek miałem do rozporządzenia. Zacząłem rozmyślać, że podczas nieobecności Alfonsa może mnie nawiedzić służący hotelowy, zauważyć obcego człowieka, podejrzywać coś, a tu mieszkanie od trzech tygodni nieopłacone. „Gotowi mnie wziąć za oszusta... Ah, przez prędkość nie wyjąłem nawet z kieszeni ubrania piéniędzy, papiérosów!” — Zasunąłem drzwi na rygiel z obawy przed służącym i, zatopiony w myślach, usnąłem. Nie wiem, jak długo spałem; ale, kiedym się ocknął. a Alfonsa nie było, ogarnął mnie niepokój. „Taki waryat może zrobić na ulicy burdę, a tu godzina mego odjazdu do Lublina jest już zapewne bliska.” Znowu odsunąłem rygiel w oczekiwaniu, że mój przyjaciel niebawem nadejdzie. Gdzie tam! Każdy odgłos kroków na korytarzu rozbudzał moją nadzieję i następnie sprowadzał rozczarowanie. Coraz większa gorycz zaléwała mi serce, czarne myśli snuły się nieustannie, miałem chęć opluć przyjaźń, ludzkość. Samotny, wyczekujący w ciemnościach, w niepewności, dostałem jakby gorączki, majaczyłem.

Nareszcie ucichło wkoło, zaległa noc i teraz już usłyszałem bijące w oddaleniu zégary i turkot powozów. Tak doczekałem dnia białego.

Ktoś tam kiedyś opowiadał mi, jakoby istniało takie prawo, na mocy którego wyrzuca się przemocą z numeru na schody niewypłacalnego lokatora i ta myśl mnie opętała. „O, niedobry Alfons, zapewne sam chciał wstydu uniknąć i mnie podstawił! Jestem głupcem, skończonym osłem: wziąć się dałem na przyjaźń... Boże, jak ja będę wyglądał w bieliźnie tylko wyrzucony z hotelu!" Nikt nie zdoła sobie wyobrazić mojéj nadzwyczajnéj rozpaczy. Siedziałem na łóżku i, tuląc twarz w dłoniach, zawczasu obmyślałem sposoby odebrania sobie życia.

W ostatnim razie postanowiłem wyskoczyć oknem z drugiego piętra, jak tylko będą już chcieli wyrzucać mnie na schody.

Czas bardzo powoli upływał, głód dawał mi się uczuwać, a swoją drogą miałem jeszcze jakąś iskierkę nadziei, że Alfons jednak powróci. Przed wieczorem byłem tak głodny, że rzuciłbym się na kawałek staréj podeszwy, a w rozstroju nerwowym łzy cisnęły się do oczu. Przeklinałem ową chwilę, w któréj postanowiłem odwiedzić przyjaciela. „Co za lekkomyślność, co za lekkomyślność!"—powtarzałem sobie w myśli, a z oczu mi nie schodził szlachcic, od którego wziąłem zadatek, zrobiłem mu zawód. „Wczoraj wysłano po mnie konie do Lublina, a skoro dziś nie przybyłem, zarobiłem sobie słusznie na nazwę oszusta, wydrwigrosza."

Doprawdy, miewałem nieraz przygody w życiu ciężkie przeprawy, nigdy jednak nie uważałem się za tak nieszczęśliwego, jak podówczas. Parę razy ktoś pukał, zaglądał do mnie—zapewne przez pomyłkę. Znowu nastała noc, noc strasznych udręczeń: głodu, niepokoju, gorączkowego oczekiwania i nieustannego zawodu. „Nie, trzeciéj takiéj nocy już przecie nie doczekam!" — pomyślałem. Dostałem przykrego bólu głowy, czułem osłabienie, zmęczenie i zasnąłem wśród snujących się urojeń, dziwnych widziadeł. Miałem sen bardzo lekki, jakieś wyraziste postaci i obrazy rysowały się przedemną — możnaby przysiądz, że to rzeczywistość. Umiérałem śmiercią głodową w marzeniu senném: zapadały mi policzki, oczy, schły ręce, nogi, stawałem się szkieletem i czułem całą trwogę konania. Osłabłem, życie uchodziło z ciała i nareszcie umarłem. Jacyś ludzie porwali mnie z łóżka, włożyli w trumnę, spuścili do dołu i zakopali, a ja myślałem we śnie: „Chwała Bogu, wydostałem się z tego przeklętego hotelu!" Wyobraźnia uświadomiła to w marzeniu senném, że lepiéj było umrzéć, niż żyć w takiém położeniu.

Leżę sobie cicho w grobie, spokojny już o przyszłość, a w tém słyszę, że ktoś gwałtownie dobija się, wali pięściami, burzy moją mogiłę. Zerwałem się na równe nogi, spostrzegłem rzeczywistość: ten sam pokój, to samo łóżko.

Jednakże stuk do grobu mego nie był snem: nagle drzwi się z łoskotem rozwarły i do izby wpadła jakaś niewyraźna masa, któréj kształtów nie mogłem rozróżnić w pierwszym brzasku dnia świtającego.

Ten gość runął najprzód na ścianę, od któréj się odbił jak piłka; potém gruchnął na ziemię i natychmiast zaczął chrapać przeraźliwie. Zbliżyłem się do niego, myśląc: „Alfons, czy nie Alfons?" Nie zdołałem nic rozpoznać, czułem tylko woń alkoholu i tytoniu. Teraz z gorączkowym pośpiechem zacząłem rozbiérać owego człowieka i co tchu nadziewałem na siebie jego ubranie, całkiem zabłocone, mokre. Serce biło mi ze wzruszenia na myśl, że mogę nareszcie uciec z hotelu.

Cicho jak złodziéj przebiegłem schody, następnie dziedziniec i drżącą ręką zadzwoniłem na odzwiernego, który téż niebawem otworzył mi bramę.

Dopiéro na ulicy odetchnąłem swobodniéj.

— Czy to tylko nie złudzenie, żem ja już istotnie wydobył się z tego straszliwego piekła?

Wszczynał się był właśnie ów ruch poranny, przejeżdżały wozy z drzewem, z sianem, robotnicy śpieszyli do pracy, a latarnie jeszcze płonęły na ulicach. Stanąłem przy jednéj z latarń i obejrzałem swoje ubranie: wszystko jak gdyby naumyślnie starzane w rynsztoku.

— Komu ja zabrałem te łachmany?

Postawiłem sobie pytanie, na które znalazłem jedną odpowiedź:

— Widocznie jakiś człowiek po całonocnéj pijatyce przypadkiem wpadł da mieszkania Alfonsa i ja go obdarłem.

Nie miałem najmniejszéj wątpliwości, że obdarłem kogoś obcego, ponieważ ubranie w niczém nie przypominało moich szat, w które przybrałem był Alfonsa.

— Cobądź się stało, ja do hotelu nie wrócę!

Powiedziałem sobie stanowczo i pomknąłem w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Idąc tak, głodny, drżący z zimna, włożyłem ręce w kieszenie surduta i poczułem pod palcami wielką obfitość jakiéjś bibuły pomiętoszonéj, pozwijanéj w kulki, nawpół przemokłéj. Wyjąłem garść tego i przy świetle latarni łatwo się przekonałem, że mam do czynienia z piéniędzmi. Trzymałem w garści banknoty różnéj wartości — nawet sturublówki. Osłupiałem na taki widok, a jednak nie zapomniałem, że jestem głodny w najwyższym stopniu.

Ażeby być uczciwym, trzeba najprzód głód zaspokoić, ponieważ głodnemu stoi chléb tylko na myśli i dopiéro człowiek syty może uczuwać wyrzuty sumienia w całém znaczeniu tego słowa.

— Jeść, jeść, gwałtu jeść!

Podobnie jak pies zgłodniały, upatrywałem chciwemi oczyma kęsa strawy.

Była onego czasu kawiarnia w bliskości dzwonnicy kościoła Bernardynów, a zwykle wcześnie ją otwiérano. Kiedy tam wszedłem, miła woń kawy, świéżego pieczywa, nadzwyczajnie podnieciły moją żarłoczność.

— Proszę kawy, kawy, kawy! — wołałem wchodząc, a jak wiek długa wydawała mi się chwila oczekiwania, zanim ujrzałem przed sobą szklankę kawy z kożuchem.

Tymczasem gmérałem ukradkiem po wszystkich kieszeniach całego ubrania, a odkrycie w każdéj z nich coraz nowych skarbów nie sprawiało mi już najmniejszéj uciechy.

Dziś już nie pamiętam, ile szklanek kawy pochłonąłem, ile bułek pożarłem; to pewna, że dużo, dużo.

W miarę sytości powracała moja świadomość moralna, przejmował mnie zgrozą popełniony występek.

— Obdarłem kogoś z ubrania, okradłem z piéniędzy!

I nie wiem, dlaczego zrodziło się w głowie mojéj przypuszczenie, że okradziony przezemnie człowiek jest to kupiec z Kijowa, albo z Odesy. Może nazwa hotelu Słowiańskiego nastręczyła mi myśl taką.

— Biédaczysko, jak on będzie wyglądał, skoro wytrzeźwieje!

Po skończoném śniadaniu krótko się już namyślałem i powziąłem niezłomne postanowienie iść do hotelu, wyjaśnić sprawę, zwrócić właścicielowi jego ubranie i piéniądze.

— Kto wié, może mnie w téj chwili policya już poszukuje jako złodzieja... Gotowi uwięzić Alfonsa.

Brama hotelu Słowiańskiego była już otwarta, a nikt nie zwrócił uwagi na moje przybycie. Żwawo przebiegłem dziedziniec; po sieniach służący czyścili ubrania, buty, i także nie zważali na mnie wcale.

— Widać, wcale jeszcze nie wiedzą o spełnionéj kradzieży — tém lepiéj.

Śmiało otworzyłem drzwi i z progu już spostrzegłem swą ofiarę, pogrążoną w śnie głębokim. Człowiek obdarty chrapał zawzięcie, skurczył się we dwoje. Obszedłem go naokoło i mimowolnie wydałem okrzyk zdziwienia: poznałem Alfonsa. Napełniło mnie to niewy-

słowioną radością i zacząłem gwałtownie dzwonić na służbę, wykrzykując:

— Są i piéniądze i Alfons się znalazł!

Przybyły na wezwanie służący. przyglądał mi się ze zdziwieniem, a ja, upojony szczęściem. biegając około leżącego przyjaciela, wołałem:

— Wody, gąbki — prędko!... Pościel, bielizna, woda kolońska!...

Uważałem za najpierwszy obowiązek obmyć Alfonsa i uwolnić go od przeraźliwego brudu.

Nie jednego, ale dwóch, trzech służących wprawiłem w ruch, wysyłałem ciągle do miasta po różne rzeczy. To téż wkrótce miałem pod ręką wszystko, czego potrzeba, aby oczyścić wstrętnie brudnego człowieka i przywrócić do stanu trzeźwości nadzwyczajnie pijanego. Wymyty, uczesany, pachnący, w czystéj bieliźnie, leżał Alfons na świéżo posłaném łóżku, a ciągle jeszcze spał i w żaden sposób nie dawał się obudzić.

Naciérałem go octem aromatycznym, lałem w gardło herbatę z cytryną, dawałem mu wąchać amoniak, nie mówiąc o tém, że klątem jednocześnie, wymyślalem na czém świat stoi. Kilka razy otwarł oczy, spoglądał na mnie bezmyślnie, wymówił nawet moje imię, a potém przewracał się na drugi bok i spał w dalszym ciągu. Moja natarczywość była jednak nadzwyczajna, chciałem przyśpieszyć swój wyjazd do Lublina, odzyskać ubranie, nawymyślać mu za to, co mi zrobił, a on śpi w najlepsze.

Po chwili wytchnienia, przypuszczałem na nowo szturm, aby go wskrzesić: ciągnąłem za nogę, szarpałem za ręce, puszczałem w nos kłęby dymu z papiérosa. Ucieszyłem się, kiedy nareszcie kichnął i zaklął straszliwie.

— Ee, bratku, ja cię wczoraj na tém samém łóżku jeszcze lepiéj przeklinałem!—rzekłem i z temi słowy wylalem pod niego na prześcieradło całą flaszkę kolońskiéj wody.

— Bodajeś pękł!—zawołał, zerwał się i przysiadł na suchéj części pościeli, sapiąc z niechęci. Klął jeszcze potém, ale już z tą dobrodusznością, która oznaczała, że gotów robić mi ustępstwa.

— No, Alfonsie, teraz mi opowiédz wszystko! Jak mogłeś przez tyle czasu pozostawić mnie w takiém położeniu? Psu się nie płata figla w tym rodzaju! Toż ja tu o mało nie zdechłem z głodu, nie oszalałem z niepewności... A co tam o mnie powié szlachcic, od którego wziąłem zadatek i piéniądze na koszta podróży?

— Fraby!—odrzekł, machając ręką na znak, że lekceważy przytoczone przezemnie względy.—Między przyjaciołmi, podobnie jak między członkami rodziny, nie rozumiem stosunków platonicznych. Wyrobiłem sobie w życiu taką filozofię i koniec!

— Osobliwy sposób składania dowodu uczuć rodzinnych i przyjacielskich!

— Losowi podziękuj, żem miał możność wrócić do ciebie. Oo, mój kochany, już tylko na jednym włosku wisiałeś! Ale o czém tu mówić? Dama pikowa ocaliła położenie...

— Nic nie rozumiem!

— Bierze się do lewicy karty, a prawicą kładzie się je na stole: moja-twoja, zwyczajnie, dyabełek... Powiadam ci, dama pikowa — anioł!

— Kiedy się ubrałeś w moje szaty, miałeś zamiar iść do ciotki, tymczasem...

— Poszedłem najprzód na Nowiniarską i u przyjaciela Szmula Płanetnika zamieniłem twoje wspaniałe ubranie na gorsze, przyczém otrzymałem dopłatę—coś około piętnastu rubli. Następnie, pomyślałem sobie: zginę marnie, jeżeli mi się nie uda jaka porządna operacya finansowa!

— I zamiast iść do ciotki, poszedłeś grać w karty — rzekłem z wyrzutem.

— Oh, ta ciotka, waryatka! Napisałem kiedyś do niéj list — mojém zdaniem — bardzo tkliwy, dowcipny i po francusku: „Wyobraź sobie, najdroższa cioteczko, okropne położenie gorliwego chrześcianina, którego nędza zmusiła zostać tureckim świętym! Tylko ty jedna możesz mnie demahometanizować przez stanowcze zdegolizowanie i sprawić mój powrót na łono prawéj wiary.” Z tym listem wysłałem był Wawrzka, zalecając, aby się nie ważył wracać bez odpowiedzi. Łotr przyniósł mi tylko pisaną odpowiedź cioci, która oświadczyła, że zrywa ze mną stosunki, wypiéra się pokrewieństwa, ponieważ jestem marnotrawca i do szpiku kości zepsuty cynik!...

— No, a jakże ci poszło z tą operacyą finansową? Opowiédz szczegółowo!

— Ee, będziemy rozmawiali przy śniadaniu! Co mi za przyjemność rozmowa z przyjacielem na czczo? Zadzwoń, niech nam sprowadzą krawca z ubraniem!

Zapalił papiérosa, nie chciał rozmawiać i na pytania moje odpowiadał niedbale, półgębkiem. Kazał sobie sprowadzić posłańca hotelowego, któremu dał takie zlecenie:

— Pójdziesz na Krakowskie Przedmieście, wiész gdzie jest Karaś?..

— Naprzeciwko Kopernika!..

— Znajdziesz tam w szynku gromadę obdartusów, pijaków i zapytasz, który z nich jest Wawrzek Pluj! Temu łajdakowi powiész, żeby na mnie czekał w hotelu Angielskim, gdzie za godzinę będę na śniadaniu!..

— Dobrze, jaśnie panie!

— Błaźnie, dostaniesz o złotówkę mniéj za tytułowanie mię jasnym panem! Ruszaj!..

W godzinę coś potém, porządnie ubrani szliśmy do hotelu Angielskiego, gdzie w bramie Wawrzek oczekiwał już na nasze przybycie, a wyglądał jak żebrak. Alfons sięgnął do kieszeni i dał służącemu dwanaście rubli z témi słowy:

— Masz się natychmiast wykąpać, ostrzydz, ogolić, ubrać, a nie wolno ci, łajdaku, przepić tych pióniędzy!.. Uszy oberwałbym, gałganie!

Wawrzek z podziwem i ciekawością oglądał ubiór na Alfonsie, a fizyognomia jego zdawała się przemawiać: „Ho, ho, dobrze się dziś mamy! Ale jakim on sposobem bez mojéj pomocy wytrzasnął skądś pióniądze?"

Przy kawie czarnéj, kiedyśmy już spożyli śniadanie i zakropili burgundem, znowu zacząłem nalegać na Alfonsa, aby mi opowiedział szczegółowo całą historyą swojéj operacyi finansowéj. Uległ nareszcie i tak mówił:

— Widzisz, ja wiedziałem, żeś przyszedł do mnie na odjezdném z zamiarem osłodzenia mi niedoli, może nawet zostawienia mi kilku rubli. Ale ja nie jestem tkliwy, nie lubię wzruszeń i tak sobie pomyślałem: Cóż jest warta przyjaźń, okupiona zdawkową monetą drobnostkowéj ofiarności? Jeżeli ktoś ma chęć, odwagę, być moim przyjacielem, niechże się zdobędzie na poświęcenie wyższego rzędu i wystawiłem cię na próbę. Ha, mogło się nie udać, a wtedy, kto wié, czybyś nie był stracił chęci i odwagi pozostania nadal moim przyjacielem! Phi, bo tania przyjaźń smakuje ludziom... Dama pikowa, powtarzam, anioł, wyprowadziła mnie i ciebie z niewoli egipskiéj.

— A gdybyś był przegrał?

— Nie powróciłbym do hotelu i, zapewne napróżno, usiłowałbym przeprowadzić jakąś inną operacyą finasową.

— Jak też mogłeś liczyć na przypadek?

— Przecież nie jestem bankierem, kamienicznikiem, ażebym liczył na coś innego. Zresztą, chociaż liczę na przypadek, rozumuję bar-

dzo ściśle, mając na oku widoki własnego powodzenia. Ty masz jeszcze przyjaciół dobrych, rodzinę, nie zraziłeś ich niczém do siebie. Zostawiając cię w hotelu, byłem pewny, że wybrniesz, a jednocześnie mnie ocalisz. Ja zerwałem wszelkie stosunki i nadziei takiéj znikąd już miéć nie mogłem. Otóż, powierzyłem się tylko przypadkowi—wygram, przegram — co do ciebie nie miałem najmniejszéj wątpliwości. W najgorszym razie ryzykowałem, że się obrazisz, i stracę przyjaciela.

— Ależ moi krewni, przyjaciele, to biédacy!..

— Umieją pracować, zarabiać, a ja, kiedym już wszystko stracił i żadnéj pracy jąć się nie mogę, muszę szukać w heroizmie ocalenia.

— Bodajże cię dyabli wzięli z taką etyką!

— Każdy mi to powtarza, a nikt nie uwzględnia musu, konieczności. Tylko waryat może sobie postawić pytanie: być, czy nie być? Ja noszę w sobie kategoryczny rozkaz całego organizmu—być!

— Gdybyś przynajmniéj za pomocą swojéj operacyi finansowéj wybrnął i już potém...

— Został porządnym człowiekiem! Rzekł z przekąsem. Mój kochany, musiałbym się innym urodzić. Cóż znaczy jakieś dwa tysiące rubli dla człowieka, który tylko wydawać umié? Milion—to rozumiem!..

Nagle spojrzałem na zégar, zakręciłem się i zawołałem:

— Bądź zdrów! Idę na pocztę zamówić miejsce w karetce, ażeby dziś nareszcie wyjechać do Lublina.

— O nie! Byłbym ostatnim ba i bardzo, gdybym cię puścił!

— Chcesz mię powtórnie na kpa wykierować? A moje zobowiązania?

— Głupstwo, uczciwość tuzinkowa! Pchniemy sztafetę do szlachcica.

— Sumienie nie pozwala mi na takie wybryki.

— Ha, ha, ha! Perorujesz jak grzeczna panienka, która za swoją mamą i guwernantką powtarza oklepane morały.

— A ty jak lampart, którego brednie nie zdołają jednak zagłuszyć głosu sumienia.

— Wybornie! Proboszcz na ambonie, aby dodać siły swéj wymowie, wymyśla wiernym w przekonaniu, że tym argumentem czegoś dowiódł. Mój kochany, twoje sumienie wygląda mi coś na nonsens. Bawimy się oto, jest nam dobrze, a ty naraz zrywasz się, chcesz uciekać, powiadasz: „Sumienie wzywa mię, abym mógł jak najprędzéj tar-

gać za uszy młodych szlachciców i ogłupiać ich łaciną!" Człowieku, spiesz się, ale powoli, miéj zastanowienie!.. Ja, widzisz, kiedy jestem goły, mogę być samotny; ale, jeżeli mam w kieszeni trochę pieniędzy, koniecznie potrzebuję przyjaciela, ażeby się z nim upić.

— Każdy ma swoje potrzeby! Odrzekłem, nastrajając się filozoficznie. Zachowaj swoje nałogi, a mnie zostaw moje sumienie!

— Pozostań dziś jeszcze w Warszawie, jutro odwiozę cię do Lublina!

— Co, mam ci pomagać do stracenia pieniędzy? Nigdy, przenigdy!

Z tém wszystkiém, nie mogłem wyjechać, ponieważ wszystkie miejsca na karétkę do Lublina były już tego dnia zajęte. Hulaliśmy do rana i dopiéro nazajutrz Alfons z Wawrzkiem odprowadzili mię na pocztę.

W dwa lata późniéj ja znowu, także z Wawrzkiem, odprowadzaliśmy Alfonsa, ale tym razem na cmentarz.

Powróciłem był z „belferki wiejskiej" w rok niespełna. Zapracowane pieniądze dały mi możność robić w dalszym ciągu to, co chciałem. Było to w czasie świąt wielkanocnych.

Poszedłem na Ujazdów przyglądać się zabawom ludowym i tutaj spotkałem Wawrzka Pluja, króry tego dnia właśnie zbiérał wawrzyny: po gładkim—jak mi mówiono—mydłem i masłem posmarowanym słupie dotarł do szczytu, za co w nagrodę zyskał srebrny zégarek. Otaczał go tłum wielbicieli, wielbicielek, a on uśmiechnięty, rozpromieniony, z góry na wszystkich spoglądał i odbierał z dumą pańską hołdy uznania. Zbliżyłem się do niego poufale, jako stary znajomy i zapytałem:

— Co się dzieje z panem rotmistrzem?

— Aaa, to pan, nasz przyjaciel! Zawołał. Mój Boże, gdzie się téż podziały te czasy!.. Rotmistrz leży oto od cztérech miesięcy w szpitalu świętego Ducha i dyabli wiedzą, czy się wyliże, a ja wolno sobie praktykuję. Źle z nami teraz, mój panie!

Poszedłem natychmiast odwiedzić Alfonsa. Z urodziwego młodzieńca został tylko szkielet, ruchami jedynie zdradzający życie. Wyciągnął ku mnie rękę, podobną do suchego patyka, uśmiechnął się i rzekł:

— Psiakrew, na psy zszedłem. Wyobraź sobie cztéry miesiące już tak leżę, jak łazarz i, oprócz tego kondla Wawrzka, nikt mię tu jeszcze nie odwiedził; ty piérwszy...

Usiłowałem rozerwać go, pocieszyć przez wspomnienia dawnych czasów.

— Eh, —rzekł, uśmiechając się szyderczo—dziś już mnie nic nie obchodzi! Jedną nogą jestem w grobie.

Zaczął go dusić kaszel, który trwał chyba ze dwie minuty. Kiedy już odetchnął, poklepał mię ręką po kolanie.

— A co?—powiedział. Teraz trzeba wykrztusić z siebie to wszystko, co człowiek pochłaniał.

I z ironicznym uśmiechem dodał: — Mój kochany, tylko żadnych mówek na pogrzebie!

Potém jeszcze go trzy razy odwiedziłem. Jakoś w piérwszych dniach maja wpadł do mnie przerażony Wawrzek i zaraz z progu zawołał:

— Pan rotmistrz umarł dziś w nocy!

Orszak pogrzebowy, odprowadzający Alfonsa D. na Powązki, składał się tylko z dwóch osób: ze mnie i Wawrzka.

Adolf Dygasiński.



RZYM I GERMANIE.

Cywilizacya średniowieczna i oparta na niéj kultura nowożytna polega przedewszystkiém na jedynéj w swoim rodzaju kombinacyi i wzajemném przenikaniu się pierwiastków rzymskiego, chrześciańskiego i germańskiego. Późniéj dopiéro, ludy słowiańskie wzięły udział w rozwoju cywilizacyjnym, udział, który się nieustannie wzmaga, który jednak jest zgoła różny.

Mówimy zazwyczaj o podboju cesarstwa rzymskiego przez ludy germańskie, o zupełnym upadku Rzymu, o nowéj zupełnie epoce,o rewolucyi, która usunąwszy z pola dziejowego Rzym starożytny, zastąpiła go szeregiem państw germańskich, na wpół barbarzyńskich i nie mających nic wspólnego z tém, co dotychczas istniało, — tak, że dopiéro w epoce humanizmu i odrodzenia przypominiano sobie kulturę starożytną, zwrócono się do niéj z zachwytem, na jaki zasługiwać się zdawała, aby przy jéj pomocy zwyciężyć barbarzyństwo średniowieczne, powtarzając tym sposobem do pewnego stopnia, ale naturalnie w kierunku odwrotnym, ową rewolucyę, która na tyle wieków przedtém usunęła Rzym, aby go zastąpić państwami germańskiemi.

Granicę między starożytnością klasyczną a średniowieczem stanowi niezawodnie upadek państwa zachodnio-rzymskiego; ale granicy téj oznaczyć dokładnie nie podobna, gdyż przemiany we-

wnętrzne państwa rzymskiego, począwszy od reform Dyoklecyana, oraz stopniowe zbliżanie się pierwiastków rzymskiego i germańskiego, wywołały tak znaczne przeobrażenie się jednych i drugich, że w chwili upadku państwa zachodnio-rzymskiego, trudno już nawet powiedzieć, o ile ono było jeszcze rzymskiém, tak jak o ludach germańskich, które na gruzach cesarstwa zakładają swe państwa, nie łatwo powiedzieć, w jakim stopniu pierwiastek czysto germański odgrywa w nich rolę pierwszorzędną.

Zachód i wschód słońca mają wiele pokrewnego, a w pojedyńczych objawach dziejowych trudno stwierdzić, czy to, co widzimy, jest dowodem upadku instytucyi przekwitających, czy też symptomem niedoskonałości instytucyi, które się dopiéro rozwijają. Rozkładające się społeczeństwo i upadające prawo rzymskie przypominają w wielu względach nie rozwinięte jeszcze stosunki społeczne i prawne świéżo powstających państw średniowiecznych, które czasami robią wrażenie dalszego ciągu, a nawet przebudowy światowładnego imperyum.

Kalejdoskopowo zmieniają się obrazy, tak, iż trudno się wśród nich zoryentować. Cała ta przemiana, o pozorach nieraz gwałtowniejszych, niż w rzeczywistości, niejednokrotnie więcéj zewnętrzna niż istotna, jest tak pouczająca pod względem historycznym, iż zasługuje na omówienie w sposób, zadaniom niniejszego czasopisma odpowiadający.

Chodzi o wyjaśnienie, czy i o ile upadek cesarstwa zachodniego można identyfikować z zupełną zagładą jego istoty pod względem cywilizacyjnym, społecznym i prawnym, oraz czy i o ile nowe państwa germańskie reprezentują pierwiastki zupełnie świéże a z przeszłością niczém nie związane.

I.

Stosunki między Germanami a Rzymianami sięgają zamierzchłych wieków; ustalają się one od czasów Juliusza Cezara, tak, że odtąd już i przerwy nie było. Są one nader ciekawe, boć z jednéj strony mamy do czynienia z potęgą, która jednoczy w sobie całą kulturę starożytną, zarówno wschodnią jak i zachodnią, a pod względem militarnym i państwowym stoi u szczytu swéj sławy, — z drugiéj z plemionami, które pod żadnym względem nie mogą wytrzymać porównania z mieszkańcami jakiejkolwiek prowincyi rzymskiéj.

Zetknięcie się państwa tak potężnego i ludów nawpół koczowniczych, pozbawionych wszelkiéj kultury, musiało być nader niebezpieczném. Skutkiem takiego zetknięcia może i musi być: albo zagłada zupełna plemienia niżéj stojącego, jak to np. dzieje się w Ameryce przy zetknięciu się Europejczyków z Indyanami, albo téż stopniowe postępowanie plemienia niżéj stojącego i to naturalnie z większém lub mniejszém zapożyczaniem pierwiastków cywilizacyjnych u sąsiadów wyżéj stojących. Inne wyjście jest niemożebne, a mianowicie nie można się w takich okolicznościach spodziewać, aby plemię niższe samodzielnie się rozwijało, tak samodzielnie i spokojnie, jak gdyby z wyżéj stojącym sąsiadem nie łączyły go żadne stosunki. Szczęśliwymi mogą się mienić Germanie, iż udało im się przy zetknięciu się z Rzymianami i wśród okoliczności dalszych, uniknąć zupełnéj zagłady fizycznéj, jakiéj ulegają np. Indyanie w Ameryce a co więcéj, uniknąć także zupełnéj romanizacyi, t. j. zagłady duchowéj, jakiéj ulegli w państwie rzymkiém Celtowie w tak znaczniéj części, albo Słowianie zachodni pod naciskiem Niemców.

Wiele się na to składało. Szczególném zrządzeniem losu wkrótce po zbliżeniu się Germanów do Rzymian, rozpoczął się przekwit potęgi rzymskiéj; na zewnątrz nic jeszcze nie znamionowało zbliżającego się rozkładu, ale wyższe warstwy społeczeństwa rzymskiego zaczynały już wówczas wpadać w zastój i oddawać się wyłącznie używaniu plonów dawnéj sławy, tak, że punkt ciężkości państwa rzymskiego coraz się bardziéj oddalał od właściwego centrum i przenosił się do prowincyi, zwłaszcza zachodnich, niezbyt dawno nabytych; prowincye te, powierzchownie zromanizowane, służyły wprawdzie chętnie i gorliwie państwu rzymskiemu, przez kilka wieków jeszcze broniły tego państwa, ale z natury rzeczy nie uosabiały już w całéj pełni mocy zaborczéj ducha rzymskiego, któremu same uległy; nie możemy pominąć milczeniem faktu, iż Hiszpania i północna Afryka, zawojowane wcześniéj niż Galia, były téż silniéj zromanizowane, bo podboju dokonano tam jeszcze w czasie, gdy potęga rzymska jaśniała w całym blasku własnéj siły; już romanizacya Galii zwłaszcza środkowéj i północnéj była mniéj gruntowna, a naturalnie romanizacya prowincyi germańskich wśród podbojów późniejszych, w których tak znaczny udział brały siły obce, ba nawet germańskie, musiała być słabsza.

Powolny rozwój polityczny i narodowy Germanów przypada więc na czas, w którym rdzenna siła rzymska słabnie i romanizacya zupełna świéżych ludów staje się niemożebną. Natura ochroniła

Germanów przed zagładą fizyczną, słabnące tętno potęgi rzymskiéj przed zagładą narodową, któréj w innych warunkach byliby niezawodnie ulegli.

Poczucie bowiem spójni narodowéj i wynikająca stąd siła odporna nie są bynajmniéj darem, który ludy w kolebce otrzymują. Co do Germanów łatwo to stwierdzić historycznie.

Odznaczali się oni zawsze indywidualizmem, który dopiéro w ostatnich czasach ustąpił miejsca poczuciu konieczności państwowéj; w tym względzie Germanie mają dość wspólnego z Słowianami, zwłaszcza zachodnimi, a można nawet powiedziéć, iż ich nawet przewyższali. Nic w tém dziwnego. Im daléj wstecz wzrok historyka sięga, tém częściéj spostrzega samotność człowieka jako stan normalny. Wśród bardzo nielicznego wogóle zaludnienia, jednostka zwyczajnie zawdzięcza saméj sobie wszystko. W osamotnieniu czasów pierwotnych rozwija się jedna część ducha ludzkiego, w spójni społecznéj i narodowéj druga. Gdyby człowiek był zawsze i wszędzie stworzeniem tylko społecznėm, z pewnością różnorodność usposobienia, charakteru, złych i dobrych stron natury ludzkiéj nie byłaby tak znaczna. Człowiek stał się z biegiem czasu stworzeniem społecznėm, ale wniósł w społeczeństwo wszystko, co wytworzył w osamotnieniu.

Zupełne poddanie się państwu i jego zadaniom, które w świecie starożytnym odgrywało tak zasadniczą rolę, było Germanom nieznane; łatwo się przekonać, iż wybujały do najwyższego stopnia indywidualizm germański nie wahał się nigdy, kiedy przychodziło wybierać między sprawą jednostki a sprawą ogółu; upodobanie własne zwyciężało niemal bez wyjątku, a dawne uczucie niezawisłości niczém nie ograniczonéj, można uważać za podstawę społecznego życia Germanów.

Nie potrzeba chyba dodawać, iż tam, gdzie indywiduum nie chce ulegać ogółowi i jakiéjkolwiek władzy, indywiduum to jest także pozbawione siły odpornéj na zewnątrz. Nie podtrzymywana przez ogół, któremu nie przyznaje władzy, jednostka jest narażona na działanie wszelkich sił zewnętrznych; jedynie w własném uczuciu samodzielności, w tém uczuciu, które jéj przeszkadza poddawać się władzy swego ludu, jednostka może do pewnego stopnia znaléść obronę wobec sił cywilizacyjnych obcych; i jeżeli te siły obce nie działają ze zbyt wielkim naciskiem, natenczas obrona jest możebna, tak, iż jednostka ta zachowuje się samodzielnie zarówno wobec własnego ludu, jakotéż wobec działania zewnętrznego sił obcych. Pojęcia jednostki takiéj, nie związanej żadną karnością narodową, jednak

dzięki samodzielności wrodzonéj i dzięki temu, iż siła obca nie działa zbyt nagle, rozwijają się stosunkowo dość spokojnie; daną jest możność zachowania pojęć, wśród których ta jednostka wzrosła, oraz dopełniania ich pojęciami, które się nasuwają przy sposobności zetknięcia się z żywiołem obcym.

Wśród warunków, o których powyżéj była mowa, odbywa się rozwój cywilizacyjny Germanów. Silne uczucie swobody i niechęć do poddawania się jakiéjkolwiek władzy, pozwalają im wychodzić po za ciasny horyzont pojęć własnych, z któremi nie wiąże ich żadne głębsze uczucie narodowe; nie odczuwają patryotycznego przywiązania, mogą zapożyczać bez żalu i trudności pierwiastki cywilizacyi rzymskiéj. Z drugiéj strony ta cywilizacya rzymska nie działa już z takim naciskiem, z jakim dawniéj oddziaływała na mieszkańców Hiszpanii, północnéj Afryki i południowéj Galii, nic więc nie zmuszało Germanów do zupełnego porzucenia swych pojęć i do zupełnego poddania się wpływom obcym. Jedném słowem, dzięki swemu usposobieniu i dzięki okolicznościom zewnętrznym, które towarzyszą ich rozwojowi, mieli oni możność czerpania w miarę chęci i potrzeby w ł a s n é j cennych zasobów w zbiorniku cywilizacyi starożytnéj, zatrzymując równocześnie, także w miarę chęci i potrzeby własnéj, pierwiastki rodzime.

Ważną w tym względzie rolę odgrywała, naszem zdaniem, organizacya rodowa. Ród cieszył się niezmierną powagą, stanowczo większą niż lud lub wogóle jakakolwiek idea wyższéj organizacyi; jedynie ród mógł ograniczać egoizm jednostki, co prawda tylko na to, aby w równym stopniu egoistycznie występować wobec ludu; można powiedziéć, że tam, gdzie się kończy egoizm jednostki, rozpoczyna się egoizm rodu. Wypada jednak zwrócić uwagę na to, że z natury rzeczy ród stanowił dla jednostki pewnego rodzaju hamulec; indywidualizm germański byłby przybrał jeszcze większe rozmiary, gdyby nie organizacya rodowa, pierwsza forma spójni społecznéj, zastępująca w tym względzie organizacyę państwową. Ród łączył w sobie przeszłość i przyszłość, żywioły konserwatywne i postępowe. Organizacyi rodowéj po części zawdzięczają Germanie, iż proces łączenia się pierwiastków własnych z rzymskiemi odbywał się spokojnie, bez widocznych wstrząśnień, z prawdziwą korzyścią dla rozwoju, a jednak z należytém zachowaniem odrębności narodowych; ród stanowił podstawę rozwoju na tle narodowém, zastępował do pewnego stopnia nieistniejącą jeszcze ideę narodową.

O istnieniu takiéj idei trudno nawet w tym czasie pomyśléć. Organizacyi państwowéj, jak wiemy, niedostawało; tego braku u lu-

du nierozwiniętego nic zastąpić nie zdołą: zastępowanie państwa przez ród było bezwiedném i bardzo niedostateczném. Brakowało téż Germanom takich punktów oparcia, jakie już np. Celtowie mieli w swych miastach. Związki sakralne były jedynemi w swoim rodzaju, ale i o ich sile nie można miéć wielkiego wyobrażenia, widząc, jak prędko i bez walki znikały one przy zbliżaniu się chrześciaństwa. Samo zaś chrześciaństwo, które w pierwszych kilku wiekach stacza tyle wewnętrznych walk dogmatycznych, musiało utrudnić rozwój uczucia narodowego u Germanów, rzucając ich również w wir walki dogmatycznéj, zwłaszcza aryańskiéj.

Po za związkami sakralnemi wszelkich innych brak; wyjątkowo tylko kilka ludów podejmowało wspólnie wyprawę wojenną, lub wspólną obronę. Przeciwnie, poszczególne ludy oddzielały się od siebie szerokim pasem niezamieszkałéj ziemi i unikały stosunków z sąsiadami, nie bacząc na bliskie powinowactwo rasy i kultury.

Ludy germańskie nieustannie, w miarę potrzeby lub wygody, z błahych powodów rozpadają się na kilka części, z których jedna lub druga łączy się nieraz z ludem zupełnie obcym i zapomina o swojéj dotychczasowéj przynależności; widocznie nie było uczucia silnego, któreby jakiekolwiek w tym względzie stawiało przeszkody. Tém mniéj téż podczas wędrówek ludów strona patryotyczna mogła się odezwać; trudności natury materyalnéj, losy bitew i t. d. stanowiły o składzie watahy, która wspólnie odbywała wędrówkę.

Każda zmiana warunków zewnętrznych politycznych, a cóż dopiéro zmiana siedziby — wywołuje w organizmie narodowym wstrząśnienie, którego skutki widoczne są przez czas długi. Cóż dopiéro powiedziéć o skutkach wstrząśnień, którym ulega organizm jeszcze nie zupełnie sformowany; to co się w takim organizmie dopiéro tworzyć zaczęło, rozsypuje się w niwecz pod wpływem nagłego wstrząśnienia i wogóle rzec można, iż wędrówki rozwojowi dodatniemu nie sprzyjają. Stosunki, które się wyrobiły u ludów germańskich pod wpływem wędrówek, były w wielu względach gorsze i cywilizacyjnie niższe, niż te, które opisuje Tacyt. Były one przedewszystkiém mniéj jasne; pojęcia musiały się mieszać i zacierać; znikały pojęcia dawne, naturalnie niezupełnie i przychodziły nowe, których również nie zdołano sobie w zupełności przyswoić. W szczególności zaś uczucie narodowe musiało w zawiązku swym bardzo ucierpiéć. Embryonalne związki polityczne i religijne zostały naruszone; okoliczności zmuszały nieraz najbliżéj spokrewnione ludy do rozłączenia się, a przeciwnie ludy zupełnie sobie obce do

wspólnéj akcyi. Ileż to cech charakterystycznych, wytworzonych przez wiekowe życie pewnego ludu ginęło, gdy odłamy tego ludu, rozrzucone na wielkich przestrzeniach, wśród obcych ludów i obcych warunków, rozpoczynać musiały niemal nowe życie i nową organizacyę. Obok zatraty dawnych cech charakterystycznych, pojawiają się nowe cechy i nowe idee właśnie jako skutek nowych warunków i zetknięcia się z innemi ludami; ludy giną w tych wędrówkach, albo téż przeciwnie nabierają więcéj siły i energii. Ale uczucie narodowe, a więc to, o co nam w tym wypadku najwięcéj chodzi, spójnia wewnętrzna i odporność na zewnątrz, pielęgnowanie pierwiastku rodzimego i zwalczanie wpływów obcych, — to uczucie naturalnie w tych warunkach spotęgować się nie może. Ludy zapominają o swéj przeszłości i o wszystkiém, co je z przeszłością łączyło. Nie mają one jeszcze historyografii, bo nie mają i historyi, która rozwija się zawsze dopiéro na podstawie państwowéj; w podaniach germańskich nie ma ani śladu czegokolwiek, co się stało przed wędrówkami; nie przechowała się nawet pamięć wielkich zwycięstw wodza Cherusków, Hermanna, którego czyny wdzięcznie wspominają późniejsi Germanie na podstawie informacyi... rzymskich.

Wędrówki stanowiły przedział w historyi i samowiedzy ludów germańskich. Niemal wszystko, co się przedtém działo i co się przedtém zaczęło rozwijać, znika z widnokręgu; dla nas ważnym jest fakt, iż ani przed wędrówkami, ani wśród nich, idea narodowa nie kierowała myślami i działaniami ludów germańskich i że idea ta wśród tych warunków nawet rozwijać się nie mogła..

Przeciwnie, wędrówki musiały przyzwyczaić Germanów do zmian, a więc ułatwić szybkie naginanie się do nowych i obcych warunków bytu, ułatwić uczenie się u obcych tego, co się przydać mogło i uzdolnić ich do działania, w którém tradycye narodowe bardzo małą odgrywały rolę. Wcześnie téż zjawiają się luźne zrazu związki, obejmujące po kilka ludów nieraz różnego szczepu, przyczém przewaga ludów jednego szczepu decyduje o charakterze całego związku, który coraz bardziéj nabiéra cechę szczepową. Wiadomo, że w czasie od III — VI w. wszystkie ludy germańskie weszły w skład takich organizacyi szczepowych i że na téj podstawie powstały najważniejsze państwa germańskie w granicach dawnego cesarstwa zachodnio-rzymskiego. Państwa te zwykle nazywamy szczepowemi, co jednak nie odpowiada rzeczywistości, bo prawie nigdy państwa germańskie, przynajmniéj na początku, nie obejmowały wszystkich ludów całego szczepu w znaczeniu etnograficzném, a zamiast tego często kilka ludów innego szczepu.

Ludy germańskie nie tylko, że nie łączą się z sobą bez ostatecznéj konieczności, ale jak wiadomo, walczą nawet z sobą nieustannie. Dzięki tym waśniom, które dowodzą w każdym razie braku uczuć narodowych, Rzymianie zdołali wpływ swój w Germanii utrwalić nawet wśród ludów, którym oręż rzymski nie dał się bezpośrednio we znaki (np. u Fryzów). U wszystkich niemal ludów znajdujemy partyę rzymską, która przeszkadza naturalnie tworzeniu się uczuć narodowych i utrudnia organizacyę państwową. Pod wpływem takiéj partyi powołują np. Cheruskowie w połowie I-go w. na tron Italicus'a, jakkolwiek tenże był najzupełniéj zromanizowanym; co prawda nie brakło i opozycyi.

Wojny między ludami germańskiemi nie ustają nawet w granicach państwa rzymskiego; nawet na obcéj ziemi, wśród warunków nowych i trudnych, gdzie należałoby spodziewać się skupienia sił germańskich przeciw Rzymianom, nie napotykamy nic podobnego; i tak Goci napadają na Rugiów, ci ostatni znów niechętnie patrzą na zwycięstwa Alamanów i Turyngów. W Hiszpanii ludy germańskie, którym się udało zająć tę prowincyę, osłabiają się wzajemną walką, w któréj zwycięstwo zależy najczęściéj od tego, po czyjéj stronie stoją Romanie. Frankowie obawiają się sąsiadujących z nimi Sasów, Burgundowie znów Alamanów i jedni i drudzy szukają poparcia u Rzymian; Wandalowie, Alanie i Swewowie, którzy w r. 406 przekraczają Ren, napotykają na opór Franków, broniących państwa rzymskiego. Na każdym kroku dowody, iż uczucie narodowéj czy plemiennéj wspólności było tym ludom obce, oraz iż nie odczuwały one żadnéj nienawiści ku Rzymianom. Prowadzili Germanie liczne wojny z Rzymianami, były to jednak po części wyprawy łupieskie, po części zaś konieczne dla uzyskania środków do życia, zwłaszcza zaś ziemi; mylném byłoby upatrywać w tych wojnach dowody rasowéj lub narodowéj nienawiści; wystarcza wskazać na fakt, iż Germanie pojedyńczo i licznemi oddziałami służyli chętnie w armii rzymskiéj, że z pola walki nawet często przechodzili w szeregi rzymskie.

Pojęcie niezawisłości państwowéj rozwija się równie trudno i długo bardzo. Germanie nie mogą się obronić wrażeniu, iż państwem w pełném znaczeniu słowa jest tylko państwo rzymskie. Już po upadku cesarstwa zachodnio-rzymskiego Germanie szukają cienia legalności tam, gdzie się schroniły resztki tradycyi państwowych, mianowicie w Bizancyum. Pojęcie państwa zwłaszcza narodowego na długie wieki jeszcze pozostaje Germanom obce. Wiadomo, iż nie można utożsamiać poczucia narodowego z poczu-

ciem państwowém. W danym wypadku może istniéć przekonanie o konieczności silnego ustroju państwowego bez poczucia narodowego; i na odwrót można sobie zdawać sprawę ze spójni plemiennéj, a mimo to nie dążyć do wspólności państwowéj. Dowodem tego charakter monarchii Karola Wielkiego. W państwie tém łączą się wszystkie ludy germańskie kontynentu europejskiego, a jednak połączenie to nie ma wcale cechy narodowéj; przeciwnie rzec można, iż poprzednio państwo frankońskie było bardziéj germańskie i że zjednoczenie ludów germańskich wydało inne owoce, niżby się spodziewać można było, mianowicie nadało monarchii frankońskiéj cechę kosmopolityczną,

Przeczyć naturalnie nie można, iż pewne początki uczucia narodowego pojawiają się już bardzo dawno; tak np. głowę Varusa posyłają Sasi królowi markomańskiemu Marbodowi; kilka ludów podległych temuż Marbodowi odpada od jego państwa, aby wspólnie z Cheruskami walczyć przeciwko Rzymianom. W czasach późniejszych np. wiec burgundzki w Ambèrieux daje dowody uczuć narodowych. Najbardziéj charakterystyczném jest, iż Goci w r. 552 po bitwie pod Wezuwiuszem proszą Narsesa, aby im pozwolił odejść i połączyć się z innym ludem germańskim.

Są to jednak wyjątki, które nie zmieniają wrażenia, jakie wywołują fakty powyżéj omówione.

II.

Trudno o usposobienie korzystniejsze dla spełnienia zadania, które los naznaczył ludom germańskim, mianowicie odpowiedniego połączenia pierwiastków rzymskich i germańskich. Nie związani zbyt silną tradycyą narodową, mogli Germanie ulegać wpływom rzymskim,—Rzymianie zaś nie mieli już dość sił, aby ich zromanizować zupełnie, mogli co najwyżéj dać im w spadku niektóre czynniki cywilizacyjne.

I warunki zewnętrzne na to się składają.

Wystarczy spojrzéć na mapę, aby się przekonać, do jakiego stopnia Germanie byli otoczeni wpływem rzymskim bezpośrednim lub pośrednim.

Ważne znaczenie przypada w tym względzie C e l t o m. Germanie oddawna posuwali się ku zachodowi i południowemu zachodowi: z wyjątkiem nieudanéj i nigdy już nie powtórzonéj próby Cymbrów i Teutonów, ludy germańskie nie zdążały nigdy wprost

na południe, lecz zawsze raczéj w kierunku zachodnim. Przedmurze Rzymu stanowili tu Celtowie.

Stosunki między Germanami a Celtami sięgają dawnych czasów. Przypomnijmy sobie, że wyprawa Cezara do Galii, a potém i za Ren miała na celu obronę Gallów przeciw Germanom, w chwili, w któréj żądania napływających z za Renu Germanów były już tak znaczne, iż polityka rzymska czuła się zaniepokojoną. Aż do czasów Cezara jednak stosunki między Germanami a Celtami bywały często jaknajlepsze; Galia mogła wówczas widocznie bez uszczerbku dla własnych mieszkańców, pomieścić jeszcze pewną liczbę Germanów, którym zaczynało być ciasno w ojczyźnie; w sposób zupełnie pokojowy mieszały się oddawna odłamy ludów germańskich z Celtami w Galii, a podobieństwo i zgoda musiały być bardzo znaczne, skoro np. Rzymianie aż do czasów Cezara bardzo niedokładnie rozróżniali Celtów od Germanów. Liczba Germanów w północnéj Galii, zwłaszcza w Belgii, była znacznie większa, niż się ogólnie przypuszcza. Niewątpliwie już przed Ariovistem, a więc przed wojnami Juliusza Cezara, plemiona germańskie Triboków i Nemetów osiadły w Galii; obok nich Vangionowie, a równocześnie Batawowie nad ujściem Renu. Dużo słów celtyckich przeszło do języka staro-niemieckiego i odgrywało w nim późniéj znaczną rolę, a co ważniejsza, to, iż dzięki dawnym i ciągłym stosunkom między Germanami a Celtami, ludy te zachowały pewien zasób wspólnych słów, jako dowód wspólnego pochodzenia i wspólnych przez pewien czas losów [1]).

Stosunki te jednak byłyby dla nas dość obojętne, gdyby nie okoliczność, iż Celtowie ze swéj strony ulegali romanizacyi, i że tym sposobem wpływ romanizacyjny pośrednio udzielał się i tym Germanom, którzy z Celtami sąsiadowali. Jestto niesłychanie ważne. Zbliżenie się bezpośrednie Germanów i Rzymian byłoby natrafiało na pewne trudności; różnica była zanadto wielka, brak punktów styczności niemal zupełny. Celtowie stanowią w tym względzie pomost nieocenionéj wartości; byli oni bowiem lepiéj niż Germanie przygotowani do przyjęcia kultury rzymskiéj choćby w pewnym stopniu, a sąsiadując z Germanami i zbliżeni do nich obyczajem, mogli łatwiéj na nich oddziaływać, niżby to sami Rzymianie byli zdołali. Celtowie pośredniczą między Rzymem a Germanami. Zwłaszcza w Galii północnéj, w któréj się już odłamy ludów germańskich osiedlały, pośrednictwo to było bardzo znaczne i skuteczne. Galia północna romanizowała się powoli, doza romanizmu nie była tu

---

[1]) ob. Paul: Grundriss d. germ. Philologie I, 303.

więc zbyt silna i mogła być z łatwością przyjęta przez Germanów. Zwyczaje celtyckie do pewnego stopnia pozostały tu nietknięte, a wiadomo, że w zachodniéj Belgii żywioł celtycki aż do najnowszych czasów dawał znaki życia. Po części odnosi się to samo i do innych prowincyi, z któremi Germanie sąsiadowali i w których napotykali kulturę rzymską obniżoną, rozcieńczoną, a więc przystępniejszą, niż kultura rzymska czysta.

Germanie z kilku stron byli otoczeni potęgą rzymską; nietylko z zachodu i południa, ale nawet z północo-zachodu. Ludy Batawów i Kannenefatów u ujścia Renu, wcześnie popadają w zawisłość rzymską i służą wiernie Rzymowi. Fryzowie aż do dolnego biegu rzeki Ems znajdują się w tém samém położeniu, tak samo jak i najbliżsi sąsiedzi Fryzów, Chaukowie—przynajmniéj przez pewien czas. Na wschodzie znów działały na Germanów do pewnego stopnia wpływy greckie, które naturalnie w doniosły sposób ułatwiały przejęcie się kulturą rzymską, polegającą w znacznym stopniu na greckiéj.

Na tém tle odbywa się oddziaływanie wzajemne Germanów i Rzymian, naturalnie z przewagą żywiołu rzymskiego, który w sposób jaknajbardziéj różnolity wywiera swój wpływ.

I tak przedewszystkiém ważną rolę odgrywają stosunki handlowe. Już Cezar wspomina o kupcach rzymskich w Germanii. Rzymianie rychło zwrócili uwagę na liczne produkta, których im brakowało, a których Germania dostarczyć mogła (Plinius: H. Nat. VIII, 56); zczasem zakładają w Germanii warsztaty fabryczne i kopalnie i eksploatują na miejscu bogactwa krajowe, co naturalnie nie mogło pozostać bez wpływu na krajowców. Niektóre rodzaje handlu i przemyslu przejęli Germanie żywcem od Rzymian, np. handel winny [1]), inne trudniejsze, np. górnictwo wykonywali wyłącznie Rzymianie, którzy w tym celu osiedlali się wśród zupełnie germańskiego otoczenia. Handel prowadzono zrazu na zamianę, późniéj, zwłaszcza w pobliżu granic rzymskich także za pieniądze. Ludy germańskie brały w tym handlu żywy udział i chętnie odwiedzały targi rzymskie w miejscowościach pogranicznych.

Dla ułatwienia handlu, zakładali Rzymianie drogi. Sieć dróg rzymskich w Germanii była nadspodziewanie bogata; zwłaszcza nad Renem i nad Dunajem starano się o ułatwienie komunikacyi. Kolonia, Cannstadt, Koblencya, Trydent, Augsburg, Ratysbona, Wiedeń, Buda i t. d. były punktami środkowemi, z których liczne drogi rozchodziły się na wszystkie strony. Z Kolonii do Leydy podróż

---

1) gockie „kaupon" (kupować) pochodzi z łacińskiego „caupo" (szynkarz).

trwała $4^1/_2$ dnia, tak, że z Leydy do Rzymu trzeba było 34 dni. Z Koblencyi i w ogóle z nad Renu szły drogi aż nad Wezerę i nad Ems. Po bursztyn jeżdżono przez dzisiejszy Raciborz, Brzeg, Ostrowo, Gniezno na Gdańsk. Niemal wszystkie ludy germańskie spotykały na swych terytoryach kupców rzymskich i stosunki między poszczególnemi ludami germańskiemi a kupcami rzymskimi bywały nieraz częstsze i trwalsze, niż między jednym ludem germańskim a drugim.

Oprócz kupców rzymskich przybywali wgłąb Germanii niewolnicy rzymscy, którzy z natury rzeczy wnosili także pewne pojęcia i zwyczaje rzymskie z sobą i przyczyniali się do romanizacyi swych nowych panów. I tak, już klęska Varusa dała Germanom pewną liczbę jeńców rzymskich; t. zw. wojna markomańska uczyniła to na większą jeszcze skalę, a nieprzeliczoną musiała być rzesza niewolników rzymskich, którzy uciekali i chronili się u najbliższych ludów germańskich, pewni lepszego losu. Z dawnych czasów nie mamy w tym względzie dokładnych wiadomości, ale w r. 409 aż do 40,000 niewolników rzymskich uciekło do obozu Alaryka, a wypadki podobne niezawodnie powtarzały się często.

Lecz nietylko za pośrednictwem Celtów, oraz kupców i niewolników rzymskich mieli Germanie sposobność zaznajamiać się z kulturą rzymską. Nie brakło i sposobności bezpośrednich. Niezupełnie obojętnym w tym względzie czynnikiem były np. wyprawy germańskie wgłąb terytoryum rzymskiego. Jeszcze zanim przyszło do osiedlenia się Germanów w granicach imperyum rzymskiego, nieraz śmiała wataha germańska zapuszczała swe zagony w kraje rzymskie, rabując i niszcząc, unosząc z sobą przedmioty przemysłu rzymskiego, widząc przy tém rzeczy i stosunki zupełnie dotychczas nieznane. Prócz tego zaznaczyć wypada, iż wszystkie niemal wybitniejsze osobistości germańskie przechodziły szkołę rzymską. Hermann (Arminius), wódz Cherusków, który na czele kilku sprzymierzonych ludów zadał jedną z najdotkliwszych klęsk Rzymianom, był pod względem cywilizacyjnym raczéj Rzymianinem. On i brat jego, Flavus, noszą imiona rzymskie; obaj służyli w armii rzymskiéj i otrzymali od cesarza Augusta obywatelstwo rzymskie, oraz stopień rycerski; Varus, jak wiadomo, ufał im ślepo i tylko dzięki temu zaufaniu poniósł klęskę, która może z powodu okoliczności jéj towarzyszących, nadałaby się téż do traktowania przez autora znanego artykułu p. t. „*Ein Dichter des Verrathes*“. Marbod, król Markomannów, wiele zawdzięczał wpływowi rzymskiemu, któremu się poddawał w młodości. Z późniejszych

ważniejszych osobistości wypada wymienić sławnego Ulfilasa, który przeszedł wychowanie rzymskie, tak samo jak i najsympatyczniejszy z władców germańskich, Teodoryk.

Nie brak jednak ważniejszych sposobności, z których korzystały liczniejsze grupy.

Jeńców germańskich przesiedlano bardzo często na terytoryum rzymskie. Działo się to ze względów politycznych, albo też po prostu dla zyskania nowych sił roboczych. Prócz tego, Germanie służyli w wojsku rzymskiém, a wreszcie pojawiają się nawet i na urzędach rzymskich. Równolegle z tą różnorodną immigracyą germańską, odbywa się także łączenie się całych ludów germańskich z Rzymem bądź to na drodze podboju, bądź téż skutkiem najrozmaitszych układów.

Ważnym środkiem romanizacyi była służba w wojsku rzymskiém. Cezar zaczął używać wojowników germańskich, a Klaudyusz wcielił ich nawet do legionów. Nie potrzeba dodawać, iż żołnierze ci romanizowali się zupełnie i dla sprawy zbliżenia się obu światów ginęli bezpowrotnie. Jeszcze cesarz Probus rozdzielał oddziały germańskie między korpusy rzymskie, aby im nie pozostawiać samodzielności; późniéj jednak liczba tych oddziałów germańskich zwiększa się tak dalece, że zyskują one na znaczeniu. Całe armie rzymskie składają się nieraz wyłącznie z Germanów i tu już o romanizacyi zupełnéj tych żołnierzy mowy być nie może; uczą się oni wielu rzeczy od Rzymian, zachowują jednak pod wielu względami charakter narodowy i za straconych dla sprawy germańskiéj uważać ich nie można.

Obok żołnierzy germańskich, spotykamy kolonistów tego samego pochodzenia. Cesarz Tyberyusz przesiedlił skutkiem swych zwycięstw 40,000 Sagambrów na lewy brzeg Renu, tak, iż tylko niedobitki pozostały w dawnéj ojczyźnie; także i niektóre ludy z grupy Swewów zostały przesiedlone. Wypadki takie na większą lub mniejszą skalę powtarzały się od czasu do czasu, po t. zw. wojnie markomańskiéj zaś rozpoczyna się immigracya germańska w wielkich rozmiarach i zwartą masą. Kolonistów tych rozrzucano zrazu po wszystkich prowincyach i wielokrotnie ginęli oni, tak jak i żołnierze germańscy, wcieleni do większych oddziałów rzymskich. Gdzie jednak znaczniejsza liczba kolonistów germańskich pozostawała razem, tam zazwyczaj romanizacya zupełna i zagłada narodowa bywała niemożebna, zwłaszcza, iż znaczna płodność Germanów dawała im szybko przewagę nad Rzymianami. W domenach cesarskich, albo i na nowych gruntach, pustkowiach i t. d., które tym

kolonistom oddawano, stanowili oni nieraz silnie zorganizowane grupy, silniéj może zwarte, niż niegdyś w ojczyźnie. To dawało im sposobność zachowywania swych cech charakterystycznych, tak, że ucząc się od Rzymian i poddając się ich wpływowi o ile to było konieczne, lub pożyteczne, nie byli jednak skazani na wynarodowienie zupełne. Działo się to tém bardziéj w tych wypadkach, w których osiedlenie się Germanów następowało na podstawie umowy, a więc z charakterem swobodnym.

Kombinacyę służby wojskowéj i osiedlenia rolniczego stanowią t. zw. „*laeti*“, którzy otrzymywali grunta w prowincyach pogranicznych z obowiązkiem dziedzicznéj służby wojskowéj dla obrony granic. Osiadali oni zwłaszcza w Galii zwartą masą, mieli pewną autonomię i stanowili ważny rozsadnik kultury rzymsko-germańskiéj.

Ogółem rzec można, iż zarówno żołnierze, jak i koloniści germańscy, w I, II, a nawet po troszę i w III wieku romanizowali się zupełnie, tracili do szczętu to słabe uczucie narodowe, które u nich istniało i zasilali szeregi ludności rzymskiéj bez jakiéjkolwiek korzyści dla swéj własnéj narodowości i bez korzyści dla wzajemnego zbliżenia się; nie wracają oni już do ojczyzny, nie mają więc sposobności oddziaływania na swych pobratymców.

Im późniéj jednak, tém słuszniéj można powiedziéć, iż Germanie, poddając się wpływowi rzymskiemu, rozwijając się wśród nowych warunków, wnoszą jednak równocześnie szereg własnych pierwiastków; rosnąc liczebnie, zapewniali sobie w niektórych okolicach trwałą podstawę i zyskiwali nawet przewagę, która zapewniała wniesionym przez nich pierwiastkom byt i rozwój. Rezultatem liczebnej siły żywiołu germańskiego w armii i po za armią w osadnictwie, musiało być pewne obniżenie kultury rzymskiéj. O germanizacyi ludności romańskiéj nawet tam, gdzie Germanie najsilniéj byli reprezentowani, mówić nie można z téj prostéj przyczyny, iż ci Germanie już skutkiem samego przesiedlenia się, znaleźli się w tak dalecé nowych warunkach, iż nie mogli chyba myśléć o przekształceniu stosunków, zwłaszcza gdy chodziło o rzeczy zupełnie nowe, widnokręgiem dotychczasowych ich pojęć nie objęte. Przeciwnie, musieli się oni do tych nowych warunków bytu zastosować, ale niemniéj fakty, iż w stosunki dotychczas czysto-rzymskie wchodzą Germanie, wyciska niewątpliwie pewne piętno; zwłaszcza stosunki prawne i społeczne, które odpowiednio do ogólnego rozwoju cywilizacyi rzymskiéj były już nader skomplikowane, tak, że ludom pier-

wotnym nie łatwo było w nich się zoryentować, doznać musiały pewnego cofnięcia i uproszczenia.

Germanie w armii i osadnictwie rzymskiém spełniali więc mniéj więcéj tę samą funkcyę, co Celtowie w północnéj Galii; w obu wypadkach cywilizacya rzymska została rozcieńczoną, powstawało coś pośredniego, co mogło bardzo dobrze posłużyć jako podstawa przyszłych t. zw. szczepowych państw germańskich. Państwa te mogły się oprzéć na podkładzie rzymskim, odpowiednio do potrzeb germańskich zastosowanym, na kulturze, która zachowała jeszcze to, co powstającym tu państwom germańskim było konieczne, a pozbyła się niemal wszystkiego, co było właściwością czysto rzymską i czegoby ludy mniéj rozwinięte pojąć i przetrawić żadną miarą nie zdołały.

Proces ten był tém łatwiejszy, iż i w społeczeństwie rzymskiém w IV, a zwłaszcza w V wieku, nastąpiła stagnacya cywilizacyjna, która w skutkach swych równała się cofnięciu wstecz. Kultura rzymska stała się tym sposobem przystępniejszą dla ludów pierwotnych. Odnosi się to przedewszystkiém do stosunków społecznych, gospodarczych i prawnych.

Pod względem społecznym, już z końcem III-go wieku stosunki komplikują się w sposób nader dziwny; ustrój municypalny psuje się, a natomiast klasy niższe w mieście i po za miastem nabywają coraz większego znaczenia. Równocześnie stosunki rolnicze przeobrażają się o tyle niekorzystnie, iż mniejsi właściciele wpadają w zawisłość od większych, którzy jednak ze swéj strony nie mogą téj przewagi wyzyskać korzystnie; ciężary podatkowe i inne rosną nieustannie, słowem—rozstrój zupełny, któremu prawo rzymskie i organizacya państwa rzymskiego zapobiedz nie mogą.

Pod wpływem wadliwych stosunków społecznych i prawnych, zmieniają się także stosunki gospodarcze. Stan rolnictwa upada; gospodarstwo leśne przybiéra coraz większe rozmiary [1]), podobnie i gospodarstwo pastewne. Wiadomości naturalnie w tym względzie są niedokładne; wiemy jednak, że w dwóch prowincyach dla Germanów właśnie bardzo ważnych, mianowicie w Galii północnéj i w Recyi, rozwój gospodarstwa był istotnie wstecznym; w Galii lasy, a w Recyi pastwiska odgrywają znaczną rolę. W Recyi zwłaszcza prowadzono gospodarstwo pastewne za czasów rzymskich w sposób, który odpowiada najzupełniéj pojęciom i potrzebom ger-

---

[1]) Jung. „Die romanischen Landschaften", 262.

mańskim [1]), tak, że wiele osad germańskich w Recyi oparło się wprost na podstawach z czasów rzymskich.

Rzecz prosta, że gdy jedna strona podupada, a druga się rozwija, porozumienie i zbliżenie się jest niemożliwe, zwłaszcza gdy, jak w tym wypadku, ludność romańska nie miała wcale powodu bronić swéj przeszłości, która sama przez się ulegała rozkładowi, — a przybysze germańscy dostatecznie znużeni wędrówkami i żądni spokojnych siedzib, powodowali się przedewszystkiém potrzebą rzeczywistą; w takiém usposobieniu łatwo o znaczną dozę tolerancyi z obu stron.

Te stosunki gospodarcze niezawodnie przyczyniły się do zbliżenia się Rzymian i Germanów, a mianowicie niższych klas ludności, które skądinąd może najtrudniéj byłyby się mogły zrozumiéć.

Wobec znaczenia, jakie przypisujemy żywiołowi germańskiemu w armii i osadnictwie, niknie prawie zupełnie fakt pojawiania się Germanów na urzędach rzymskich. Już w III-im wieku napotykamy ten objaw, a po upadku dynastyi Konstantyna Wielkiego, wpływ Germanów na dworze ciągle się wzmaga. Dowodzi to przedewszystkiém, iż Germanom nie brakło zdolności do spełnienia ważnych nieraz funkcyi, jakie im powierzał rząd rzymski; były to jednak naturalnie tylko jednostki, które po największéj części nie wracały już do ojczyzny i romanizowały się zupełnie. Na większą uwagę zasługuje łączenie się urzędów rzymskich z germańskiemi. I tak, już za cesarza Gracyana król frankoński Mellobandes występuje jako „*comes domesticorum*“, zachowując jednak władzę królewską nad swym ludem; Gundobad, król burgundzki był patrycyuszem rzymskim i jako taki wyniósł w r. 473 na tron rzymski cesarza Glyceriusa; Teodoryk ostrogocki był w r. 473 „*magister utriusque militiae*“, a w r. 484 nawet konsulem, pomimo iż żył ciągle wśród swego ludu; tak samo i Odoaker. Kombinacya urzędów rzymskich z germańskiemi dowodzi, bądź co bądź, pewnéj zgodności interesów rzymskich i germańskich, a więc i pewnego zbliżenia. Naturalnie, iż urząd germański coraz więcéj przeważa; Stilicho i Aëtius byli jeszcze urzędnikami rzymskimi w całéj pełni, Ricimer był w równym stopniu urzędnikiem rzymskim i Germaninem, ale Odoaker i Teodoryk byli przedewszystkiém wodzami germańskimi, a dopiéro w drugiéj linii urzędnikami rzymskimi.

---

[1]) Jung: „Römer und Romanen“, 172.

Wzajemnie i Rzymianie znajdowali się w służbie germańskiéj; i tak np. na dworze Odoakra przeważali Rzymianie i na dworze wizygockiego Euryka i ostrogockiego Teodoryka odgrywali oni bardzo ważną rolę.

III.

To wszystko, o czém dotychczas była mowa, stosowało się do jednostek lub téż pewnych grup, które niejako przypadkowo ulegały wpływowi rzymskiemu. Zupełnie inne znaczenie przypisać należy okolicznościom, któremi obecnie zamierzamy się zająć, mianowicie p o d b o j o m r z y m s k i m w G e r m a n i i i g e r m a ń s k i m w g r a n i c a c h i m p e r y u m r z y m s k i e g o.

Za czasów Cezara rozpoczął się podbój całych ludów i obszerne terytorya przeszły pod bezpośredni wpływ Rzymu. Na terytoryach tych w mniejszym lub większym stopniu odbywał się proces podobny temu, o którym mówiliśmy powyżéj. Proces ten obejmuje jednak w tym wypadku c a ł e l u d y i k r a j e.

Nie chcemy tu zajmować się historyą walk między Rzymem a Germanami; ogółem biorąc, Rzymianie nie osiągnęli w Germanii takich rezultatów, do jakich w ciągu wieków przywykł był oręż rzymski. Po różnych staraniach, udało się stworzyć, zrazu w połączeniu z prowincyą belgijską, późniéj jako samodzielną całość, prowincyą germańską, która się rozpadała na wyższą i niższą. Związek téj prowincyi z Belgią był zrazu tak ścisły, iż, zdaniem Mommsena, Germania była tylko częścią Belgii, późniéj legaci namiestnika Belgii wykonywali w Germanii funkcye namiestnicze, a wreszcie, zdaje się za czasów cesarza Hadryana, prowincya Germania stała się samodzielną. Mimo to stosunki z Belgią pozostały tak ścisłe, iż trudno oznaczyć granicę między Belgią i Galią z jednéj a Germanią z drugiéj strony. Prawdopodobnie Wogezy stanowią granicę zachodnią Germanii wyższéj, Ardenny zaś granicę zachodnią Germanii niższéj. Granicę wschodnią tworzył z początku Ren, późniéj jednak wcielono do Germanii t. zw. *agri decumates* (ob. niżéj). Granicę między Germanią wyższą a niższą tworzyła rzeczka Nahe. Germania wyższa obejmowała okręgi: Vindonissa (Windisch), Argentoratum (Strasburg) i Mogontiacum (Moguncya). Moguncya była stolicą i głównym obozem. Germanii niższéj stolicą była Kolonia (*oppidum Ubiorum*), miasto, które cieszyło się opieką cesarzy rzymskich i uzyskało nawet t. zw. *jus italicum*. Oprócz Kolonii, spotykamy tu kilka ważniejszych punktów, jako to: Bonn, Andernach,

Boppart i t. d. W Germanii wyższéj mieszkały ludy Vangionów, Nemetów i Trybokôw, oraz część plemienia Trewerów, a może kilka innych mniéj znacznych; w Germanii niższéj zaś Ubiowie, Gugernowie, Batawowie i Tungrowie.

Podbój odbiérał ludom zwyciężonym przedewszystkiém prawa polityczne; wolność osobista w największéj liczbie wypadków pozostawała nietkniętą i zwyciężeni pozostawali w posiadaniu swych gruntów, o ile władza rzymska nie odbiérała im tych grnntów bądź za karę, bądź téż dla rozdawania kolonistom rzymskim. Wewnętrzne urządzenia nie zawsze i nie wszędzie odrazu zmieniano; w I wieku po Chr. nie brak śladów istnienia gminy germańskiéj w prowincyach, oraz germańskich zwierzchników. Trudno oznaczyć, o ile prawo rodzime mogło się ostać; stosunki były w tym względzie nader różnorodne; w zasadzie wszyscy wolni ludzie pochodzenia obcego podlegali w państwie rzymskiém t. zw. *jus gentium*; Gajus i Ulpian wspominają jednak, że w niektórych prowincyach zachowały się prawa odrębne. Jeżeli np. w prowincyi Kent mogło się zachować staro-celtyckie prawo spadkowe, to i w prowincyach germańskich objawów podobnych wykluczać nie można. Niektóre ludy, np. Ubiowie, mogły się łączyć małżeństwem z Rzymianami, albo przynajmniéj z mieszkańcami kolonii rzymskich, inne otrzymywały późniéj prawo obywatelstwa rzymskiego i dzięki temu wiele z nich zupełnie się zmieszało z Rzymem i zatraciło odrębność narodową. Stopień autonomii i co za tém idzie, wpływ bezpośredni władz rzymskich i prawa rzymskiego, bywał więc bardzo różnorodny; z największych praw korzystały te ludy, które poddały się dobrowolnie i w formie przymierza połączyły się z Rzymem.

W prowincyi, wśród ludów poddanych władzy rzymskiéj, szczególnie miasta i garnizony działały w kierunku romanizacyjnym.

Miasta były właściwą siedzibą kultury rzymskiéj, która, tak jak grecka, była kulturą ściśle miejską. Rzymianie dążyli wszędzie do zakładania miast i do zapewnienia tym miastom przeważnego wpływu na całą okolicę, i to wpływu prawnego, tak, iż pomniejsze miejscowości musiały ulegać władzom miejskim. Nie zawsze się to udawało, a w prowincyach późniéj zdobytych było o to coraz trudniéj, np. w krajach naddunajskich walka między wsią a miastem była tak zacięta, iż wreszcie powstawały tam miasta mieszane, nieodpowiadające wcale typowi rzymskiemu.

Nie wiemy, jak w tym względzie rozwinęły się stosunki w prowincyach germańskich; nie ulega jednak wątpliwości, iż i tu po-

wstało dużo miast, oraz iż miasta te były po większéj części równie trwałe, jak miasta założone w innych częściach państwa rzymskiego. Znaczenie więc miast musiało być tu również wielkie. Germanie co prawda od miast stronili, nie niszczyli ich jednak i nie burzyli; chętnie odwiedzali targi miejskie i zwolna przyzwyczajali się tym sposobem uznawać ważność osad miejskich. Chrześciaństwo dodało miastom, jako siedzibom biskupów, nowego blasku, w późniejszych zaś czasach, królowie germańscy bez wyjątku rezydowali w dawnych miastach rzymskich.

Jeżeli miasta te często wśród zamieszek dziejowych podupadały i wyludniały się, to działo się to jedynie skutkiem zmiany stosunków politycznych, bynajmniéj nie skutkiem rozmyślnéj działalności Germanów. Upadek miast rzymskich i ich autonomii napotykamy nawet w krajach, w których Germanie nie panowali.

Miasta rzymskie należy uważać nietylko za rozsadniki kultury rzymskiéj w czasie panowania rzymskiego, ale za narzędzia téj kultury nawet i w czasach późniejszych. Nie ulega wątpliwości, że niejeden ważny szczegół organizacyi miejskiéj i całego rozwoju miast jako takich, ich autonomii, ustroju cechów, ich wpływu na okolicę i t. d. polega na tradycyach rzymskich.

Równe znaczenie dla zbliżenia się pierwiastków rzymskiego i germańskiego miały stałe garnizony rzymskie.

Zakładano je zwykle w pobliżu osad germańskich, zwłaszcza tam, gdzie stosunki między Rzymianami i Germanami były przyjazne. Żołnierze garnizonu zbliżali się do mieszkańców sąsiedniéj osady, wchodzili z nimi w stosunki handlowe, nabywając to, czego potrzebowali; za obozem naturalnie szli kupcy rzymscy, którzy pod ochroną obozu osiedlali się na czas dłuższy. W niektórych okolicach garnizon łączył się z czasem z osadą krajową, tak, że stanowił z nią jedną całość. Po odsłużeniu, żołnierze rzymscy pozostawali często na miejscu i osiadali w miasteczku garnizonowém, zwłaszcza jeżeli otrzymywali za wysługę udziały gruntowe, albo jeżeli zawiérali związki z kobiétami tego kraju. Małżeństwa mieszane między żołnierzami rzymskimi a kobiétami germańskiemi, napotykamy w okolicach Kolonii już około r. 70 po Chr., a późniéj było ich coraz więcéj; nic dziwnego, że żołnierz, który lat kilkanaście lub i więcej nie widział kraju rodzinnego, w którym nie miał może już nikogo z bliskich, pozostawał w okolicy, w któréj spędził najlepsze lata swego życia, w któréj miał swą nową rodzinę i przyjaciół, a najczęściéj i kawał gruntu.

Garnizony obozowały nietylko w saméj prowincyi, ale także wśród ludów pogranicznych, formalnie swobodnych, w rzeczywistości jednak ulegających zwierzchnictwu rzymskiemu. Chodziło naturalnie o powstrzymanie ich od kroków nieprzyjacielskich, oraz o zyskanie pewnéj liczby dogodnych punktów obserwacyjnych. Komendant rzymski uzurpował sobie nieraz pewne prawa względem takich ludów, co jednak po wojnie markomańskiéj ustało.

Z prowincyi wpływ rzymski rozpościerał się na wszystkie strony; nie wchodząc w szczegóły, powiemy tylko, że sięgał on aż do Elby i że za czasów Hadryana, możliwém było zmniejszenie armii w Germanii niższéj niemal o połowę.

Rozszerzenie Germanii wyższéj obejmuje terytoryum, które, mimo że leży w obrębie téj prowincyi, wyróżnia się jednak i zasługuje na osobną uwagę; są to t. zw. „*agri decumates*", przedmurze cesarstwa.

„*Agri decumates*" odpowiadają dzisiejszemu królestwu Wirtemberskiemu i Wielkiemu księstwu Badeńskiemu. Terytoryum to podlegało głównie legatowi Germanii wyższéj, skrawek wschodni zaś namiestnikowi Recyi. Nie zostało ono podbitém w ścisłém tego słowa znaczeniu, ale raczéj zajętém po wyjściu Helwetów; część leżąca nad Menem została przyłączoną po wyjściu Markomanów.

Były to więc pustkowia, które Rzymianie zaludniali głównie kolonistami, pochodzącymi z Galii. Mówiąc o Galii, mamy tu na myśli jéj znaczenie geograficzne, a wiemy, że w części wschodniéj Galii mieszkały odłamy ludów germańskich; jest więc nader prawdopodobném, że koloniści ci gallicey nie byli wyłącznie Celtami, ale przeciwnie, że procent osadników pochodzenia germańskiego był znaczny; nie brak zresztą wskazówek, iż obok kolonistów z Galii, napływali tu także osadnicy niewątpliwie czysto-germańskiego pochodzenia. I tak już w I-ym wieku osiedliła się tu część plemienia Hermundurów, naturalnie za zezwoleniem władz rzymskich. Czy nazwa „*agri decumates*" pochodzi stąd, iż koloniści płacili dziesięcinę, czy téż (naszém zdaniem) odpowiada ona sposobowi pomiarów rolnych, dokonanych przez Rzymian,—jest dla nas obojętne.

Mamy tu więc do czynienia z ludnością bardziéj mieszaną, niż ludność prowincyi germańskich; skład ludności przypomina raczéj stosunki Galii wschodniéj i północnéj, gdzie również żywioł celtycki mieszał się z germańskim. Nie wynika jednak z tego bynajmniéj, aby ta ludność mieszana, która się tu osiedlała, urządzała się koniecznie zupełnie po rzymsku; mylném byłoby szukać tu kompletnéj romanizacyi, jaką napotykamy np. w południowéj, a po części

i w środkowéj Galii. Przeciwnie, co do stopnia romanizacyi terytoryum, to pozostawało może nawet w tyle po za prowincyami germańskiemi.

I tak np. w okolicach nad Neckarem, organizacya miejska była bardzo słaba; przeważają osady wiejskie; nic zaś nie przemawia za tém, aby którakolwiek miejscowość stanowiła centrum okolicy i panowała nad innemi; zdaje się, że w całéj téj okolicy było tylko jedno miasto, mianowicie Sumlocenis, dzisiejsze Sülchen opodal Rottenburga. W innych okolicach tego terytoryum było więcéj miast.

Osady wiejskie powstawały tu w sposób dwojaki; spotykamy miejscowości, które powstawały skutkiem zakładania bud karczemnych i kupieckich w pobliżu obozów rzymskich, oraz grupowania się w około nich mieszkań rodzin żołnierskich; albo téż przez łączenie kilkunastu dworków osadniczych w jedną całość. Dworki poszczególne były, o ile z wykopalisk sądzić można, budowane na sposób rzymski, z drugiéj strony jednak samo gospodarstwo nie było prowadzone na sposób rzymski, nie było zbyt intensywne, gdyż przeważało gospodarstwo pastewne.

Liczba osad była bardzo wielka; stwierdzono ich 121 w dzisiejszém badeńskiém, a 532 w wirtemberskiém, razem więc 653.

Cywilizacya rozwijała się w tém terytoryum dość pomyślnie; przyczyniała się do tego znaczna liczba garnizonów, a doskonała sieć dróg i przyjemny klimat wyróżniały korzystnie to terytoryum w porównaniu np. z prowincyą dolno-germańską. Bezpieczeństwo było dostateczne dzięki t. zw. *limes*'owi, t. j. obwarowaniu, które ciągnęło się od rzeki Laha aż do Ratysbony (*Castra Regina*) i którego ślady do dziś dnia wzbudzają podziw. Obwarowanie to przez długie czasy wystarczało i stanowiło zarazem linię handlową dla stosunków germańsko-rzymskich.

„*Agri decumates*" nie zostały téż zdobyte siłą oręża germańskiego; pod naciskiem plemion germańskich musieli jednak Rzymianie kawałki tego terytoryum odstępować osadnictwu czysto-germańskiemu, które napływało coraz liczniéj i nadawało całemu krajowi coraz to bardziéj germański charakter. Pierwiastek celtycki podupada zupełnie, pierwiastek germański bierze górę, tém więcéj, że terytoryum to nie było należycie zorganizowane i że Germanie, którzy drogą układów otrzymywali prawo osiedlania się, zachowywali autonomię i bynajmniéj nie stawali się poddanymi rzymskimi. W III-im wieku *agri decumates* są już bardzo zagrożone i pojawia się jako nowa ich nazwa: „Barbaria" i „Alemannia", a w podziale prowincyi Konstantyna Wielkiego wcale ich już nie znajdujemy,

co dowodzi, iż nie uważano ich już za część państwa. Odtąd terytoryum to jest areną nieustannych walk między Rzymianami a Germanami; nieustannie zmienia się panowanie, kilkakrotnie jeszcze Rzymianom udawało się zwyciężać, od czasów cesarza Juliana jednak panowanie Germanów było prawie zupełnie ustalone.

Widzimy więc, iż przez długie czasy bezpośredni wpływ rzymski sięgał daleko wgłąb krajów germańskich i obejmował ludy germańskie z zachodu, północo-zachodu i południa. W dalszym ciągu prowincye rzymskie: Recya i Windelicya, Noricum i Pannonia, jakkolwiek na razie pozbawione jeszcze ludności germańskiéj, dopełniały łańcucha, którym Germanie byli otoczeni. Równocześnie, jak wiemy, polityczna i handlowa działalność Rzymian sięgała jeszcze daléj, gdyż i ludy całkiem swobodne, nie należące do prowincyi, ulegały naciskowi kultury rzymskiéj, — nie mówiąc już o tych licznych jednostkach germańskich, które wychowywały się pod wpływem rzymskim (np. Armin i t. d.), o tych Germanach, którzy służyli Rzymianom jako żołnierze lub osadnicy, oraz o tych jednostkach rzymskich, które żyły stale wśród Germanów.

Sposobności do wzajemnego zbliżania się zatém nie brakło; było ono ciągłe i trwałe, i skutki jego poznamy; przedtém jednak chcemy zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność, najważniejszą i decydującą.

IV.

Wspominaliśmy już o tém, iż z dawien dawna pewne ludy germańskie zachodziły w granice prowincyi rzymskich i osiedlały się w nich. Było to jednak naturalnie sporadyczném, dopóki te ludy nie miały dostateczněj siły, aby zmusić Rzymian do przyjmowania ich na terytoryum cesarstwa. Za czasów potęgi rzymskiéj jedynie w północnéj i północno-wschodniéj Galii, oraz w t. zw. „*agri decumates*" napotykamy ludy germańskie, lub ich odłamy, w innych prowincyach zaś tylko tak wyjątkowo, iż znaczenia jakiegokolwiek w tém dopatrywać się nie można.

W III i IV wieku jednak potęga rzymska zaczyna podupadać, coraz częściéj ludy germańskie bezkarnie przekraczają granice państwa rzymskiego i osiedlają się w prowincyach zupełnie im dotychczas obcych, w których władze rzymskie pod pewnemi warunkami pozwalają im pozostać. W osiedleniu tém biorą udział nietylko te ludy, które już i przedtém stykały się z Rzymianami, ale także i ta-

kie, które Rzymian prawie wcale nie znały i nie miały dotychczas sposobności ulegać wpływowi rzymskiemu.

Jest to proces niesłychanie ważny. Dotychczas (z wyjątkami, o których była mowa) przeważnie Rzymianie przychodzili do Germanów i podbijali ich, teraz rozpoczyna się ruch odwrotny; teraz ludy germańskie wkraczają w prowincye rzymskie i spotykaja kulturę rzymską w jéj własnych siedzibach, osiadają wśród niéj stale i z natury rzeczy zapożyczają niejedno.

Główną widownią tych wypadków są prowincye następujące: Galia, Germania, Italia, Recya i Windelicya, Noricum, Pannonia, Dacya i Mezya, Hiszpania i Afryka; we wszystkich tych prowincyach najazdy germańskie odgrywają znaczną rolę; najeźdzcy spotykają w nich nader rozmaite warunki, wszędzie jednak wysoki stopień romanizacyi, często za wysoki w stosunku do cywilizacyjnego przygotowania, jakie z sobą przynoszą.

W Galii romanizacya była bardzo różnorodną. Galia południowa, jako starsza prowincya, była zupełnie po rzymsku urządzona i stanowiła w czasach późniejszego cesarstwa ognisko oświaty rzymskiéj. Tak zwane „*tres Galliae*" stały niżéj; uregulowano w nich przedewszystkiém stosunki polityczne i narodowe, po za tém jednak pozostawiono wiele z przeszłości [1]. Galia wschodnia znów była więcéj zromanizowana, niż północna i północno-zachodnia, ponieważ stykała się bezpośrednio z obozami rzymskiemi nad Renem; wytworzyła się tym sposobem pewna spójnia cywilizacyjna i polityczna między Galią południową, wschodnią i linią obronną Renu. Belgia, a zwłaszcza jéj części północne i północno-zachodnie, nie mogły się poszczycić znaczną kulturą; przeważał tu pierwiastek celtycki, o czém już była mowa.

W IV wieku rozpoczyna się podbój Galii, któréj pogranicze wschodnie w V w. jest już zupełnie zajęte przez Germanów; jeszcze przedtém, bo w połowie IV-go w. znaczne płaty kraju od czasu do czasu bywały w ręku Germanów.

Z Galią łączą się Szwajcarya i Sabaudya.

Szwajcarya nie stanowiła osobnéj prowincyi, lecz część jéj należała do Galii, a część do Recyi. Część zachodnia była urządzona na sposób rzymski w wyższym stopniu, niż część wschodnia i północna; aż do r. 260 panowanie rzymskie było tu niezaprzeczone i nic nie zakłócało spokojnego rozwoju kraju; od tego czasu jednak północna i wschodnia część kraju stawała się coraz częściéj przedmio-

---

[1]) Mommsen. „Röm. Gesch.", V, 77.

tem wypraw germańskich. Sabaudya sięgała do Genewy i Rodanu, na południe w okolicę Embrun, na wschód do Alp graickich i kottyckich, na zachód do terytoryum Sekwanów. Aż do r. 443, w którym osiedlili się tu Burgundowie, Sabaudya pozostawała wyłącznie pod wpływem rzymskim, który téż był tu nieograniczony.

O prowincyach germańskich była mowa i wiemy, że łącznik między niemi a dalszemi prowincyami rzymskiemi stanowiły t. zw. „*agri decumates*", które sięgały wgłąb Recyi.

Recya graniczyła na zachód z Galią i Germanią, a więc z prowincyami silnie zromanizowanemi (odnosi się to zwłaszcza do Galii). Mimo to była ona mniéj zromanizowana, niżby sądzić było można; organizacya miejska, która stanowi zawsze kryteryum niezawodne dla rozpoznania stopnia romanizacyi, była tu słabo rozwinięta [1]); widocznie napływ kolonistów rzymskich był nieznaczny; nawet język łaciński był mało rozpowszechniony. Jedynie w centrum Recyi żywioł rzymski był silniejszy i przetrwał najazdy, tak, że za czasów panowania Gotów tworzono osobną milicyę, na któréj czele stał „*comes Raetiarum*" i jeszcze za czasów bawarskich Rzymianie korzystali z pewnych praw.

I tu w IV wieku położenie staje się niebezpiecznėm. Cofają się załogi rzymskie, a z niemi uchodzi znaczna część Rzymian. Całe miasta nawet pustoszeją; i tak np. mieszkańcy miasta Quintanis cofają się do Batavis; stąd wraz z mieszkańcami tego miasta do Lauriacum, a potém jeszcze daléj na południe.

Z Recyą połączoną była Windelicya, w któréj już za Trajana istniały kolonie weteranów wojskowych.

Noricum było bardziéj zromanizowane niż Recya. Kiedy mieszkańcy Recyi i Windelicyi służyli w oddziałach posiłkowych, mieszkańcy Noricum służyli w legionach. Organizacya miejska była tu bardziéj rozpowszechniona, dlatego téż żywioł rzymski utrzymał się tu znacznie dłużéj, niż w Recyi, pomimo że i ten kraj był nieustannie nawiedzany przez Germanów. Rzymianie trzymali się zwłaszcza we wnętrzu prowincyi silnie i doczekali się jeszcze przybycia Słowian.

Pannonia była również silnie zromanizowana. Język łaciński był tu bardzo rozpowszechniony, organizacya miejska silnie przeprowadzona i Romanie trzymali się w téj prowincyi mimo najazdu Atyli, Gotów, a potém Longobardów i Gepidów, tak, że ulegli dopiéro naciskowi Awarów.

---

[1]) Jung. „Die romanischen Landschaften", 355.

Dacya wkrótce po przyłączeniu zaludniła się wychodźcami z całego państwa rzymskiego; romanizacya nastąpiła tu nawet prędzéj, niż w Noricum. W III wieku pod naciskiem Gotów i Wandalów ludność rzymska zaczyna się cofać; w każdym razie jednak pewien procent téj ludności pozostał i pozostała przedewszystkiém materyalna kultura rzymska, jako to: drogi, kopalnie, winnice i t. d., co wszystko dostało się w ręce Gotów i wskazywało im drogi cywilizacyjnego postępu; po Gotach przybyli Gepidowie. Czy i o ile żywioł romański napływał tu późniéj z półwyspu bałkańskiego, na którym Romanie aż do VI w. mieli przewagę, nie wiemy.

Że w Italii żywioł rzymski panował, tego przypominać nie potrzeba; Germanie, których losy zagnały do téj części państwa rzymskiego, mieli najlepszą sposobność korzystania z wyników cywilizacyi rzymskiéj.

Lecz i Hiszpania i Afryka dosięgały podobnego stopnia cywilizacyjnego rozwoju.

Romanizacya Hiszpanii rozpoczęła się wcześniéj, aniżeli Galii i — co z tego wynika — została przeprowadzona z większą siłą. Jedynie w Luzytanii, Tarragonie i kraju Basków pozostały ślady dawnéj organizacyi gminnéj iberyjskiéj, po za tém zwyciężyła niemal bezwarunkowo zasada rzymskiéj organizacyi miejskiéj.

W Afryce, przedewszystkiém t. zw. prowincya prokonsularna, uległa zupełnéj romanizacyi; ludność wiejska, zwłaszcza o ile była punicką, a nie rzymską, zachowała więcéj swobody, niż np. w Italii, Afryce, Hiszpanii i południowéj Galii, zbrojna ich przewaga nie wystarczała i nie mogła być trwałą. Utrwaliła się jedynie tam, gdzie liczba ludności germańskiéj nieustannie rosła, gdy liczba ludności romańskiéj malała, gdzie więc pierwiastek germański otrzymywał ciągle posiłki, których pierwiastkowi romańskiemu brakło.

Wspomnieliśmy o tém, że ludy germańskie w różnych prowincyach napotykały różne warunki rozwoju. Romanizacya bowiem, jak wiemy, nie była jednolita i niewątpliwie w niektórych prowincyach pozostał pewien podkład rodzimy, którego kilka wieków panowania rzymskiego nie usunęło. Jeżeli pomimo tak znacznéj romanizacyi między Hiszpanią a Galią istniały jednak różnice, które późniéj stawały się coraz więcéj wybitnemi, przypisać to można jedynie czynnikom nierzymskim.

Różnorodność warunków pochodziła także stąd, iż niektóre terytorya nieustannie zmieniały swych panów; przechodziły z rąk rzymskich w ręce jakiegoś ludu germańskiego, potém w ręce innego ludu, wracały znów pod panowanie rzymskie i t. d. Naturalnie,

skutkiem takich zmian politycznych zmieniał się i stan wewnętrzny tych terytoryów. Żywioł rzymski nabiérał wśród tego nowéj siły i nowego znaczenia, gdyż był on niejako jedynym niezmiennym wśród licznych wypadków. Tak np. po r. 500 południowa część prowincyi arelateńskiéj była w ręku Gotów zachodnich; w r. 510 przeszła do Gotów wschodnich, a potém pod panowanie Franków. Jedyném, co się nie zmieniało—byli tam Romanie.

Pomimo téj różnorodności, z którą należy się liczyć w studyach specyalnych, nie można się oprzéć wrażeniu, jakie ogółem biorąc robi fakt, iż terytorya dzisiejszéj prowincyi nadreńskiéj, Lotaryngii, Alzacyi, Badenu, Wirtembergii, Bawaryi, Styryi i arcyksięstw austryackich, przez 300 lat należały do państwa rzymskiego, przez 300 lat korzystały z tak znakomitéj kultury i w kwitnącym niemal stanie przeszły w ręce ludów germańskich, którym i w inny sposób już poprzednio daném było zaznajomić się z cywilizacyą rzymską.

Przejdźmyż obecnie po kolei ludy, które brały największy udział w najściach na terytoryum rzymskie.

Wandalowie już podczas wojny markomańskiéj weszli do Dacyi, a więc do prowincyi, jak wiemy, silnie zromanizowanéj; stamtąd udali się do Pannonii, gdzie przebywali aż do końca IV-go wieku; w r. 409 widzimy ich w Hiszpanii, gdzie osiedli stale i założyli państwo. Wśród tak długich wędrówek na terytoryum rzymskiém i przez pobyt w tak bogatych prowincyach, zbliżenie się musiało nastąpić. Nic więc dziwnego, że Wandalowie, jakkolwiek charakteru porywczego i przebojem torujący sobie drogę, w państwie, które założyli jedynie dzięki sile swego oręża, zachowali jednak bardzo wiele urządzeń rzymskich. Do urządzeń tych przywykli oni bowiem w ciągu 2 przeszło wieków i nie było powodu, dla któregoby wysilali się na nową i oryginalną organizacyę. Wandalowie łupili i uciskali, ale bynajmniéj nie czynili tego z powodów zasadniczych, lecz po prostu z chęci zysku; nie tępili oni nigdzie romanizmu jako takiego i gdyby nie podbój Afryki przez cesarzów bizantyjskich, a następnie napady mahometańskie, romanizm byłby się tam rozwijał bez przeszkody i byłby niezawodnie zupełnie pochłonął szczupłą stosunkowo garstkę Wandalów.

I Goci siedzieli bardzo długo w Dacyi, a po części i w Pannonii, podzielając w tym względzie losy Wandalów. Wędrówka ich była bardziéj skomplikowana i przeplatana wojnami i układami z Rzymem. Wśród niéj nastąpiło rozłączenie się Gotów na gałąź wschodnią i zachodnią. Goci zachodni po różnych przejściach objęli

w r. 396 pod wodzą Alaryka Iliryę i przez 4 lata zachowywali tu formy urządzeń rzymskich. Właściwą ich posiadłością była południowa Galia i Hiszpania; w Galii walczyli z Gotami wschodnimi, z Burgundami i Frankami, tak, że panowanie poszczególnych ludów nieustannie się tu zmieniało, zwłaszcza w prowincyi arelateńskiéj.

Wpływ żywiołu rzymskiego był w państwie Gotów zachodnich tém większy, iż osiedli oni na podstawie systemu kwaterunkowego rzymskiego, zmieniając naturalnie ten system odpowiednio do swych potrzeb; rozproszyli się więc po osadach, które w kraju znaleźli, zabierając $^2/_3$ posiadłości rzymskich dla siebie; z lasów korzystano wspólnie. Z natury rzeczy bardzo wiele urządzeń rzymskich musiało tu pozostać bez zmiany, zwłaszcza w miastach i w wyższym zarządzie prowincyonalnym. Goci, tak samo jak Wandalowie, nie mieli powodu tępić romanizmu; wystarczało im nagiąć go do swych wymagań. Wędrówki w obrębie prowincyi rzymskich dały im sposobność zapoznać się z urządzeniami rzymskiemi, a sposób, w jaki się osiedlili, dowodzi, iż się w zasadzie przynajmniéj na te urządzenia godzili.

Goci wschodni, którzy razem z Gotami zachodnimi odbyli znaczną część swéj wędrówki, późniéj i po uwolnieniu się z pod władzy Atyli popadli w zawisłość bizantyjską, co musiało na nich wywrzéć wpływ odpowiedni; ostatnim celem ich wędrówki była Italia, gdzie założyli państwo ze stolicą w Rawennie; państwo to zajęło wśród innych państw aryańskich przodującą rolę, wywieralo zwłaszcza wielki wpływ na państwa Gotów zachodnich i Burgundów. W r. 510 nabyli Goci wschodni Arles, Narbonę i południową część galijskiéj prowincyi „Novempopulana".

Do nich więc odnosi się w wyższym jeszcze stopniu to, co powiedzieliśmy o Gotach zachodnich. I oni osiedli na podstawie systemu kwaterunkowego, co dowodzi uznania dla urządzeń rzymskich, tém bardziéj, że wydzielenie parcel gockich powierzono Rzymianinowi Liberiuszowi. Wogóle państwo Gotów wschodnich oparło się najzupełniéj na tém, co w Italii jeszcze istniało; naród ten przejął się chęcią konserwacyi urządzeń rzymskich, a w rokowaniach z cesarstwem bizantyjskiém, które żądało oddania Italii, podnosili Goci w r. 537, iż przecie za ich panowania Rzymianie nie doznali ucisku, że cały stan rzeczy, jaki zastali, zachowali i bronili go wiernie.

B u r g u n d o w i e należą do téj saméj grupy. Tradycye ich dowodzą licznych i dobrych stosunków z Rzymem. Po r. 282 zajmują oni siedziby Alemanów, którzy przegradzają ich od Rzymian.

Około r. 413 zajęli Burgundowie prawie całą prowincyę górno-germańską, skąd około r. 443 znaczna ich część przeszła do Sabaudyi. Państwo to rozszerza się coraz więcéj na południe i południowy wschód. W r. 457 pozyskali Burgundowie część prowincyi Lugdunensis I, a potém i część prowincyi Vienne; w r. 474 część Lugdunensis IV, późniéj chwilowo Arles i Marsylię; prócz tego, zajęli południową Szwajcaryę, t. j. właśnie najbardziéj zromanizowaną jéj część. Tylko w górach berneńskich ulegli wpływowi alemańskiemu, którego w téj okolicy nie paraliżował wpływ rzymski, po za tém, jak widzimy, obracają się wyłącznie w prowincyach, w których żywioł rzymski cieszył się przewagą niezaprzeczoną. Burgundowie osiedli także sposobem kwaterunkowym i poddali się wpływowi rzymskiemu, tak jak Goci. Łączyli się z Rzymianami związkami małżeńskiemi, nie prześladowali romanizmu i wiele urządzeń politycznych i korporacyjnych rzymskich za ich panowania zakwitło na nowo. Zespolenie się żywiołu germańskiego z romańskim było tu tak silne, iż i późniéj w państwie frankońskiém, w którego skład weszli Burgundowie, wywierali oni wpływ romanizacyjny. Reprezentują oni w państwie frankońskiém idee rzymskie i stanowią pomost między żywiołem gallo-rzymskim Zachodu a przewagą germańską wschodnich prowincyi frankońskich.

Z Burgundami graniczą w III wieku Alemanowie, szczep bardzo ruchliwy, który już w r. 259, a potém w r. 270, zapuszczał swe zagony aż do Włoch. Po śmierci cesarza Aureliana zajęli oni terytoryum dekumackie i 70 okręgów w Galii, które im cesarz Probus odebrał. Z terytoryum dekumackiego od r. 282-go nie ustępują, a zwłaszcza przestrzeń od dolnego Menu aż do jeziora bodeńskiego staje się ich właściwą posiadłością. Za czasów cesarza Juliana Apostaty widzimy ich około r. 355 i na lewym brzegu Renu, gdzie zajęli pas ośmiomilowy, z którego wychodzą często na wyprawy wojenne wgłąb Galii; około r. 476 wreszcie, zajmują także Alzacyę i część Szwajcaryi, w któréj Aar stanowi granicę między Alemanami a Burgundami; okolica Bazylei była ściśle alemańską. Pobitych przez Klodwika Alamannów osiedla Teodoryk ostgocki w Recyi, którą zajęli aż po rzekę Lech.

Widzimy więc, że temu szczepowi wypadło osiąść w terytoryum mniéj zromanizowaném, niż te, które zajęli Wandalowie, Goci i Burgundowie; zwłaszcza w Szwajcaryi wschodniéj i północnéj żywioł rzymski był słabo reprezentowany, wzmocnił się on tu dopiéro późniéj przez emigrantów rzymskich z południa; był to jeden z wyjątkowych wypadków, w których romanizmowi przychodziły po-

siłki. Z natury rzeczy o urządzeniach rzymskich i ich bezpośrednim wpływie mniéj tu można mówić, zwłaszcza téż, że Alamannowie nie osiadali sposobem kwaterunkowym, lecz mieli do dyspozycyi obszary, ogołocone z ludności, która wyemigrowała, albo padła ofiarą wojen i zamieszek; na tych obszarach urządzano się więc stosownie do tradycyi germańskich, o ile te tradycye w ciągu wędrówek po prowincyach bardziéj zromanizowanych nie doznały zmiany.

Na wschód od Alemannów szczep bawarski osiadł w Noricum i wchodniéj części Recyi. Ludność bawarska skoncentrowała się głównie w wyżynach na północnych stokach Alp, skąd ludność romańska prawie zupełnie ustąpiła. Bawarowie mogli zatém, tak samo jak Alemannowie, zajmować obszary puste i nie potrzebowali dzielić się z Rzymianami. Tylko w miastach, zwłaszcza w Passau i Ratysbonie żywioł romański odgrywał pewną rolę W południowych częściach wymienionych prowincyi, przedewszystkiém zaś w Tyrolu, pozostało dużo kolonistów rzymskich, którzy popadli przeważnie w zawisłość od książąt bawarskich, wyjątkowo tylko zdołali zachować swobodę. Podobnie jak Alemanowie, nie napotkali więc Bawarowie urządzeń rzymskich w prowincyach, które zajęli, napotkali jednak pewien zasób dóbr materyalnych, budynków, dróg i t. d., które objęli. Ludność rolnicza, która pozostała zwłaszcza w dzisiejszym Tyrolu, wywierała niezawodnie pod względem cywilizacyjnym i gospodarczym wpływ, któremu Bawarowie zawdzięczają prędki swój rozwój i skutkiem którego wyróżniają się oni korzystnie wśród ludów germańskich daléj na wschód i na północ osiadłych.

Największe znaczenie mają jednak Frankowie i Longobardowie, jako założyciele Francyi, Niemiec i Włoch średniowiecznych.

Stosunki między Frankami a Rzymianami sięgają bardzo dawnych czasów. Frankowie służyli licznie w wojsku rzymskiém, z czasem nabrali jednak wiele samodzielności i występowali nawet, jakkolwiek dość wyjątkowo, przeciwko Rzymowi; tak np. w III w. wataha frankońska przeszła łupiąc przez całą Galię, aż do Hiszpanii i Afryki. Od czasów Dyoklecyana napływało ich bardzo wiele do Galii północnéj, tak, że już o zromanizowaniu ich nie mogło być mowy, około r. 290 Frankowie saliccy osiedli w kraju wiernych Rzymianom Batawów, a za czasów cesarza Juliana spotykamy ich wspólnie z Alemannami także na lewym brzegu Renu.

W Galii, która stała się ostatecznym celem usiłowań frankońskich, zastali oni stosunki etnograficzne dość ciekawe. Obok pierwiastku gallo-rzymskiego, w którym na południu i w środkowéj Galii przeważał romanizm (gdy w Galii północnéj przeważały tra-

dycye celtyckie), napotkali oni szereg ludów germańskich, oraz odłamów tychże ludów, które przez cesarzy rzymskich do Galii zostały przyjęte, lub przemocą osadzone. Wspomnieliśmy już o tém powyżéj; dodajmy jeszcze, że już Pliniusz (Hist. nat. IV, 106) mówi o Germanach, którzy mieszkając nad Renem, podlegali wspólnie z Gallami jednéj i téj saméj władzy prowincyonalnéj. Germanie ci, z których niektórzy odznaczali się wiernością względem Rzymu w wyższym nawet stopniu niż Celtowie [1]), stanowili pomost między Galią a prowincyami germańskiemi, a nawet wogóle między prowincyami rzymskiemi a wolnymi Germanami. I tak np. Menapiowie już za czasów rzymskich siedzieli po części na lewym, po części na prawym brzegu Renu, stykając się z jednéj strony z Celtami, z drugiéj z Germanami. Podobną rolę odegrali późniéj Chattowie, którzy znów pośredniczyli niejako między Frankami salickimi i rypuarskimi z jednéj, a Turyngami i Alamannami z drugiéj strony; tym sposobem możliwe było oddziaływanie Franków na Turyngów i Alamannów, oraz zasilanie samychże Franków żywiołem czysto germańskim.

Frankowie otrzymywali nieustannie posiłki z ojczyzny, co ich chroniło przed nagłą romanizacyą. Posuwali się też stopniowo naprzód w głąb Galii, zajmując zrazu tylko pustkowia, których w północnej i północno-wschodniéj części téj prowincyi nie brakło. Zetknięcia się z Rzymianami nie unikali, ludności rzymskiéj nie tępili, ale téż nie rozpraszali się przynajmniéj z początku wśród osad gallo-rzymskich, lecz osiadali zwartemi grupami. Tym sposobem nie przyszło do zlania się zupełnego z Rzymianami i możliwe było zachowywanie niektórych cech rodzimych, możliwym także spokojny rozwój i postęp. Frankowie byli w tym względzie w najszczęśliwszém położeniu; kulturę rzymską przyjmowali obficie, ale stopniowo, w małych dozach, a naturalnie i stan ludów germańskich, oddawna już w Galii zamieszkałych stanowił dla nich ważną w tym kierunku pomoc. Zdrowe połączenie cech germańskich z nabytkami rzymskiemi zostało dokonaném przez Franków i zapewniło temu ich dziełu trwałość niespożytą.

L a n g o b a r d o w i e najpóźniéj stykają się z Rzymianami. Pomijając ich dzieje dawniejsze, które w tym względzie bardzo mało nam mówią, przypomnijmy tylko, że dopiéro w r. 526 osiadają oni w Panonii i Noricum, skąd w drugiéj połowie tego wieku udają się do Italii. Italię zajmują oni prawem miecza i to odrazu, nie szu-

---

[1]) ob. Mommsen. „Röm. Gesch.“ V, 23.

kając płaszczyka żadnéj formy, jak to czynili Goci i Burgundowie, ani téż nie zadawalniając się powolném posuwaniem się, jak Frankowie. Pomimo to i ten lud, dzikszy może zrazu niż inne, nie tępi romanizmu zasadniczo. Langobardowie pojmują odrazu użyteczność niektórych urządzeń rzymskich i wolą z nich korzystać, niż burzyć zapamiętale to, co znaleźli, aby potém mozolnie budować coś nowego. Zastosowanie się do stosunków rzymskich w życiu codzienném nastąpiło tém łatwiej, że Langobardowie rozproszyli się po kraju i osiadali podobnie jak Goci i Burgundowie — chociaż na zgoła innych warunkach — w poszczególnych posiadłościach rzymskich. Rzymianie mieli obowiązek pracowania na swych langobardzkich gości, którzy nie wzięli się prawie wcale do uprawy roli, pozostawiając to zajęcie Rzymianom. Postępowanie Langobardów bywało bezwzględne, nawet okrutne, nie krępowali się oni żadnemi względami, mimo to jednak charakteru rzymskiego Italii nie zatarli, lecz przeciwnie sami wiele przyjęli.

Oto najważniejsze ludy germańskie, które w prowincyach rzymskich założyły swe państwa. Widzimy, że zarówno w czasie swych wędrówek, jak i późniéj w terytoryach, w których te ludy zakładały swe państwa, miały one nieustannie do czynienia z żywiołem rzymskim czystym lub mieszanym i oprzéć się zupełnie tak silnemu wpływowi było niemożebne.

Zważmy przytém, iż prowincye te obejmowały około 45,000 mil kwadratowych i miały około 30 milionów ludności, wśród któréj Romanie przeważali bardzo znacznie. Liczba zdobywców nie wynosiła zrazu więcéj niż 4 miliony [1]. Późniéj naturalnie liczba zdobywców powiększa się znacznie, bo napływało ich wiele z Germanii i rozmnażali się bardzo szybko, kiedy Romanie wymierali; nie prędko jednak żywioł germański uzyskał silną przewagę, a zanim do tego przyszło, żywioł romański, chociaż upadający, górował i spełniał wobec przybyszów ważne posłannictwo cywilizacyjne.

V.

Poznaliśmy drogi, na których przez pięć wieków dokonywało się zbliżanie się Rzymian i Germanów. Organizm państwa rzymskiego pochłaniał zrazu jednostki i liczne grupy germańskie, które przechodziły na terytoryum rzymskie bądź to jako jeńcy, bądź też

---

[1] ob. Kaufmann: „Deutsche Geschichte“ II, 172.

jako żołnierze i osadnicy. Później, gdy jednostek tych i grup coraz więcéj, już ich organizm rzymski pochłonąć nie mógł i zachowywały one swą odrębność.

Podbój, polityka i handel rzymski poddały znaczną część ludów germańskich wpływowi rzymskiemu. Później ludy te coraz liczniéj przekraczają granicę państwa rzymskiego i osiadają w bogatych jego prowincyach, spotykając się tam z wynikami długowiecznéj kultury starożytnéj.

Stosunki takie nie mogły pozostać bez skutku; Germanie, którzy przychodzili, byli już do pewnego stopnia przygotowani do przyjęcia cywilizacyi rzymskiéj i do skorzystania z niéj w sposób pożyteczny. Usposabiała ich do tego ich natura i brak głębszych uczuć narodowych, które się jeszcze rozwinąć nie zdołały i przygotowały ich te wszystkie okoliczności, o których mówiliśmy. Zastanówmy się obecnie nad skutkami tych zajść. Rozumie się, iż w tym wypadku unikać nam przyjdzie szczegółów i ograniczyć się do najogólniejszéj charakterystyki.

Zachodzi przedewszystkiém pytanie, jakie wrażenie wywołało obustronnie to zetknięcie się i jakie uczucia zapanowały po obu stronach.

Wątpić nie można, że wrażenie było silne. Germanie widzą coś, co przedstawia się ich oczom, jako zjawisko nieziemskie. Pisarze rzymscy wspominają niejednokrotnie dowody czci bałwochwalczéj. jaką Germanie okazywali cesarzom, wojskom, świątyniom rzymskim; a jeżeliby nawet wzmianki tych pisarzy były przesadne, to jednak nie potrzeba zbytniéj fantazyi dla wyobrażenia sobie, co czuć musiały ludy dzikie na widok wspaniałości kultury starożytnéj, któréj szczątki przejmują nas dziś jeszcze do głębi.

Ale co ciekawsze, to, że i Rzymianie doznali wrażenia, jakiego jeszcze żaden lud na tych potężnych zdobywcach nie wywarł; żaden lud obcy nie wymógł wyznania, które spotykamy u Tacyta, iż możliwém jest zniszczenie państwa rzymskiego przez tych właśnie barbarzyńców, pomimo, iż oręż rzymski z bardzo małemi wyjątkami ich zwycięża! Rzymianie przeczuwali niejako, że z téj strony grozi im niebezpieczeństwo, przeczuwali w Germanach swych następców.

Mimo to o antagonizmie narodowym mówić nie można; brak uczuć narodowych u Germanów jest nam znany; wiadomo téż, iż u Rzymian patryotyzm w ścisłém tego słowa znaczeniu nie istniał. Dlatego dopiéro znacznie późniéj, mianowicie w czasie krytycznych walk wewnętrznych w państwie frankońskiém w IX w. objawia się

świadomość narodowa. Słowo *barbarus*, którego Rzymianie używali, nie miało wcale znaczenia pogardy, a tém mniéj nienawiści, tak, jak i słowo *Romanus* w ustach barbarzyńców nie było używane w znaczeniu niechętném lub pogardliwém; znacznie późniejsze słowo „wlach“, „walach“ (słowiańskie „wołoch“) nabrało znaczenia poniżającego.

Ludy germańskie żądały od Rzymian terytoryów dla osiedlenia; Rzymianie od Germanów poddania się władzy cesarstwa; wynarodowienie jako cel świadomy nie istnieje w owych czasach wcale. Dlatego to ludy germańskie, których życzenia mogły być przez Rzymian zaspokojone, prawie nigdy nie występują przeciw Rzymowi, lecz raczéj bronią go i bynajmniéj nie wspierają innych Germanów. Kroki nieprzyjacielskie przeciwko Rzymianom pochodzą najczęściéj z inicyatywy ludów daléj mieszkających, ludy zaś sąsiadujące z Rzymianami chwytają za broń tylko z powodu niedostatku i przeludnienia, albo z powodu ucisku i nierzetelności władz rzymskich.

W niektórych częściach Germanii Rzymianie mogli swe posterunki, obozy i nawet osady zakładać tuż obok osad germańskich, nie obawiając się ze strony autochtonów żadnéj napaści; w pewnych okolicach było gorzéj, ale może tam poprzednio Rzymianie dali się mieszkańcom we znaki. - Późniéj i misyonarze rzymscy niejednokrotnie mogli najspokojniéj żyć i działać wśród Germanów; żywoty świętych mieszczą w tym względzie ciekawe szczegóły.

Że Germanie chętnie szli na służbę rzymską i byli w niéj ogółem wierni, że chętnie osiadali pośród Rzymian i t. d., o tém była już mowa; wybuch patryotyczny pod wodzą Hermanna był wyjątkowym.

Z drugiéj strony wiele składało się na ułatwienie Germanom zwycięstwa i na stosunkowo dobre przyjęcie Germanów w prowincyach.

Prowincye były przeważnie wycieńczone uciskiem namiestników rzymskich, czuły one przytém i wiedziały dobrze, że dostarczają soków żywotnych całemu państwu, że muszą ponosić ogromne ciężary na to tylko, aby obywatele rzymscy od tych ciężarów mogli być wolni. Właściwa ludność rzymska pędziła życie niemoralne, bez zajęcia i bez korzyści dla państwa, nie poczuwała się do żadnych obowiązków i nie odczuwała nawet przywiązania do tego państwa, które jéj byt tak wygodny zapewniało. Nic dziwnego, że ludność w prowincyach nie sympatyzowała z władzą rzymską i że zwłaszcza klasy uboższe, które najwięcéj cierpiały wśród rozstroju, samowoli

i bezprawi, jakie cechują upadające cesarstwo rzymskie, z pewną zawiścią spoglądały na ludy barbarzyńskie, jeszcze nie zepsute, wśród których wówczas jeszcze panowała przynajmniéj do pewnego stopnia równość praw i obowiązków, od których nawet król wyłączać się nie mógł. Jeżeli pisarz téj miary i tak krytycznie usposobiony jak Tacyt, wpadał tylokrotnie w zachwyt na widok niektórych cech charakteru germańskiego, to nic dziwnego, iż ludność prowincyonalna, zmęczona uciskiem, życzyła sobie w wielu wypadkach zmiany stosunków politycznych,—już choćby dlatego, że zawsze strony ujemne stanu obecnego odczuwamy silniéj, niż to co było dawniéj, lub to, co może przyjść późniéj. I tak widzimy np., że w r. 457 Burgundowie zajmują część Galii w porozumieniu, a może nawet skutkiem zaproszenia mieszkańców. Nie jest to jedyny wypadek uznania dla Germanów; daleko ważniejszym jest np. fakt, iż wyniesienie na tron cesarza Avitus'a nastąpiło ze względu na jego stosunki z Gotami; istotnie Rzym zawdzięczał mu przymierze z Gotami przeciwko Hunnom.

Oczekiwania Rzymian co do Germanów nie zupełnie zostały zawiedzione. Wspomnieliśmy już, że przeważna liczba ludów germańskich uznawała za korzystniejsze zachowywać instytucye rzymskie, niż niszczyć je; jeżeli mimo to bardzo wiele instytucyi rzymskich upadło i romanizm wogóle ustępował z pola, to dla tego że siła cywilizacyi rzymskiéj była wówczas słaba, ale kultura rzymska znalazła w wielu prowincyach zajętych przez Germanów przytułek, a nawet doczekała się nowego rozwoju. Wogóle panowanie barbarzyńców, zwłaszcza po ukończeniu osiedlenia, nie było zbyt dotkliwe; mordy i pożogi zdarzały się jedynie w czasie wojennym, ucisk w życiu codziennem był stanowczo mniejszy, niż w niejednéj prowincyi rzymskiéj, która miała nieszczęście znaléść się w ręku samowolnego i okrutnego prokonsula. Pozostawiano Rzymianom w bardzo wielu wypadkach prawo i sądy własne, język łaciński był w powszechném użyciu, korporacye rzymskie pozostawały niezmienione i t. d. Pod panowaniem bizantyjskiém niejednokrotnie życzono sobie w Italii powrotu Gotów. Mimo to żywioł romański okazuje mało zdolności asymilacyjnych. Chęć zbliżenia się do Germanów, jaką np. napotykamy u Kassyodora, albo u owego Syagriusa, o którym mówi Sidonius Apollinaris (V, 5), iż znał języki barbarzyńskie, oraz prawo burgundzkie, należy do wyjątków.

Co do oddziaływania cywilizacyjnego, to powiedziéć można, iż pomimo, iż kultura rzymska w owych czasach, jak wspominali-

śmy, straciła znaczną część sił i pomimo, iż aryanizm wielu ludów germańskich utrudniał bezwzględne poddanie się wpływowi Rzymian-katolików, jednak cała kultura średniowieczna ludów germańsko-romańskich polega na kulturze rzymskiéj i jest jéj dalszym ciągiem, zastosowanym do nowych, trudniejszych warunków. Podania germańskie nie wspominają o walce z żywiołem rzymskim, o walce z chrześciaństwem zaś bardzo niewiele; dowodzi to niewątpliwie, iż poddawszy się wpływowi rzymskiemu, o tych walkach zapomniano.

Germanie umieli korzystać z przykładów. Plinius (H. nat. VII, 4) wspomina, iż Ubiowie, przeszedłszy na lewy brzeg Renu, rychło poczęli stosować rzymski sposób uprawy roli; prędko pojęli Germanie uprawę wina, oraz jarzyn i owoców, których nazwy rzymskie również przyjęli. Wkrótce i inni Germanie zastosowywali się do rzymskich pojęć agronomicznych, z któremi spotykali się w prowincyach, zwłaszcza w t. zw. *agri decumates*, których urządzenia gospodarcze przeszły do wieków średnich, a wiemy, że niejedno ułatwiało im zbliżenie na tém polu. Cesarz Probus cenił zdolności Germanów w tym względzie i zawierając np. z Alemannami przymierze, zobowiązał ich do dostarczania armii rzymskiéj zboża; w IV w. rolnictwo w Germanii tak się rozwinęło, iż w czasie głodu, który nawiedził Italię, cesarz Honoriusz sprowadzał zboże z Germanii do Rzymu.

Początki uzdolnienia do myślenia abstrakcyjnego i tworzenia pojęć ogólnych zawdzięczają Germanie Rzymowi i Kościołowi; nie jakobyśmy twierdzić chcieli, iż bez téj pomocy Germanie nie byliby wcale wyrobili téj zdolności, ale faktem jest, iż wzrosła ona bezpośrednio pod wpływem rzymskim. Widzimy to na każdym kroku. I tak nazwy dni i miesięcy opierają się na odnośnych pojęciach rzymskich; od Rzymian nauczyli się Germanie używać pieniędzy [1]) i rozumieć pojęcie wartości, od Rzymian téż wzięli pismo. Runy bowiem są niewątpliwie pochodzenia rzymskiego [2]) i nawet ludy północno-germańskie (skandynawskie), które wogóle nie stykały się z Rzymianami, zapożyczyły pismo runiczne u ludów południowo-germańskich. Po runach pojawia się alfabet, ale łaciński.

Po łacinie mówili Germanie, przynajmniej w prowincyi, już za Trajana; przybierają oni téż wcześnie nazwiska łacińskie, co się odnosi zwłaszcza do osób wybitniejszych: brat Hermanna, który sam

---

[1]) Paul l. c. I. 705.

[2]) Tamże I, 24

nosił imię rzymskie, nazywa się Flavus; napisy grobowe, napisy na pierścieniach najczęściéj łacińskie. Język łaciński był rzec można językiem ogólno-germańskim, tak jak swojego czasu język niemiecki nazywano językiem ogólno-słowiańskim. Królowie goccy i wandalscy korespondują z sobą po łacinie; kamień graniczny między posiadłościami gockiemi i wandalskiemi w Sycylii nosił napis łaciński, i naturalnie języki germańskie nie pozostały wolne od naleciałości łacińskich; około 300 słów języka staro-niemieckiego pochodzi z języka łacińskiego [1]).

Sztuka rzymska oddziałała także w sposób odpowiedni na Germanów; dowodzą tego sprzęty i budynki, polegające niemal niewolniczo na wzorach rzymskich: dowodzi tego także usunięcie z poezyi t. zw. *Stabreim*'u, polegającego na aliteracyi i zastąpienie go rymem, co zdaniem filologów [2]) przypisać należy wpływowi rzymskiemu; wprowadzenie pierwiastków chrześciańskich do Eddy jest również wynikiem tego samego wpływu.

I przyjęcie samegoż chrześciaństwa wywołane zostało zetknięciem się z Rzymianami. Rzec można, iż Germanom brakło predyspozycyi do chrześciaństwa. Mściwość, która nakazywała walkę rodową, niechętne poddawanie się jakiemukolwiek ustrojowi, cały wogóle sposób myślenia, utrudniał przyjęcie chrześciaństwa. Ale była to religia Rzymian, i to samo ułatwiało jéj przyjęcie, zwłaszcza że brak ustroju teokratycznego u Germanów czynił ich religijnie dość obojętnymi. Germanie wschodni przyjęli aryanizm, ponieważ za czasów cesarza Valensa na wschodzie ta sekta była rozpowszechniona.

Taktyki wojskowéj rzymskiéj Germanie prawie nigdzie nie przyjęli; widocznie przekonali się, że taktyka rzymska im nie odpowiada i ufali więcéj swéj własnéj; przyjmowali oni wogóle przeważnie tylko to, co uważali za pożyteczne.

Szczególniejszych zmian i wielkiego postępu doznaje ustrój prawny i polityczny Germanów.

Już samo wstrzymanie koczownictwa przez podbicie pewnéj liczby plemion, przez osiedlenie innych, a wreszcie przez poddanie niektórych wpływowi władzy rzymskiéj, jest bardzo ważném. Wielkie znaczenie miał pod tym względem ów *limes*, o którym była mowa, który chroniąc prowincye, powstrzymywał sąsiednie plemiona germańskie od napadów i zmuszał je do życia spokojnego. Ludy za-

1) Paul l. c. I, 309.

2) Tenże II, 902.

czynają się organizować i skupiać, pojęcie państwa rozwija się coraz więcéj i rozwija się przedewszystkiém władza naczelna, królewska.

I w dawniejszych czasach widzimy, że np. taki Marbod, król markomański, przejęty tém, co widział u Rzymian, starał się władzę swą kosztem praw ludu powiększać; późniéj przy sposobności zakładania państw na terytoryum rzymskiém wszyscy królowie germańscy dochodzą do znacznéj potęgi. Wykonywują oni względem Rzymu władzę dawniejszych cesarzy rzymskich, a niebawem zaczynają w ten sam sposób postępować wobec swego ludu. Zmusza ich do tego często konieczność; rozrzucenie ludu na wielkich przestrzeniach utrudnia zwoływanie zgromadzeń ludowych, pomieszanie Germanów z Rzymianami utrudnia zachowanie różnicy prawnéj, nowe zadania państwowe, nieznane dotychczas wśród warunków prostych, w jakich obracał się taki lud germański, każą myśléć o jednolitéj władzy i o nałożeniu nowych obowiązków na członków ludu. Znika wobec tego dawna równość germańska; bliźsi króla dostojnicy mają sposobność zwiększać swój wpływ i potęgę materyalną, nabywają znaczne obszary i zaczynają na wzór rzymskich optymatów wyróżniać się od uboższych klas ludu. Tak jak optymaci wykonywują oni patronat nad uboższymi, którzy popadają w bezpośrednią od bogatszych zależność. Zmienia się także, i to na gorsze, położenie niewolników. U Germanów niewolnik był raczéj współpracownikiem swego pana, bo różnica między panem a sługą była bardzo mała; między wzbogaconym zdobywcą jednak a niewolnikiem, różnica już bardzo wielka i pod tym względem niewolnicy germańscy zbliżają się do rzymskich. Prawda, że z drugiéj strony dzięki interwencyi kościoła los niewolników doznaje złagodzenia.

Nie należy jednak sądzić, jakoby Germanie ze swéj strony nie wywarli żadnego wpływu na Rzymian; wpływ ten był naturalnie bez porównania słabszy, ale jednak widoczny.

Język łaciński w prowincyach, a zwłaszcza w armii przejął się naleciałościami germańskiemi, obecność liczniejszych oddziałów germańskich w armii osłabiła jéj jednolitość i poczucie dynastyczne. Wojsko przyjmuje niektóre zwyczaje germańskie, a niewątpliwie działo się to nietylko w wojsku. Widzimy bowiem w obyczajach rzymskich znaczną różnicę, niemal przełom między III a IV wiekiem; zmienia się poczęści tryb życia, a nawet pożywienia, zwiększa się np. konsumcya mięsa, z drugiéj strony pewne nadużycia wschodnie

(np. pederastya) ustają, podupada jednak ogłada rzymska, ustępując po części miejsca ostrzejszym zwyczajom germańskim [1]).

Zmienia się stan gospodarczy prowincyi i pod tym względem uboższa ludność romańska miała wiele do zawdzięczenia Germanom. Germanie zajmowali się sami uprawą roli, używając mniéj niewolników, niż Rzymianie; gmina germańska była gminą rolniczą, co musiało oddziałać korzystnie na drobną własność ziemską u Rzymian, która dawniéj w znacznéj części ulegała przewadze większéj własności. Ogółem biorąc, klasy niższe zyskały na najściu Germanów, odbiérano bowiem duże majątki optymatom, nie tykając prawie nigdy drobnéj własności. Wielu kolonistom i dzierżawcom, którzy na podstawie bardzo różnorodnych kontraktów posiadali ziemię, udało się zatrzéć rzeczywistą podstawę swych praw, zanadto skomplikowanych i niezrozumiałych dla Germanów; zyskiwali oni pozory własności zupełnéj, a nawet obronę u nowych władzców przeciwko właścicielom rzeczywistym.

VI.

Z natury rzeczy jednak największe zmiany musiały dotyczyć prawa.

Przechodząc ze stosunków znacznie prostszych do życia bardziéj skomplikowanego, obejmując poniekąd cywilizacyjną spuściznę rzymską w prowincyach, które zajęli, musieli Germanie zastosować się także do potrzeb prawnych, które szły ręka w rękę z całym stanem cywilizacyjnym.

Wiadomo, iż prawo nie jest wytworem dowolnym; jest ono częścią ogólnéj sumy pojęć pewnego narodu i pewnego czasu i to częścią łączną; z rozwojem narodu postępuje rozwój prawa, upadkowi narodu towarzyszy upadek jego prawa, tak, że dzieli ono w tym względzie, naturalnie z pewnemi odmianami, losy ogólnego rozkwitu i przekwitu.

Staraliśmy się wykazać, iż Germanie już dawno przed ostatecznem zajęciem prowincyi rzymskich i założeniem swych państw samodzielnych, mieli sposobność zbliżania się do Rzymian i zapoznawania się z nimi; najście Germanów nie było więc faktem nagłym, dokonanym bez przejść i przygotowań, jak np. pierwotny napad Cymbrów i Teutonów, który minął bez skutków.

---

1) Seeck. „Untergang d. antiken Welt", I, 397.

Pomimo to, zmiana była jednak bardzo wielka. Nawet gdybyśmy tym licznym sposobom wzajemnego zbliżania się i tym wszystkim okolicznościom, które omówiono powyżéj, przyznali jaknajwiększe i powszechne dla wszystkich ludów germańskich znaczenie, to przecież między przygotowaniem a dokonaniem zachodzi różnica, któréj lekceważyć nie można. Nawet te ludy, które już oddawna mieszkały w granicach państwa rzymskiego, przechodząc z jednéj prowincyi do drugiéj, w chwili ostatecznego osiedlenia się i objęcia panowania, doznały zmian nader ważnych; był to krok pomimo całego przygotowania decydujący.

Przygotowanie mogło być dostateczne do z r o z u m i e n i a urządzeń rzymskich, nie było jednak i nie mogło być dostateczne do p a n o w a n i a w prowincyach rzymskich, gdzie życie ludności krajowéj było zgoła odrębne i gdzie Germanom przyszło żyć inaczéj niż dotychczas. Stosuje się to zwłaszcza do tych ludów, które osiadłszy sposobem kwaterunkowym, porzuciły tém samém wspólne swe dotychczasowe życie narodowe, a natomiast mieszały się z ludnością krajową, romańską. W tym względzie przygotowanie było bardzo niedostateczne i co chwila Germanie stawali wobec kwestyi prawnych, na które w swych prawach nie mieli odpowiedzi, a na które jednak odpowiedź trzeba było znaléść koniecznie.

Wiemy już, że Germanie bardzo wiele instytucyi rzymskich zachowali, najwidoczniéj dlatego, iż nie mogli ich odrazu zastąpić czém inném. Tak samo nie mogli oni ludności rzymskiéj narzucać swych praw, które im samym już wobec zmiany stosunków nie wystarczały; przeciwnie, musieli oni raczéj u Rzymian szukać sposobu wyjścia z trudnego położenia, w jakiém się znaleźli skutkiem niedostatków swego prawa.

Prawo ich, jak zawsze prawa ludów niedostatecznie rozwiniętych, nie polegało na abstrakcyi, ale zwracało uwagę jedynie na poszczególne wypadki konkretne, zadawalniając się orzeczeniami, które już zgóry ograniczały się do jedynego wypadku; był to więc raczéj szereg wyroków wydanych zgóry dla poszczególnych wypadków. Główném źródłem było uczucie prawne ludu, i z tego to źródła czerpano w danym razie odpowiedź na pytanie prawne. Widzimy np. w prawach ludowych kary za kradzież koni, niewolników, wołów, owiec i t. d., ogólnego pojęcia kradzieży jednak, albo ustanowienia choćby kary ogólnéj za kradzież przedmiotu pewnéj wartości, nie napotykamy; widzimy kary za poszczególne rodzaje ran, przedstawionych drobiazgowo, ale nie ma tam ogólnego pojęcia obrażeń cielesnych, ani żadnéj kategoryi ogólnéj, któraby pozwa-

lała w danym wypadku zastosować karę do rzeczywistéj szkody i winy. Pod tym względem można mówić zaledwie o słabych początkach.

Pierwsze kroki na téj drodze zawdzięczali Germanie Rzymowi i Kościołowi. Zauważyć wypada, że i rozwój prawa skandynawskiego rozpoczyna się dopiéro po wprowadzeniu chrześciaństwa, chociaż pismo runiczne było tam już znacznie przedtém rozwinięte; nie brak więc pisma spowodował u ludów skandynawskich to opóźnienie, ale brak zdolności do myślenia abstrakcyjnego; wyrobiły ją ludy skandynawskie w znacznym stopniu pod wpływem Kościoła i tych pierwiastków rzymskich, któremi się Kościół przejął.

Nad stosunkami prawnemi, cokolwiek skomplikowanéj natury, bez abstrakcyi, zapanować niepodobna; wyobraźnia ludzka bowiem nie potrafi nigdy objąć wszystkiego, co w życiu zajść może; ustawodawstwo więc nie zdoła nigdy przewidziéć wszystkich wypadków szczegółowo, lecz dążyć musi do tego, aby ogólne przepisy ustawowe do każdego wypadku zastosować można. Prawa ludów germańskich nie odpowiadały temu celowi, a tak prędka zmiana stosunków i tak znaczne zwiększenie się zadań, wobec których prawa germańskie stanęły, nie pozwalały nawet pomyśléć o normalnym i samodzielnym rozwoju w tym względzie i zmuszały do zapożyczania pierwiastka abstrakcyjnego u Rzymian.

Nie należy jednak sądzić, aby to zapożyczenie było zupełném. Ludy młodociane nie mogły w zupełności przejąć się sposobem myślenia, który panował w świecie starożytnym. Zapożyczały to, co było nieodzownie konieczne, a więc to, co się odnosiło do nowych przedmiotów, do nowych stosunków prawnych, do form zewnętrznych i urządzeń. Pozostał natomiast rodzimy sposób myślenia i rozwijała się zdolność przyswajania sobie obcych nabytków.

Dzięki téj zdolności asymilacyjnéj przyjmowanie pierwiastków rzymskich, mogło się odbywać bez przewrotów dotkliwych. Samo przez się przechodziło najłatwiéj to, co w umysłach germańskich znajdowało już pewną podstawę; o taką podstawę można było zaczepić nawet wtedy, jeżeli różnica między odnośnemi pojęciami rzymskiemi a germańskiemi była bardzo wielka; łatwiéj jeszcze przychodziło to wtedy, gdy różnica była tylko formalną, t. j. gdy myśl podobna istniała już i u Germanów, a tylko wyrażenie jéj było odmienne, mniéj doskonałe, tak, że Germanie wkrótce przyswajali sobie formę rzymską, jako więcéj odpowiednią nowym stosunkom; najtrudniéj było w tych wypadkach, w których między prawem rzymskiém a germańskiém nie było żadnéj analogii, tak, że nie cho-

dziło już o przezwyciężenie różnicy formalnéj, albo nawet istotnéj, ale wprost o wprowadzenie nowego pojęcia, nieobjętego dotąd wcale widnokręgiem umysłowym Germanów. W takich wypadkach nastąpić musiało albo zupełne odrzucenie odnośnéj inowacyi, — albo też, jeżeli ona była nieodzowną, przyjęcie jéj bez zmian.

Widzimy więc, że zetknięcie się Germanów i Rzymian na polu prawa mogło być trojakiém: mogły się zderzyć idee rzymskie i germańskie, zgodne co do istoty rzeczy, a różne tylko co do formy, przyczém przyjęcie formy rzymskiéj nie miało naturalnie znaczenia zasadniczego; mogły się zderzyć idee rzymskie i germańskie różne już co do swéj istoty, ale jednak takie, że były wzajemnie zrozumiałe, przyczém okoliczności i warunki miejscowe decydowały o zwycięstwie jednych lub drugich; mogły wreszcie zetknąć się idee rzymskie i germańskie, tak różne odnośnie do pewnego działu prawa, iż obustronne zrozumienie się było zupełnie wykluczone, bo w widnokręgu umysłowym nie było po prostu miejsca dla czegoś podobnego i przystosowanie do reszty pojęć było zgoła niemożebne. Jeżeli konieczność tego wymagała, przyjmowano wreszcie taką myśl obcą, choćby z pogwałceniem całego składu reszty myśli, ale przyjmowano ją bez należytego przetrawienia i pozostawała ona przez długi czas jako coś w rodzaju ciała obcego w organizmie prawnym.

Musimy tu poprzestać na téj charakterystyce ogólnikowéj; rozumie się, że prawo każdego ludu germańskiego i prawo rzymskie w poszczególnych prowincyach, przez Germanów zajętych, przechodziły w tym względzie różne koleje. Decydującemi były: stopień romanizacyi danéj prowincyi, stopień, w jakim podkład rodzimy, np. celtycki w Galii, lub iberyjski w Hiszpanii, jeszcze się był utrzymał, a wreszcie siła żywiołu germańskiego, który tę prowincyę opanował.

Widzimy więc, iż, uznając najzupełniéj ważność prawa rzymskiego dla rozwoju prawnego tych ludów, należy jednak zaznaczyć, iż nie może być mowy o niewolniczém naśladownictwie, lecz tylko o szczególnego rodzaju kombinacyi pierwiastków germańskiego z rzymskim, a ewentualnie i krajowym danéj prowincyi.

Zmysł prawny ludów germańskich został nadzwyczaj silnie pobudzonym przez wrażenie, jakie prawo rzymskie wywarło. Germanie odrazu musieli sobie zdać sprawę z tego, iż ich prawo rodzime w tém nowém położeniu nie wystarcza; zatrzymując znaczną część urządzeń rzymskich, poddali się ich wpływowi i nadzwyczajny rozkwit praw germańskich był wynikiem tych stosunków. W rzad-

kich jednak tylko wypadkach kopiowano prawo rzymskie ślepo, najczęściéj rozwijano swe własne prawo pod wpływem rzymskiego, korzystając z sił ożywczych, w tém ostatniém zawartych, a nie porzucając własnych pierwiastków dodatnich.

Nie można więc żadną miarą stawiać pytania, czy Germanie w prowincyach zostali zromanizowanymi, lub Rzymianie zgermanizowanymi; nie nastąpiło ani jedno, ani drugie, lecz powstało coś nowego, w czém jeden i drugi żywioł odgrywał należytą rolę.

Ta pierwsza recepcya prawa rzymskiego, która się dokonała u wstępu do wieków średnich, różni się zupełnie od téj, która przy końcu wieków średnich niszczy liczne działy prawa niemieckiego, zastępując je prawem rzymskiém często bez potrzeby. Tu mamy do czynienia z ożywczém działaniem prawa rzymskiego, a jego promienie ciepłe i jasne przyśpieszają rozwój, któryby w innych warunrunkach potrzebował długich wieków; w końcu wieków średnich zaś mamy do czynienia z zabójczém działaniem tegoż prawa, które samo już tylko pogrobowém żyjąc życiem, teoretyzując na niekorzyść tego, co mniéj doskonałe, ale żywotne, niszczy niejeden dobry zawiązek.

Dlatego téż ta pierwsza recepcya dokonała się spokojnie i bez złych skutków; nie wzbudzała zaburzeń, ani opozycyi i przedstawia się tak pokojowo, iż nawet często trudno jéj przebieg skontrolować. Odnosimy wrażenie, iż w chwili najwłaściwszéj, jak aktorowie na scenie, pojawiają się idee prawne rzymskie, zapełniając luki, których poprzednio Germanie nie odczuwali wcale i uzupełniając tym sposobem ich systemy prawne.

Germanie z swéj strony nie żywią żadnéj niechęci do prawa rzymskiego, tak jak wogóle wszelka zasadnicza niechęć narodowa jest im w tych czasach obcą. Ich systemy prawne przyjmują gościnnie inowacye, których potrzebują i które mogą przetrawić, a bronią się niejednokrotnie przeciw innym, których przyjęcie jest zrazu niemożebne, tak, że następuje dopiéro skutkiem nacisku zgóry, lub skutkiem coraz silniéj występującéj konieczności. Prawo prawdziwie żywotne nie jest nigdy zamkniętém, nie krępuje się żadnemi względami, prócz względów na moralne i materyalne wymagania społeczeństwa i państwa. W szczególności względy teoretyczne nie mogą mieć znaczenia zasadniczego; okoliczność, iż jakaś inowacya potrzebna nie zgadza się z systemem, nic nie znaczy wobec wymagań życia.

I my dziś jesteśmy niejednokrotnie w tém położeniu; rozwój życia nowoczesnego zwiększył niepomiernie liczbę dóbr prawnych

i sposobów ich używania; to wszystko wymaga zabezpieczenia prawnego, a najczęściéj nie znajduje go w prawie dotychczasowém; musimy więc tworzyć prawo nowe i bardzo często nawet nie możemy w tym względzie oprzéć się na podstawach dawniejszych. Pomimo to nie mamy ani na na chwilę uczucia, jakobyśmy podkopywali system naszego prawa i w inowacyach tych nie dopatrujemy się burzenia, ale rozwoju. Niezawodnie téż użylibyśmy chętnie dla zabezpieczenia tych nowych stosunków prawnych wzorów wypróbowanych, gdyby to było możebne. Germanie, wstępując w nową epokę życia historycznego, zwiększając skutkiem tego liczbę dóbr prawnych i sposobów ich używania, poznając wartość rzeczy, które dotychczas były dla nich bez wartości (np. własność ziemska), znajdowali się w lepszém od nas położeniu, mogli bowiem dla zadośćuczynienia odnośnym swym potrzebom użyć wzorów rzymskich, których mieli podostatkiem i na téj podstawie budować daléj.

Zważyć téż wypada, iż przedmiotem téj recepcyi nie było prawo rzymskie czyste, teoretyczne, które już wówczas niejednokrotnie nie odpowiadało rzeczywistości, ale prawo prowincyonalne, a więc zniżone i zastosowane praktycznie do potrzeb danego kraju. Różnica więc między prawem rzymskiém w prowincyach, a germańskiém, bywała najczęściéj praktycznie ważną i polegała na różnicy między stosunkami, w jakich Germanie dotychczas żyli, a stosunkami, jakie panowały w prowincyi. Wchodząc w te nowe stosunki, przyjmowali Germanie zarazem to, co w tych stosunkach uchodziło za praktyczne i głównie dlatego, że było praktyczne. Jeżeli tu i owdzie z uszanowania dla instytucyi rzymskich przyjęto coś, co danym stosunkom już nie odpowiadało, to niebawem porzucano tak niewygodny nabytek, albo téż przechowując dawną rzymską formę zmieniano jéj treść.

Przy końcu wieków średnich dla recepcyi prawa rzymskiego decydującym był fakt, iż coś było rzymskiém i było objęte glosowanym zbiorem praw Justyniana, przy pierwszéj zaś recepcyi decydującą była potrzeba i praktyczność.

Przetrawienie i systematyczne przyjęcie nowych nabytków mogło tu więc nastąpić daleko łatwiéj, niż przy owéj recepcyi późniejszéj, która tyle smutnych pozostawiła wspomnień. A nawet, jeżeli tu i owdzie przyjęto coś, co i nadal uważano za obce, to mimo to rozwój prawa nie doznawał trwałych przeszkód. Współdziałanie dwóch prądów sprzecznych nie jest bynajmniéj zjawiskiem nadzwyczajném i niekoniecznie wywołuje kataklizmy. Widzimy np. że wszystkie ludy germańskie co do prawa małżeńskiego poddają się

wpływowi Kościoła, a więc zmieniają część swego systemu prawnego radykalnie, stosownie do rozwoju potrzeb moralnych, jaki towarzyszył przyjęciu chrześciaństwa, gdy w innych częściach pozostaje wiele z stanu dawnego; widzimy daléj, iż wiele postanowień soborów kościelnych przechodzi do praw germańskich, narusza ich jednolitość, a mimo to nie wywołuje zaburzeń. Tak samo wiele postanowień prawa rzymskiego weszło do systemów praw germańskich, przez co pierwotna jednolitość naturalnie doznała zmiany, rozwój jednak sam przez się nie został zakłóconym, lecz przeciwnie podnieconym w sposób niebywały, wzbogaconym nowemi pierwiastkami, tak pożytecznemi ze względu na nowe stosunki. Współdziałanie dwóch prądów sprzecznych w społeczeństwach i państwach zwłaszcza średniowiecznych, jest rzeczą dość zwykłą; istnieją one obok siebie i oddziaływają na siebie wzajemnie.

Skutkiem zetknięcia się z prawem rzymskiém nastąpiło nietylko przeistoczenie praw germańskich co do treści, ale i co do formy, mianowicie nastąpiło spisanie ich.

Spisanie prawa staje się możliwém dopiéro wtedy, gdy między prawem, a obyczajem i religią przedział jest widoczny. Dopóki prawo stanowi nieodłączną część pojęć obyczajowych i religijnych, dopóty o spisywaniu, a wogóle o wyodrębnieniu go nie może być mowy. Postęp cywilizacyjny z jednéj, a przyjęcie chrześciaństwa z drugiéj strony, przyczyniły się do tego, że Germanie zaczęli sobie zdawać sprawę z różnicy, która zachodzi między dziedziną prawa, a dziedziną religii i moralności; wówczas to prawo stanęło jako całość odrębna.

Konieczność spisania wywołaną została całym szeregiem ważnych przyczyn. Germanie rozrzuceni wśród ludności romańskiéj tracili ciągłość swych tradycyi i poczucia prawnego, które stanowiło dotychczas jedyne źródło prawotwórcze a zarazem jedyne źródło informacyjne. Prócz tego, zamiast sądownictwa ludowego na wiecach sądowych, występuje sądownictwo urzędników królewskich, którym spisy prawa są koniecznie potrzebne, tém więcéj, że niejednokrotnie chodzi o spory między Germanami a Rzymianami, a więc o kolizyę praw. Samo prawo ludowe staje się prawem państwowém w pełném tego słowa znaczeniu i nie może już polegać na ustnéj tradycyi, która z natury swéj jest zawsze chwiejna. Spisanie prawa odpowiadało więc konieczności, a celem jego było zaopatrzenie sędziów w przepisy potrzebne przy sprawowaniu urzędu, oraz zapobieganie wątpliwościom i trudnościom, które powstawać musia-

ły wobec nowych stosunków i wobec kolizyi codziennych, między Germanami a Rzymianami. Mylném byłoby mniemać, iż przy spisywaniu prawa Germanom chodziło o zachowanie swego rodzimego prawa; o tak patryotycznéj myśli nie mogło wówczas być mowy, a łatwość, z jaką Germanie poddawali się wpływowi prawa rzymskiego, oraz użycie języka łacińskiego, dowodzą tego dostatecznie. Ważném jest również, iż spisywanie prawa następowało niemal bez wyjątku na rozkaz królów i miało najczęściéj cechę kodyfikacyjną; obok prawa dawnego zamieszczano dużo innowacyi.

Wiemy dobrze, jak trudno o należytą redakcyę prawa nawet dziś, gdy technika nasza w tym względzie posunęła się dość daleko. O ileż trudniéj przychodziło to Germanom. Brakło im wzorów swojskich. To co przejmowali od Rzymian łatwo było ująć w formę odpowiednią, ale dla prawa własnego brakowało takiéj formy zupełnie. Dlatego téż księgi praw ludowych nie dają dokładnego pojęcia ani o stanie prawa i o głębokości poczucia prawnego, ani o zdolności prawotwórczéj i asymilacyjnéj. Mamy tu do czynienia z bezpośredniemi odbiciami stanu prawnego, jakim się on przedstawiał w danéj chwili, przy dość pospieszném spisaniu i bardzo niedostatecznéj obserwacyi; samo odbicie naturalnie również niedostateczne; zamiast obrazu, po mistrzowsku oddającego najważniejsze rysy i wnikającego w głębię duszy, mamy lichą fotografię, zdjętą nie zawsze w chwili korzystnéj, a zawsze złym aparatem i bez starań należytych.

Droga od myśli aż do jéj wyrażenia jest zawsze długa i trudna, zwłaszcza gdy do wyrażenia używa się języka obcego, jak w tym wypadku łacińskiego; mimowoli niejedno musiało przybrać postać rzymską.

Stopień romanizacyi prawa ludowego trudno więc oznaczyć; ze względu na okoliczności powyżéj przytoczone zachodzi często obawa przesady w jednym lub drugim kierunku. Zauważyć téż wypada, iż dowodów romanizacyi szukać należy nie tylko tam, gdzie widoczne jest oparcie się na instytucyach rzymskich, ale w równym stopniu i tam, gdzie cały skład myśli kazałby się nam spodziewać czegoś od prawa rzymskiego zgoła różnego, mianowicie czegoś czysto-germańskiego, a gdzie zamiast tego spotykamy próżnię. Tak więc nie tylko wyraźne przyjęcie pierwiastku rzymskiego, ale także przemilczenie pierwiastku germańskiego dowodzić może romanizacyi; milczenie jest czasem bardzo wymowne.

Licząc się z wadliwą techniką redakcyjną, oraz z okolicznością, iż Germanie posługiwali się językiem Rzymian, należy wy-

strzegać się przesady także w drugim kierunku; niejedno, co brzmi zupełnie po rzymsku, w istocie rzymskiém nie było, albo téż w praktyce zupełnie nie było zastosowywaném. Tym sposobem wytłomaczyć sobie można fakt, iż w czasach późniejszych, gdy wpływ rzymski już ustał, np. w X i XI w. występują objawy, przypominające czasy staro-germańskie. Objawy te dowodzą, iż przyćmione, ale niezatarte bezpośrednim wpływem rzymskim idee germańskie przetrwały wśród groźnych dla nich okoliczności, utrudniały zapewne dzieło romanizacyi i wypływały później, gdy znikło światło, w którego blasku przez czas długi gasły.

Prototypem téj zdrowéj recepcyi prawa rzymskiego, tego wzajemnego przenikania się żywiołów rzymskiego i germańskiego, był rozwôj prawa frankońskiego. Przyjęto w niém niemal wszystko, co w prawie rzymskiém było jeszcze żywotne i dodatnie, skorzystano z wszystkich wpływów, które wywoływały ożywienie myśli prawnéj i pobudzały ją do szybszego życia, stworzono — naturalnie bezwiednie—system, który zachowując zdrowe pierwiastki germańskie, dał im ogładę i giętkość instytucyi rzymskich i w części przynajmniéj ich teoretyczną doskonałość. Prawo frankońskie służyło za wzór dla wszystkich niemal ludów niemieckich, usuwając nadmierną romanizacyę jednych, udzielając pierwiastków rzymskich drugim. Nie możemy tu zajmować się szczegółowo wyliczaniem wszystkiego, co w prawie średniowieczném polega na prawie rzymskiém. Powiemy tylko, że np. swoboda miejska i wyróżnienie miast polega na zasadzie terytoryalnéj, na mocy któréj pewne prawa obowiązują wszystkich mieszkańców pewnego terytoryum; miasta w ogóle w romanizacyi odgrywały znaczną rolę, gdyż wśród mieszkańców miejskich znajdował król germański zasady monarchiczne i poddanie się władzy naczelnéj, a więc podporę swéj potęgi. Także zasada immunitetu, na mocy któréj pewne miejscowości korzystały z praw wyjątkowych, polega na podstawie rzymskiéj, a również organizacya skarbowa i administracyjna. Bardzo często napotykamy wpływ rzymski w procesie sądowym, w ustroju sądownictwa i t. d. naturalnie w różnym stopniu, począwszy od zupełnie zromanizowanego sądownictwa i procesu Gotów wschodnich aż do umiarkowańszego w tym względzie sądownictwa frankońskiego.

Rozwój ten ważnym jest jednak nietylko dla praw germańskich, ale także i dla prawa rzymskiego.

Wiemy, że Germanie w ostatnich dwóch wiekach oddziaływali do pewnego stopnia na stan kultury rzymskiéj. Teraz w państwach, które założyli w prowincyach rzymskich, musieli jeszcze silniéj dzia-

łać na podległą im ludność romańską i działanie to odbijało się także w dziedzinie prawa. W miarę tego jak klasy wyższe, reprezentujące kulturę i prawo rzymskie w pełném znaczeniu, znikały, a klasy niższe, które od początku panowaniu Germanów sprzyjały, pozostawały — obok kleru — jedynymi reprezentantami przeszłości rzymskiéj, poziom prawa rzymskiego obniżał się jeszcze więcéj i w wielu względach Romanie zaczęli przyjmować pojęcia prawne germańskie; wystarczy przytoczyć w tym względzie przyjęcie walki rodowéj i zemsty prywatnéj przez ludność romańską w wielu okolicach.

Niesłusznem jest więc zapatrywanie niektórych historyków francuskich, jakoby Germanie nie dali byli światu średniowiecznemu nic nowego. Inne pytanie, czy to, co dali, było dodatnie, czy ujemne. Że wnieśli wiele ujemnego, to nie ulega wątpliwości, ale i to pewne, że nie oni sami spowodowali upadek kultury rzymskiéj i że nawet nie o wiele ten upadek przyspieszyli. Przeciwnie wśród upadku skorzystali jeszcze z niektórych pozostałości, których użyć było można i zapewnili tym pozostałościom, które przyjęli, trwałe znaczenie. Nie można Germanom zarzucać, iż to, co wnieśli nie było dostateczne do rekonstrukcyi cywilizacyi i prawa rzymskiego, boć nie takie było ich zadanie i nie na to rasy i ludy występują kolejno w historyi, aby ślepo zachowywać to, co ludy upadające wytworzyły i czego te ludy same już utrzymać nie mogły. Należy raczéj zauważyć, iż bez Germanów i ta częściowa rekonstrukcya cywilizacyi i prawa rzymskiego nie byłaby nastąpiła i w tém właśnie ogromna różnica między ludami germańskiemi, a np. takimi Hunnami.

Wnieśli téż Germanie nowy i ludom starożytnym nieznany pierwiastek indywidualizmu, z którego kiedyś miało wyrość pojęcie praw człowieka; skombinowali ten pierwiastek z pojęciem władzy i praw państwa, które poznali u Rzymian i stworzyli tym sposobem podstawę pojęcia państwa nowożytnego. Wnieśli pojęcie obowiązków społecznych, nadając im do pewnego stopnia charakter obowiązków prawnych, a nie należy téż lekceważyć ich zdolności przyswajania sobie tego, co w cywilizacyi i prawie starożytnem było dobrego, oraz zdolności kombinowania tego wszystkiego z skarbami chrześcijaństwa. Cywilizacya rzymska straciła była zdolność dalszego rozwijania się samodzielnego; prawo rzymskie już się zasklepiało. Chrześciaństwo nie mogło elektryzować skutecznie tworów martwych. Germanie schwycili z obumierającéj cywilizacyi i z stygnącego prawa rzymskiego to, czego im brakowało, przetrawili te

nabytki, przejęli je do swych systemów i stworzyli mniéj doskonałe, ale żywe ciało, w którém cyrkulacya soków była możliwą i które mogło się pod wpływem chrześciaństwa należycie rozwijać.

Przyjmując instytucye rzymskie zmieniano jednak ich treść w sposób nieraz bardzo ciekawy. U Rzymian zapożyczyli Germanie pojęcie państwa i godności cesarskiéj, a jednak nie potrzeba dowodzić, o ile państwo i cesarstwo frankońskie, a potém niemieckie różniły się od wzorów rzymskich. Zatrzymywano wiele urzędów rzymskich, co jednak nie przeszkadzało, iż działalność tych urzędów była czysto germańską. Stosunek beneficyalny, podstawa feudalizmu, opiéra się niezawodnie na długowiecznych dzierżawach emfiteutycznych rzymskich, ale związany z wasalstwem i moralnym obowiązkiem wierności, łącząc obok tego charakter stosunku prawno-prywatnego i prawno-publicznego, zmienił się do niepoznania. Podatki rzymskie w Francyi południowéj zamieniły się w prawno-prywatne renty i ciężary gruntowe, własność rzymska nabrała charakteru politycznego, dając właścicielowi ziemskiemu wyższość nad mieszkańcami na jego ziemi osiedlonymi, niewolnictwo rzymskie wreszcie, przyjęte formalnie w miejsce łagodniejszego germańskiego stosunku pana do sługi, zmieniło także swój charakter, przetwarzając się w poddaństwo pańszczyźniane.

Koronacya Karola Wielkiego na cesarza rzymskiego stanowi zakończenie ostateczne téj pierwszéj recepcyi. Przejmując pojęcie wszechwładnego cesarstwa przejęto ostatni istniejący kamień budowy państwowéj i prawnéj rzymskiéj; nic już więcéj do przejęcia nie pozostawało. Fakt zaś, że przyswojono sobie najwyższą godność rzymską dowodzi, iż zlanie się pierwiastku germańskiego z rzymskim, o ile wogóle było możebne, zostało dokonaném.

Z okresu przejściowego i przygotowawczego ludy germańskie przechodzą w okres rozwoju na podstawie samowiedzy, romanizm jako czynnk zupełnie samodzielny istniéć przestaje.

Alfred Halban.



BIOGRAFIA PSYCHOLOGICZNA

SŁOWACKIEGO.

Ferdynand Hösick. „Juliusz Słowacki, 1809—1849.“ Biografia psychologiczna. Kraków i Warszawa, 1897. Tom pierwszy, str. XII i 428; tom drugi, str. 318; tom trzeci, str. 417.

Od roku 1881, w którym ukazało się w drugiém, pomnożoném wydaniu dzieło profesora Małeckiego p. t. „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnéj epoki”, — jedna z najznakomitszych u nas monografii historyczno-literackich, — materyały do biografii Słowackiego rosły z roku na rok; zbierali je skrzętnie lub opracowywali Biegeleisen, Méyet i wielu innych, nikt jednak nie wziął się do téj pracy z taką miłością, zapałem i gorliwością, jak p. Hösick, który od lat już kilku ogłaszał w przeróżnych czasopismach swe badania nad życiem Słowackiego; część ich wydał w roku 1895-ym w książce p. t. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu. Studya historyczno-literackie”, świéżo zaś wydał dzieło o imponujących rozmiarach, stanowiące owoc kilkoletniéj pracy, a zawierające w sobie całokształt biografii wielkiego poety. Ani jeden z poetów naszych — nie wyłączając Mickiewicza — nie ma dotychczas w literaturze naukowéj tak szczegółowego i wyczerpującego życiorysu.

I.

Trzytomowe dzieło p. Hösicka składa się z siedmiu ksiąg. Pierwsza obejmuje „Krzemieniec i Wilno, 1809—1829”, druga—lata, spędzone „W Warszawie, 1829—1831”, trzecia—„Początki emigracyi, 1831—1832”, czwarta— pobyt „W Szwajcaryi, 1833—1836”, piąta — „Wanderjahre, 1836—1838”, szósta — obraz „Pełni twórczości i życia, 1839—1842”, siódma—„Mistycyzm, 1842—1849”.

Przyjrzyjmy się bardziéj szczegółowo, co każda z tych ksiąg w sobie zawiera, co zwłaszcza przynosi nam nowego w porównaniu z biografią Małeckiego.

Pierwszym latom życia aż do wyjazdu do Warszawy, opowiedzianym przez Małeckiego w jednym rozdziale (str. 1—32), poświęca p. Hösick całą pierwszą księgę (str. 1 — 220). Nowych ważnych faktów, któreby rzucały na młodość poety światło odmienne od tego, w jakiém przedstawił je Małecki, w téj księdze nie ma; są natomiast bardzo liczne drobne szczegóły, które pozwalają postać Słowackiego wycieniować subtelniéj i dokładniéj. Nadto p. Hösick roztacza przed czytelnikiem szczegółowy i barwny obraz otoczenia, w jakiém obracał się Słowacki w Krzemieńcu i w Wilnie, tak że wiemy dokładnie, pod jakiemi to wpływami rozwijał się jego umysł. Tak np. zaraz na początku dzieła mamy obraz Krzemieńca, jako rodzinnego miejsca poety, daléj — charakterystykę gimnazyum wileńskiego, uniwersytetu i t. d. Ludzie, którzy Słowackiego uczyli, ludzie, z którymi Słowacki żył, przyjaźnił się lub nawet przelotną zawarł znajomość; przedmioty szkolne i uniwersyteckie, jakich się uczył; stosunki z najbliższą i dalszą rodziną, pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość; zabawy, sztuki teatralne, na które Słowacki uczęszczał (lub na które mógł uczęszczać); marzenia młodości, poetyczne plany na przyszłość, — wszystko to opisuje autor w sposób bardzo szczegółowy.

Charakterystyka rodziców Słowackiego jest bardzo dobra i trafna. Okazuje się, że po ojcu odziedziczył poeta nietylko żyłkę poetyczną, lecz i smutek, który „od powicia był towarzyszem” profesora Euzebiusza Słowackiego, a do tego jakiś pesymizm względem świata i ludzi, zgryźliwość charakteru, wreszcie zaś... skłonność do suchot. Więcéj jednak, aniżeli w ojca, wrodził się Słowacki w matkę; odziedziczył po niéj jedną z zasadniczych cech swego charakteru — marzycielstwo, które, podsycane jeszcze sposobem wychowa-

wania, miało stać się w przyszłości główną przyczyną jego cierpień i zawodów.

Surową, lecz, o ile sądzić można, prawdziwą jest charakterystyka ojczyma Słowackiego, doktora Augusta Bécu: „pod wykwintnemi pozorami kryła się marna dusza, pospolity charakter, a raczéj brak charakteru, co jeszcze za jedyną można uważać okoliczność łagodzącą, skoro nadejdzie czas wydać swój sąd o postępowaniu doktora Bécu.” Próżniak, sybaryta, lubiący opuszczać prelekcye uniwersyteckie, nad których opracowywaniem nie przysiadywał fałdów, wślizgujący się w łaski każdego, kto tylko zajmował wybitne stanowisko, albo posiadał tytuł hrabiowski lub książęcy, bez względu na to, „czém kto był, Polakiem, Francuzem czy Niemcem, żydem czy katolikiem”, był nadto profesor Bécu, „jako Polak, zerem, a dla takiego zera, aby się stać minusem *il n'y a qu'un pas*”. Wobec tego śmiało można powiedziéć, że światło, w którém wystawili go Lelewel i Mickiewicz, jest prawdziwe, chociaż p. Hösick jest zdania, że ich wyrok był „za ostry”.

Na lata uniwersyteckie (1825 — 1828) przypada miłość Słowackiego do panny Ludwiki Śniadeckiéj, miłość, która, według słów poety, „pierwszą i ostatnią była — i najsilniejsza z uczuć...” Małecki powiada o tém uczuciu, że Słowacki „rozgorzał całą namiętnością rozkochanego po raz pierwszy młodzieńca”, zdaje się więc mniemać, że pierwsza jego miłość była istotnie bardzo głęboka; Chmielowski w swym zarysie „Kobiéty Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego” nie wypowiada swego poglądu na jéj rodzaj i charakter. P. Hösick szczegółowo zastanawia się nad tą kwestyą. Podawszy udatną charakterystykę panny Śniadeckiéj, stara się wyjaśnić przyczyny, dla których Słowacki zapłonął ku niéj miłością; główną przyczyną było poprostu to, że poeta był głęboko przekonany, iż, póki się nie zakocha, póty prawdziwym poetą nie będzie. „W Słowackim—powiada autor — jak późniéj, tak i teraz, z mężczyzną szedł zawsze w parze poeta; nawiasem mówiąc, brał ten ostatni bardzo często górę nad pierwszym. Podobnie miała się rzecz i z tą „pierwszą i ostatnią” miłością. Jako młody bajronista-romantyk, nie czuł się nim Słowacki w zupełności, dopóki nie miał „kochanki”; kochanka bowiem, „dziewica-anioł”, była warunkiem *sine qua non*, jeżeli ktoś rościł sobie pretensye do tytułu romantyka-bajronisty. Skoro się raz postanowiło naśladować bohatérów Byrona, trzeba było koniecznie i przedewszystkiém zakochać się, o ile możności bez nadziei; bo miłość romantyczna, tak pojęta, jak ją pojmował Byron, nie powinna być sielanką, lecz tragedyą: tylko taka miłość jest poetyczną. O to,

zaś, żeby być poetycznym, chodziło romantykom najbardziéj. Szczęściem w miłości, wzajemnością, gardzili; uważali bowiem, że szczęście jest prozaiczném. Poetycznym był Werther, poetycznym był Gustaw w „Dziadach" Mickiewicza, poetycznym był René Chateaubrianda, poetycznym był Manfred Byrona; chcąc być poetycznym, jak oni, należało kochać się, jak oni, nieszczęśliwie: albo w kobiétach zamężnych, wiernych swoim mężom; albo w rodzonych siostrach, które kochać miłością nie-braterską jest grzechem; albo w cudzéj narzeczonéj, jak Mickiewicz; albo w kobiécie z wyższéj sfery, w hrabiance lub księżniczce, jeżeli się samemu było zwykłym szlachcicem, lub, jak Ludwik Spitznagel, nie-szlachcicem; tylko taką miłością wolno było się kochać poecie. Tylko z takiéj miłości może się zrodzić Werther, tylko taka miłość może natchnąć do napisania „Dziadów". Z podobnego wychodząc założenia, postanowił i Słowacki, który tak dbał o to, ażeby miéć „poetyczne życie", zakochać się; bez tego nie mógł życia swego nazwać „poetycznem". Słowa te doskonale charakteryzują i rodzaj „pierwszéj i ostatniéj" miłości i samego poetę; wszędzie i zawsze fantazya górowała u niego nad refleksyą i uczuciami, ona téż grała najważniejszą rolę w tém uczuciu. Słuszny wniosek ze swych słów wyprowadza p. Hösick, mówiąc, że „pierwsza miłość Słowackiego nie była miłością prawdziwą, rzetelną, z serca płynącą, ale miłością młodego poety, miłością wmówioną, istniejącą w wyobraźni." A do tego możnaby jeszcze dodać (na co p. Hösick zapewne nie zgodziłby się), że po części i późniejsze miłości Słowackiego miały, mniéj lub więcéj, ten sam charakter i z tegoż płynęły źródła, t. j. nie tyle z serca, ile z fantazyi.

Jeszcze jeden szczegół z księgi pierwszéj, wymownie świadczący, jak wielka była w młodym poecie przewaga fantazyi nad innemi władzami ducha. W dzieciństwie był Słowacki bardzo pobożnym, Bogu polecał wszystkie potrzeby swego serca, błagając Go o to przedewszystkiém, „żeby mu dał życie poetyczne, choćby zresztą najnędzniejsze,—żeby był pogardzony przez cały wiek swój, — i tylko żeby mu za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci." Lecz przedwczesny rozwój umysłu i fantazyi sprawił, że wcześnie, bo już w roku 1827 „zaczynał tracić wiarę", jak powiada w swym pamiętniku. Nie ulega jednak wątpliwości, że i tu wchodziły w grę nie tyle przekonania, wyrobione drogą systematycznych rozmyślań nad sprawami religijnemi (bo do tych Słowacki chyba nie był zdolny), ile ta sama fantazya, która kazała mu się zakochać. Młodzieńcowi imponowała myśl, że, „tracąc wiarę", będzie większy, mędrszy od

przeciętnego ogółu, o co mu zawsze chodziło. A późniéj pod wpływem li tylko fantazyi zerwał przymierze z Bogiem, które, jak powiada, zawarł w roku 1817-ym w kościele katedralnym, modląc się o nieśmiertelną sławę, i zawarł „przymierze z szatanem”, a „zły duch pochwycił jego przymierze.” Ma zupełną słuszność p. Hösick, twierdząc, że wszystko to było wybrykiem nieokiełznanéj imaginacyi poetycznéj, którego na seryo brać niepodobna.

W lutym 1829-go roku wyjechał Słowacki—na życzenie matki, która pragnęła, aby jéj syn zaczął sam na siebie pracować — do Warszawy i bawił tu aż do marca roku 1831. Tutaj znów mamy obszerną charakterystykę ówczesnego życia warszawskiego—towarzyskiego i literackiego, dowiadujemy się, z kim miał Słowacki stosunki i t. d. Jego stan psychiczny — zniechęcenie nudną i suchą pracą biurową w kancelaryi księcia Lubeckiego, jego tęsknota, marzenia i rojenia znalazły w książce p. Hösicka należyte uwzględnienie. Kiedy przyszła rewolucya, Słowacki napisal kilka pieśni patryotycznnych, poczém nagle — dnia 8 marca 1831 roku — wyjechał zagranicę. To stanowi treść księgi drugiéj.

W księdze trzeciéj widzimy Słowackiego we Wrocławiu, Dreźnie, Londynie i Paryżu. Wyrzuty sumienia z powodu wyjazdu z kraju głuszył w sobie Słowacki, szukając różnych wrażeń. W Dreźnie np. igrał z uczuciem córki swéj gospodyni, młodéj Saksonki, któréj „naiwność” podobała mu się. Takim Słowacki był zawsze,— zawsze lubił „kruszyć serca i patrzéć, jak cierpią.” Coś podobnego powtórzy się niedługo w Paryżu. Ale przedtém jeszcze wyjechał poeta do Londynu; prof. Małecki nie umiał powiedziéć dokładnie, z jakiéj przyczyny to nastąpiło, wiedział tylko, że Słowacki miał doręczyć komuś „listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznéj.” P. Hösick wyjaśnia tę kwestyę bliżéj: Słowackiemu polecono doręczyć listy dyplomatyczne generałowi Grouchy.

Opuściwszy Londyn we wrześniu roku 1831, skazał się Słowacki na dobrowolną emigracyę i osiadł w Paryżu. Szkoda, że autor skreślił stosunki emigracyjne nie tak obszernie i wszechstronnie, jak — w poprzednich księgach — stosunki wileńskie i warszawskie; bądź co bądź, charakterystycznych rysów emigracyi nie braknie. Udział Słowackiego w życiu emigracyjném, jego stosunek do różnych stowarzyszeń, jak np. do „Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich”, lub do „Towarzystwa Demokratycznego”, wyjaśnił p. Hösick ze wszelkiemi szczegółami. Równie szczegółowo opowiada o przykrych stosunkach Słowackiego z Mickiewiczem. Wiadomo, że Słowacki miał do Mickiewicza — przez swą próżność, a po czę-

ści, nazywając rzeczy po imieniu, przez zazdrość — głęboką niechęć, któréj ukryć nie potrafił; wprost niesmaczne są niektóre wyrażenia w jego listach, jak to np., że „Mickiewicz na portrecie do bociana podobny", albo że „po liderlichowsku wygląda"; bez żadnego taktu i delikatności postąpił sobie Słowacki, przypominając Mickiewiczowi na uczcie, wydanéj dnia 7 sierpnia 1832 roku na cześć generała Dwernickiego, o przykrém dla autora „Grażyny" zajściu w Wilnie w domu państwa Bécu, kiedy to Jan Śniadecki natrząsał się z „Ballad i romansów", udając, że ich autora nie widzi, a doktór Bécu, zamiast ująć się za swym gościem, zaczął jeszcze wtórować Śniadeckiemu. Słowem, z początku, jeżeli były nieporozumienia pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem, winien tam był Słowacki, na co zresztą p. Hösick w zupełności przystaje. Lecz niebawem niechęć Słowackiego wzrosła, a to z tego powodu, że — jak pisze w liście do matki — Mickiewicz miał się wyrazić, że jego „poezya jest śliczna, że jest to gmach, piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga nie ma." I tu p. Hösick nie widzi jeszcze winy Mickiewicza: „Mickiewicz—powiada całkiem słusznie—poruwnywując poezye Słowackiego do pustego kościoła, powiedział o nich szczerze to, co myślał; a na usprawiedliwienie jego godzi się przytoczyć zdanie, które w lat kilka potém sam Słowacki wypowiedział o tych pierwszych tomach swojéj poezyi, zdanie, które innemi słowy mówi to samo, co powiedział Mickiewicz: pierwsze tomy poezyi moich — pisał Słowacki w roku 1839 w „Młodéj Polsce"—są bez duszy." Inaczéj zapatruje się autor na napiętnowanie doktora Bécu w trzeciéj części „Dziadów", mówiąc, że Mickiewicz w niegodny sposób „pomścił się" na mężu pani Bécu, że „wzgląd na rodzinę, pozostałą po nim, byłby stanowczo, gdyby natrafił na inne, mniéj zacięte usposobienie, wpłynął na napisanie „Dziadów" inaczéj, niż były napisane." Dowiadujemy się rzeczy zupełnie nowéj, że Mickiewicz miał serce mściwe i usposobienie zacięte. Dodaje p. Hösick, że już wówczas nie brakło takich, którzy mieli za złe Mickiewiczowi jego postępek, jak np. doktór Antoni Beaupré, a nawet Odyniec i Alexander Chodźko. Otóż pozwolę sobie wyrazić na tę sprawę nieco odmienne zapatrywanie. Nie przecząc bynajmniéj, że przeczytanie trzeciéj części „Dziadów" było dla Słowackiego nożem w serce, że więc nienawiść względem jéj autora jest odtąd zrozumiałą, jeżeli nawet nie konieczną,—mniemam jednak, że nie chęć osobistéj zemsty wpłynęła na wyznaczenie doktorowi Bécu takiéj, a nie innéj roli, a to dla téj prostéj przyczyny, że w sercu Mickiewicza na uczucie osobistéj zemsty nie było miejsca, chociaż p. Hösick twierdzi

(na str. 98 tomu I), że Mickiewicz przed laty jeszcze „poprzysiągł w duchu zemstę" domowi państwa Bécu. Nie chęć zemsty, lecz głębokie przeświadczenie o szczytném powołaniu poety, który, według Mickiewicza, ma takie samo prawo, a nawet taki sam obowiązek piętnować haniebne postępki w swém społeczeństwie, jak opromieniać czyny bohaterskie i wzniosłe, skłoniło Mickiewicza do wystawienia ojczyma Słowackiego w tak ponurém świetle,—w świetle, nie o wiele ciemniejszém od tego, w jakiém wystawił go sam p. Hösick (I, 44 nast.).

Drobny zatarg Słowackiego z Eustachym Januszkiewiczem z powodu zamiaru wybicia medalu pamiątkowego chyba o tyle tylko zasługuje na wzmiankę, że od téj chwili datuje się niechęć Januszkiewicza do Słowackiego, która w kilka lat późniéj miała poecie wiele krwi napsuć. Tak przynajmniéj twierdzi p. Hösick.

Pannie Corze Pinard i jéj miłości ku Słowackiemu poświęca autor osobny rozdział księgi drugiéj, opowiadając daleko szczegółowiéj, aniżeli Małecki, o wizytach Słowackiego u panien Pinard, o spacerach z panną Corą, o „zadziwiających postępach", jakie panna Cora w miłości robiła, a nawet o pocałunkach. Czy na tak drobiazgowém przedstawieniu rzeczy zyskuje charakter Słowackiego? Nic a nic; przeciwnie—całe jego postępowanie dowodzi w nim, prócz wielkiéj wrażliwości, wielkiego egoizmu. Bo czy Słowacki naprawdę kochał pannę Corę, czy prawda, że z początku „miłość w sercu Juliusza daleko większe czyniła postępy, aniżeli w sercu Cory", — jest rzeczą wątpliwą. Słowacki, spostrzegłszy w młodéj dziewczynie naprzód sympatyę, a późniéj miłość, pokochał nietyle pannę, ile tę jéj miłość ku sobie, rozkoszował się bez porównania więcéj tém uczuciem, które wzbudzał, niż tém, które czuł, woląc daleko być przedmiotem miłości, niż kochać. Pannie Corze raz wprawdzie powiedział, że ją kocha, ale tylko — jak sam mówi — „przez grzeczność". Takiego rodzaju grzeczność jest rzeczą, mówiąc grzecznie, co najmniéj niestosowną. Zresztą co do saméj panny Cory, trzeba się najzupełniéj zgodzić z autorem, że w „galeryi postaci niewieścich, grających mniejszą lub większą rolę w życiu Słowackiego, Cora Pinard jest jedną z najwdzięczniejszych, a zarazem jedną z tych, które go kochały najbardziéj, najgoręcéj."

Księga czwarta przenosi nas do Szwajcaryi, dokąd Słowacki wyjechał dnia 26 grudnia 1832 roku. Lwią część téj księgi zajmuje naturalnie opowiadanie o Eglantynie Patteg (czyli właściwie Pattey) oraz o Maryi Wodzińskiéj. Uczucie Słowackiego do téj ostatniéj widzi p. Hösick we właściwém świetle. Genezą miłości była tym

razem nie miłość własna, lecz potrzeba serca. Serce poety, stęsknione za krajem i za swoimi, potrzebowało kogoś pokochać, aby w tém uczuciu znaléść pociechę, szczęście i spokój, a do Eglantyny, mimo że ta przywiązała się do poety, „jak siostra i jak matka, i jeszcze...", zabić nie chciało; zabiło za to do „anioła, podobnego téj niewieście", którą Słowacki kochał „z całéj duszy, będąc jeszcze dzieckiem", — do panny Maryi Wodzińskiéj, która była nieco podobna do Ludwiki Śniadeckiéj. Nie odrazu poczęła się ta miłość. Z początku panna Wodzińska była Słowackiemu obojętną, późniéj przekonał się, „że oczy jéj wywierały na niego jakiś wpływ magnetyczny, że zależało mu na tém bardzo, aby się jéj podobać, aby ją zaciekawić, zainteresować sobą, że przyjemnie mu było z nią rozmawiać, że go rozmarzała swoją grą na fortepianie, że z nikim tak chętnie, jak z nią nie tańczył kadryla, że cieszył się, kiedy go wybrała w mazurze, że wobec niéj jednéj tylko czuł się niekiedy onieśmielony, i że przykro mu było, jeżeli go nie wyróżniała" (II, 68). Dopiéro po tych precedensach nastąpiła miłość, — miłość, jak się zdaje, prawdziwa, która jednak kulminacyjnego punktu dosięgła wtedy, kiedy Słowacki rozstał się z panną Wodzińską; wówczas bowiem dopiéro, rozpamiętując przeżyte w Genewie chwile i opromieniając je swą fantazyą, wywoływał silniejsze bicie serca, niż jakiego doznawał, przebywając w towarzystwie panny. I tu więc fantazya ważną odgrywała rolę; ale tym razem inaczéj być nie mogło: rojenia fantazyi musiały mu zastąpić rzeczywistość, która była dlań smutną, bo panna Wodzińska nie odpłacała mu nigdy wzajemnością. Twierdzi wprawdzie p. Hösick, że przyszła pani Orpiszewska starała się, „ażeby Słowacki chwilami niezupełnie tracił nadzieję", że „trochę w nim tę nadzieję podsycać doradzała nawet kokieterya." Ale jedynym na to dowodem autora jest to, że „kobiéta, choć nie kocha, widząc jednak, że jest kochaną, wszelkich będzie dokładała starań, ażeby zakochanego w niéj mężczyznę coraz silniéj przykuwać do siebie: o tyle obojętny jéj nie jest nigdy, żeby nie miała czuć się dotkniętą w swojéj miłości własnéj, widząc go, że stygnie i że coraz bardziéj wraca do równowagi. Tego żadna nie zniesie apatycznie. Cóż dopiéro, jeżeli to jest istota, w któréj żyłach płynie odrobina krwi włoskiéj!" Że ten argument jest tylko frazesem, który wobec wiarogodnych świadectw o postępowaniu panny Wodzińskiéj względem Słowackiego, żadnego znaczenia nie posiada, zbyteczna mówić. Nie posiadłszy więc serca w rzeczywistości, Słowacki posiadł je całkowicie w swych marzeniach. Tylko w marzeniach mógł sobie mówić: „moja Marya", tylko w marzeniach mi-

łość ta wyglądała tak, jak ją przedstawił w poemacie „W Szwajcaryi”, bo że w nim miał na myśli pannę Wodzińską, o tém—pomimo gwałtownych protestów p. Zagórskiego — nie wątpi chyba nikt. I znów mamy przed sobą jeden z najcharakterystyczniejszych rysów indywidualności poety: fantazya zastępowała mu rzeczywistość.

O pobycie Słowackiego w Rzymie, Neapolu i Sorrento (początek księgi piątéj) opowiada p. Hösick szczegółowo i zajmująco. Zwłaszcza znajomość Słowackiego z Krasińskim skreślił doskonale, i należycie ocenił wpływ, jaki ona na Słowackiego wywarła. W Sorrento poeta miał być, według autora, bohatérem sielanki miłosnéj któréj bohatérką była „młoda i piękna” Włoszka. W liście do matki pisze wprawdzie Słowacki: „Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich, słuchałem oparty na murze grającéj na gitarze dziewczyny. Była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady”; a w „Podróży do Ziemi Świętéj z Neapolu”, powiada:

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać...
Ona uczyła mnie chodzić, jak scenarz...
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze-nasz
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie.

Lecz czy przytoczone słowa listu i „Podróży” upoważniają do wniosku, że „tak się zaczął prędko romans klecić”? Skąd przedewszystkiém wié p. Hösick, że w przemowie miał Słowacki na myśli właśnie ową „młodą i piękną” Włoszkę (*nb.* o piękności Słowacki nie mówi nic)? Skąd wié, że poeta miał na myśli jakąś rzeczywistą istotę? Jeżeli posiłkowanie się dziełami każdego wogóle poety, jako źródłem dla jego życiorysu, wymaga zachowania wielkiéj ostrożności, to szczególniéj da się to powiedzieć o pismach Słowackiego, którego listy nawet zawierają w sobie niewątpliwie obok szczegółów rzeczywistych, szczegóły ze świata fantazyi. P. Hösick zdaje się o tém zapominać niekiedy, jak tego dowodzi owo opowiadanie o „romansie” z Włoszką, który byłby tém więcéj rażącym, że Słowacki przecie — jak o tém kilkakrotnie zapewnia nas autor — wciąż jeszcze myślał o pannie Wodzińskiéj.

Podróż Słowackiego do Grecyi, Egiptu, Ziemi Świętéj i Syryi opisuje p. Hösick ściśle na podstawie „Podróży do Ziemi Świętéj z Neapolu”, drobnych utworów („Odwiedziny piramid”, „Pieśń na Nilu” i t. d.), dziennika i listów. I tu przydałaby się krytyka tych

źródeł—z powodów, wyłuszczonych wyżéj. Najsilniejszego wrażenia swéj podróży wschodniéj doznał Słowacki w nocy z dnia 14 na 15-ty stycznia 1837 roku, kiedy to kilka godzin przepędził na modlitwie u Grobu Pańskiego. „W Słowackim — czytamy w dziele p. Hösicka—dokonała ta bytność przy Grobie Chrystusowym doniosłego przewrotu moralnego, tak dalece, iż możnaby prawie powiedzieć o nim, że innym tu wszedł człowiekiem, a innym — lepszym — wyszedł. W jego życiu duchowém jest ta noc z dnia 14 na 15 stycznia, spędzona samotnie u grobu Chrystusa, chwilą przełomu, pod religijnym względem przynajmniéj, odtąd bowiem nietylko się utwierdził stanowczo w zasadach wiary, ale i katolicyzm jego nabrał hartu, siły przekonania i „dumy“ (II, 237). Otóż jest rzeczą wątpliwą, czy ta jedna noc dokonała w duszy poety „doniosłego przewrotu moralnego“, a zwłaszcza „czy katolicyzm jego nabrał hartu, przekonania i „dumy“. Słowacki, jako natura wysoce nerwowa, był niesłychanie wrażliwy na otoczenie — to prawda; ale, jak to bywa zazwyczaj u takich natur, doznane wrażenia mijały dość szybko; zależało to naturalnie od mniejszéj lub większéj ich siły, — wrażenie nocy, spędzonéj w Jerozolimie, było dość silném, aby pozostawić w duszy poety ślady trwalsze, co widać choćby z tego, że wkrótce potém, w klasztorze Bet-chesz-ban, odbył spowiedź i zamierzał nawet wstąpić do zakonu. Z tém wszystkiém jednak wrażenia te szybko przeminęły, i Słowacki został zupełnie takim samym człowiekiem, jakim był poprzednio, a że katolicyzm jego bynajmniéj nie nabrał „hartu, siły przekonania i dumy“, o tém mogą coś powiedziéć niektóre oktawy „Beniowskiego“.

Ze szczegółów pobytu Słowackiego we Florencyi przytacza p. Hösick jeden, pominięty przez Małeckiego; jest nim przelotna „miłość“ Słowackiego ku jakiéjś prostéj dziewczynie, Florentynce. Nie wieleby straciła biografia poety, gdyby autor ten epizod pominął.

Na nowéj miłości Słowackiego kończy się księga piąta. Od panny Anieli Moszczyńskiéj nie doznał Słowacki wzajemności i dopiéro późniéj, już po jéj śmierci, która nastąpiła w kilka miesięcy po jego wyjeździe z Florencyi, zapomniał o swém niepowodzeniu do tego stopnia, że przypisywał pannie Moszczyńskiéj zamiary, jakich ona nigdy nie miała: „Choćby to było u niéj chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jéj to nadało w oczach moich postać litosnego anioła, a śmierć jéj dopełniła obrazu. Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego (paryskiego) ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę za-

chodzi, że się jéj cień rumieni i, spuszczając oczy, pytasię: dlaczegoś mnie nie kochał?“ Tak więc w marzeniach Słowackiego, jak świadczą powyższe słowa, wyjęte z listu do matki, role ich zmieniły się na wprost przeciwne: panna Aniela jego kochała, on był względem niéj obojętnym!! Jestto nowy dowód, jak dalece fantazya Słowackiego odbiegała od rzeczywistości.

W księdze szóstéj jest już Słowacki na paryskim bruku, wśród „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych szwarów.“ Jak oddziaływała nań ta przykra atmosfera, to w całéj pełni odsłania przed nami p. Hösick, szczegółowo zwłaszcza opisując stosunek Słowackiego do Mickiewicza i do „Litwy.“ Na całe to smutne i przykre zajście, będące wymowną ilustracyą stosunków emigracyjnych, rzucają badania p. Hösicka sporo nowego światła, wykazując, że uczta, wydana przez Eustachego Januszkiewicza na cześć Mickiewicza, odbyła się nie 24, lecz 25 grudnia roku 1840, że na następną ucztę (dnia 1 stycznia r. 1841) Słowacki nie przyszedł, że więc puharu Mickiewiczowi wręczyć na niéj nie mógł. Przyczyną niechęci, jaką Słowacki powziął ku Mickiewiczowi na nowo, były intrygi kilku emigrantów z Januszkiewiczem na czele, którego relacya o całéj sprawie jest nie tylko do najwyższego stopnia stronną, ale wprost fałszywą, i który — jak tego dowiódł p. Hösick [1]) — jest autorem artykułu (czyli raczéj paszkwilu) p. t. „Improwizatorowie“ (w poznańskim „Tygodniku Literackim“), przypisywanego dotychczas Napoleonowi Ordzie. Dzięki wyjaśnieniu tego całego zajścia, rozumiemy teraz dokładnie przyczynę goryczy i żółci, jakiemi zaprawił Słowacki koniec piątéj pieśni „Beniowskiego.“ Prawda, że Słowacki miał usposobienie drażliwe i że w obcowaniu z ludzmi (jak to widać z książki p. Hösicka) zbyt przyjemnym nie był, ale że w stosunkach z emigracyą zawiniła nie tylko jego zgryźliwość i duma, lecz i zła wola innych ludzi, — to także wątpliwości nie ulega.

Dalszym ciągiem nieporozumień ze stronnictwem Mickiewicza, był niedoszły do skutku pojedynek z jednym z literatów na emigracyi, Ropelowskim, który jednak w ten sposób bronił honoru „Litwy”, że do pojedynku nie stanął. Zresztą, czy to wszystko odbyło się rzeczywiście tak, jak opowiada autor (w rozdziale szóstym), to jeszcze kwestya, ponieważ jedyném źródłem w téj materyi są własne listy Słowackiego, a ten, jak wogóle lubił dramatyzować

---

1) Ob. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu“, str. 196 nast.

swoje życie, tak i teraz może zbyt dramatycznie opisał swój „dzień donkiszotowski“ — na swoją korzyść, a na niekorzyść przeciwników.

W tych wszystkich przykrych zajściach ambicya i drażliwość Słowackiego uwydatniły się najlepiéj, a Mickiewicz postąpił tak, jak przystało zachowywać się człowiekowi, wyższemu ponad poziom słabości ludzkich,—milczał. Sam p. Hösick zresztą przyznaje, że „Mickiewicz mógł wszystko, co zaszło, ignorować i uważać za dzieciństwo“ (III, 91).

Owe listy Słowackiego były pisane do pani Joanny Bobrowéj, która w tych czasach stała się „przedmiotem najnamiętniejszéj i najrzetelniejszéj miłości, jaką zapłonął ku kobiecie“ (III, 53). Być może, choć nie zawadzi dodać, że źródłem tego epizodu w życiu poety są znów jego własne listy — jedne z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek napisał. Przebieg miłości ku pani Bobrowéj, nieznany Małeckiemu, opisuje p. Hösick ze wszelkiemi detalami. Była ona dla poety przez czas długi źródłem pociechy wśród swarów emigracyjnych, ale więcéj jeszcze, niż pociechy, przynosiła mu zmartwienia i goryczy, bo pani Bobrowa, pokochawszy Krasińskiego wielką i jedyną miłością, nie zapomniała o nim nawet wówczas, kiedy on ją porzucił, a przeto Słowackiemu wzajemną być nie mogła. Fantazya i tu zrobiła swoje, — Słowacki powiedział sobie: jeżeli Krasiński pozyskał serce téj kobiety, dlaczegóż ja nie mam próbować! Ale zawiódł się najzupełniéj.

Treścią księgi siódméj i ostatniéj są ostatnie lata życia Słowackiego, a więc jego stosunki z Towiańskim i Towiańczykami, pobudki natury moralnéj, jakie skłoniły go do uwierzenia w misyę Towiańskiego, jego udział w kole i zatargi w niém, utworzenie własnego kółka i samodzielna propaganda mesyanizmu, wpływ towiańszczyzny na jego charakter i twórczość, stosunki z Seweryne Goszczyńskim, a późniéj nowe znajomości (z Kornelem Ujejskim, Wojciechem Stattlerem, Cypryanem Norwidem, Szczęsnym Felińskim i innymi), udział w życiu politycznêm emigracyi, pobyt w Wielkopolsce i we Wrocławiu, wyjazdy z Paryża do kąpieli morskich, wreszcie—śmierć.

Metamorfozę moralną Słowackiego pod wpływem towiańszczyzny wyjaśnił i ocenił p. Hösick doskonale, słusznie twierdząc, że, choć ona nie wątpliwie zaszła, nie w tym jednak stopniu, jakby się to wydawać mogło. Duma i ambicya, chociaż zmniejszyły się troszkę (dowodem — pojednanie się z Mickiewiczem), jednak od czasu do czasu dawały energiczne znaki życia. I pod innemi względami zmiana w Słowackim zbyt radykalną nie była; tak np. „w teoryi głosił

zasady ascetyzmu, twierdził, że należy gardzić połyskiem woskowanych podłóg; w praktyce jednak, o ile miał sposobność utrzymywania stosunków towarzyskich, korzystał z téj sposobności.” W konkluzyi dochodzi autor do następującego wniosku: „Jeśli się Słowacki zmienił pod wpływem Towianizmu, to zmiana ta nie była „tak realna i zupełna”, jak mu się zdawało; zmienił się to prawda, któréj nikt przeczyć nie myśli, ale się zmienił niewiele. Kto wié nawet, czy i ta zmiana nie odbyła się głównie — w wyobraźni poety. Bo ile razy zdarzyła się sposobność, ażeby téj „realnéj zmiany“ dowiéść czynem, wtedy zawsze brał górę „nieujeżdżony“ Julek. Towianizm osiodłał go wprawdzie, założył mu munsztuk i trenzle, ale to jeszcze nie dowód, żeby rumak był ujeżdżony na prawdę, żeby nie zrzucił jeźdzca, kiedy go ten dosiąść pragnie, a zwłaszcza gdy od niego będzie wymagał pokory. Na tę nie zdobędzie się Słowacki nigdy. Gdzie będzie chodziło o drobnostki, tam pozwoli nad sobą przewodzić, ale gdzie będzie chodziło o rzeczy ważniejsze, tam stanie dęba, waźmie na kieł, a w końcu pozrywa wędzidła.” Ciekawym przyczynkiem do charakterystyki Słowackiego jest i to także, że on, co niejednokrotnie mówił o marnościach tego świata, zaczął od roku 1842... spekulować akcyami; i „spekulował tak szczęśliwie, że np. w r. 1843 zarobił na szczęśliwem kupowaniu akcyi—głównie drogi żelaznéj Rouen—1,600 fr., w r. 1844—3,400 fr., w r. 1846—5,300 fr. Za to w r. 1848 stracił na akcyach 3,500 fr. Tym sposobem majątek jego w r. 1844 wynosił 16,746 fr., co mu pozwoliło wydać w ciągu tego roku 3,150 fr. Jeszcze lepiéj wiodło mu się w r. 1845, w którym majątek jego wynosił 10,476 fr.” (III, 353).

Wogóle ze wszystkich ksiąg dzieła p. Hösicka księga siódma jest najcenniejsza, bo zawiera w sobie — w porównaniu z monografią profesora Małeckiego—najwięcéj nowych i częstokroć charakterystycznych szczegółów.

II.

Tak się przedstawia strona biograficzna w dziele p. Hösicka. Zawiéra ono w sobie wszystko, cokolwiek o życiu Słowackiego dało się powiedziéć: i na tém właśnie polega stanowisko i zasługa téj monografii. Ktokolwiek w przyszłości zechce czy to na nowo opracować życiorys poety, czy téż zająć się psychologicznym rozbiorem jego poezyi, bez książki p. Hösicka nie będzie się mógł obejść. Tylko że w korzystaniu z niéj będzie musiał postępować

z pewną ostrożnością,—nie żeby autor był niesumienny lub stronny, lecz dlatego, że czasem opiéra się na źródłach, których wiarogodność może i powinna być podana w wątpliwość; przykłady wskazaliśmy wyżéj. Ten zarzut braku krytycyzmu względem źródeł dotyczy naturalnie tylko drobniejszych wypadków z życia Słowackiego, lepiéjby jednak było, gdyby i co do nich autor zachował się nie tylko krytycznie, lecz i sceptycznie. Małecki postąpił sobie pod tym względem o wiele ostrożniéj, przytaczając w cudzysłowie dłuższe nawet ustępy z listów Słowackiego i nie biorąc tym sposobem na siebie odpowiedzialności za wiarogodność wielu rzeczy drobnych, kiedy tymczasem p. Hösick postępuje w ten sposób, że parafrazuje słowa poety, przyjmując w nich wszystko za dobrą monetę; tak np. opis podróży do Grecyi jest dokładną parafrazą poematu Słowackiego. Gdyby autor był ostrożniejszym, jego książka zyskałaby nie tylko na powadze naukowéj, lecz i na zwięzłości, któréj brak spowodowała właśnie niezliczona moc szczegółów, przytaczanych bez względu na to, czy są one potrzebne, czy przyczyniają się do wyjaśnienia usposobienia, charakteru lub psychologicznéj genezy dzieł, czy nie. Tak np. dowiadujemy się, że przed wyjazdem Słowackiego do Warszawy świeciła na niebie wielka kometa, „która w Krzemieńcu najlepiéj dała się obserwować z cmentarza Frańciszkanów, a która, widziana zawsze po północy, zdawała się zapowiadać jakieś nieszczęście" (I, 217). Dowiadujemy się także, że przed wyjazdem z Paryża do Genewy, Słowacki o godzinie piątéj po południu zjadł obiad w restauracyi w towarzystwie pięciu przyjaciół, że w czasie podróży na wschód Słowacki i jego towarzysz Brzozowski zaprosili Hołyńskich na poncz, „który na humory mógł wpłynąć tylko dodatnio"; że, idąc na pojedynek z Ropelowskim, wypalił cygaro, zjadł dwa ciasteczka i wypił szklankę starego wina. I o tém, jak się ubierał Słowacki, nie zapomina p. Hösick. Czytamy więc, że poeta, wracając z podróży wschodniéj, nosił kostyum wschodni, że mianowicie kładł na siebie podartą koszulę, wełniany płaszcz arabski śnieżnéj białości, skarpetki perskie z różnokolorowéj wełny i grecką czapeczkę, i że „w stroju tym było mu bardzo do twarzy" (II, 268). Zwiedzając zaś wraz z rodziną Wodzińskich Szwajcaryę, miał na sobie płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, białe spodnie, kapelusz, pleciony z białéj i czerwonéj wełny, dość niski, ale z ogromnemi skrzydłami etc. A oto tryb życia poety na kuracyi w Pornic: „Wstawał rano,... kiedy wstał z łóżka, przedewszystkiém otwierał okno, którém mu zaraz powietrze, pachnące morzem i rosą poranną, napływało do pokoju. Najczęściéj, nim wyszedł z mieszka-

nia, stał w oknie,... potém w rannym negliżu, szedł kąpać się... Tam, rozebrawszy się na piaszczystém wybrzeżu, rzucał się w wodę, kładł się na falach, pluskał się, i ogromnie mu dobrze było w téj kąpieli pod gołém niebem... Po kąpieli wracał na pierwsze śniadanie" etc. (III, 279—280). Po co to wszystko? Jaki związek mają te i inne drobnostki z biografią psychologiczną? Czy wiadomość, jak się Słowacki ubierał lub co jadał, przyczyni się do wyjaśnienia genezy lub zrozumienia „Kordyana" albo „Beniowskiego"?

A czasem autorowi nie wystarcza jeszcze szczegółów, o których wspomina Słowacki w swych listach i poezyach; pragnie on koniecznie wydobyć na jaw i takie rzeczy, o których źródła milczą. Stawia więc cały szereg hypotez, które zaznacza zapomocą wyrazów: prawdopodobnie, być może, z pewnością, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wolno się domyślać i t. d. Mówi autor w przedmowie, że „hypoteza nie jest wykluczona z metody badań naukowych, nawet w naukach ścisłych"; bezwarunkowo! W biografii i krytyce literackiéj hypoteza jest uprawniona tak samo zupełnie, jak w każdéj innéj nauce, potrzebna jest jednak tam tylko, gdzie idzie o wyświetlenie rzeczy ważnéj. Ale po co stosować metodę przypuszczeń do błahostek biograficznych, które, czy będą wyświetlone, czy nie, są najzupełniéj zbyteczne? Po co np. p. Hösick stara się koniecznie rozwikłać pytanie, gdzie Słowacki corocznie przepędzał wakacye: „Gdzie państwo Bécu spędzili tegoroczne (1819) wakacye, nie można odpowiedzieć na pewno. Najniezawodniéj w Mickunach" (I, 67). „Po wakacyach (1822), spędzonych na wsi w każdym razie, prawdopodobnie w Mickunach, Słowacki powrócił" i t. d. (I, 92). „Z nadejściem pory wakacyjnéj (1824) pojechali państwo Bécu na wieś, prawdopodobnie do Mickun" (I, 109). „W początkach lipca (1825), jak zwykle o téj porze, pojechano na wieś. Do Mickun, czy do Wierzchówki? W tym roku prawdopodobnie do Wierzchówki. Wiele względów przemawia za tém" (I, 113)? Sam autor przyznaje raz, że czy Słowacki spędził lato w Mickunach, czy w Wierzchówce, „jest kwestyą bez znaczenia" (I, 100). W inném znów miejscu zastanawia się p. Hösick, na jakie miejsca chodził Słowacki do teatru: „O ile bywał z matką i siostrami, najprawdopodobniéj siadywał w jednéj z lóż; jako student uniwersytetu, gdy chodził sam, musiał bywać na parterze, który był zwykłém miejscem studentów" (I, 137). W liście, pisanym ze Szwajcaryi powiada Słowacki: „Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że ni-

gdy nauczyć się biegać po lodzie nie mogłem." P. Hösick dodaje od siebie. „Musiałem wyznać? Komu? To pytanie zostawia Słowacki bez odpowiedzi, ale przypuścić wolno, że pomiędzy tą ślizgającą się publicznością znajdowali się także i młodzi Wodzińscy z siostrami, a w takim razie nie trudno sobie wyobrazić i Słowackiego, który, spacerując po lodzie bez łyżew, kiedy go panna Maryanna zapytała, czemu się nie ślizga wraz z innymi, „musiał wyznać, że nadto jest niezgrabny" i t. d. (II, 69). Albo jeszcze roztrząsa autor kwestyę, „z jakiego punktu mógł Słowacki przypatrywać się pogrzebowi Napoleona? Czy się postarał o miejsce na któréj z trybun, co było bardzo kosztowne, dzięki Anglikom, umyślnie przybyłym na tę uroczystość, a którzy przepłacali za miejsca na trybunach? Czy się tłoczył, wmieszany w owe tłumy ludu, które na obu trotuarach dusiły się pomiędzy ścianami domów a tornistrami gwardyi? Czy téż, zaproszony do kogo ze znajomych, co mieszkał na Polach Elizejskich, znajdował się na którym z tych udekorowanych balkonów, albo stał w oknie, z którego mógł widzieć wszystko jak na dłoni? Jestto pytanie, na które odpowiédź musi się opierać na przypuszczeniu tylko" (III, 56). Przypuszczenie jest takie, że Słowacki przypatrywał się pogrzebowi z okien mieszkania pani Bobrowéj.

Przykłady te są dostatecznym dowodem, że autor traktuje swój przedmiot zbyt drobnostkowo. Poważnego jednak zarzutu nie wolno robić z tego powodu p. Hösickowi; z pewnością sam nie przywiązuje zbyt wielkiéj wagi do takich szczegółów, a jeżeli je gromadził, uczynił to niezawodnie nie tylko przez sumienność, lecz i przez zamiłowanie do swego przedmiotu, przez pietyzm do Słowackiego i jego życia. Byłoby zapewne lepiéj, gdyby w monografii tylu drobiazgów nie było: dzieło zyskałoby wielce na przejrzystości i perspektywie, ale i tak, jak jest, — powtarzam raz jeszcze—daje książka p. Hösicka pełny obraz życia wielkiego poety.

Miał autor zupełne prawo nazwać ją „biografią psychologiczną", obok bowiem strony zewnętrznéj życia Słowackiego wszędzie uwzględnia stronę wewnętrzną, jego myśli i uczucia, jego charakter i chwilowe usposobienie. I z tego zadania wywiązał się, jak należy,—na podstawie jego dzieła możemy zdać sobie jasno sprawę, co było dla Słowackiego drogiém, a co wstrętném, o czém marzył, za czém tęsknił, co go skłoniło do wyjazdu z Paryża lub z Genewy, a co do rzucenia się w objęcia towiańszczyzny, jakie wrażenie wywierały nań głosy prasy peryodycznéj o jego dziełach (które p. Hösick z wielką skrzętnością zbiéra) i t. p.

Zobaczmy teraz, jakim jest sąd autora o Słowackim, czy jest bezstronnym względem jego życia i charakteru? Powiada p. Hösick w przedmowie, że trzymał się zasady, „ażeby niczego, a przedewszystkiém Słowackiego nie idealizować“, że starał się przedstawić go „w świetle prawdziwém, nie sztuczném, słowem skréślić jego wizerunek realistyczny, nie upiększony, silny nacisk kładąc na niezaprzeczone i wielkie przymioty jego,... jak i na wszystkie wady i słabostki téj narcyzowéj natury.“ I dotrzymał p. Hösick téj obietnicy. Nie tai się wprawdzie bynajmniéj ze swym pietyzmem dla poety (co może tylko być poczytane za prawdziwą zaletę autora i dzieła), przyznaje się otwarcie, że nie zna „poetyczniejszego żywota, jak to życie, które starał się odtworzyć“ (co do téj poetyczności jestto naturalnie kwestya osobistego poglądu; ale zdaje mi się, że życie Mickiewicza było o wiele poetyczniejsze, choćby już przez to jedno, że Mickiewicz o swéj poetyczności nie myślał tak ciągle i nie wmawiał jéj w siebie tak ustawicznie, jak Słowacki, a „poświęcenie“, o którém wspomniał kiedyś Słowacki, było u Mickiewicza — w czynach, u Słowackiego—w fantazyi); nie ukrywa téż swéj niechęci p. Hösick względem tych, co Słowackiego nie lubili, w kwestyach wątpliwych staje zwykle w jego obronie (w czém często słuszności nie podobna mu odmówić, bo prawdą jest, że ludzie byli często niesprawiedliwymi względem biednego poety), ma widoczny żal do krytyków, którzy na piękności poezyi Słowackiego poznać się nie umieli lub—daleko częściéj—nie chcieli (pod tym względem i Mickiewicz nie jest bez zarzutu, skoro w swych prelekcyach o Słowackim nie wspomniał): ale to wszystko bynajmniéj nie dowodzi stronniczości autora.

Natomiast możnaby przytoczyć bardzo wiele dowodów, świadczących że p. Hösick sądzi Słowackiego zupełnie bezstronnie. Kreśląc koleje jego życia, nie obwija w bawełnę nic, powtarza np. za Odyńcem zajście Słowackiego z Hrehorowiczem w Warszawie, bo choć „wolałby przemilczéć o tym wypadku“, jednak wspomniéć o nim „nakazuje obowiązek“ (I, 248). Równie bezstronnym jest autor w swym sądzie o charakterze Słowackiego. Przyznaje otwarcie, że była to „w gruncie rzeczy natura narcyzowa, rozkochana w sobie, charakter dumny i ambitny, nacechowany ogromną dozą próżności“ (III, 241), że w jego charakterze były sprzeczności, jak ta np., że „ten apostoł idei demokratycznéj sam osobiście demokracyi nie lubił i wolał z nią, o ile możności, jaknajmniéj miéć do czynienia, choćby dlatego tylko, że wiedział,

. . . . jak jest niebezpiecznie
Z demokratami nie być dosyć grzecznie" (I, 75).

Z wygórowanéj próżności Słowackiego zdaje sobie p. Hösick doskonale sprawę, skoro powiada: „Jedna rzecz tylko, można być pewnym, nie sprzykrzy mu się nigdy: to hołdy uwielbienia, to kadzidło pochwał, choćby najbanalniejszych. Pod tym względem pozostanie niepoprawnym do końca życia prawie. Zawsze był wrażliwy i czuły na pochwały; teraz, kiedy się drukowały jego poezye, był wrażliwszym i czulszym jeszcze, niż kiedykolwiek. Poprostu, doznawał zawrotu głowy, kiedy słyszał lub dowiadywał się, że o nim mówiono, że o nim mówiono dobrze, że zaczynał budzić zainteresowanie swoją osobą zarówno, jak i swojemi pismami" (I, 325). A oto jeszcze charakterystyka Słowackiego z czasów jego młodości: „Wygórowana ambicya, chęć imponowania drugim, pewność siebie, dochodząca do monomanii, przeświadczenie o swéj wyższości moralnéj i intelektualnéj, słowem—zarozumiałość, połączona z najwyższą próżnością, która podrażniona, a dająca się podrażnić byle czém, na zewnątrz przejawiała się w formie przykréj niesłychanie, bo zatrutéj jadem zgryźliwości, a nie oszczędzającéj przeciwnika" (I, 47). .....„O ile pozwalał rozpływać się nad sobą, o tyle nie miał we zwyczaju odpłacać pięknem za nadobne: przeciwnie, najczęściéj zdarzało mu się dokuczyć boleśnie tym właśnie, którzy mu najwięcéj miłość swą okazywali. Z „siostrami" swemi np., z Olesią i Hersylką, nieraz postępował sobie całkiem bez ceremonii. Mając pewność, że żadna z nich, choćby im nie wiedzieć jak dopiekł, nie poskarży się na niego przed matką, sprzeciwiał się im niekiedy w taki sposób, że mu się to aż nie chwali" (I, 55)....... ....„Co najdziwniejsze, to że w obejściu z ludźmi, którzy mu byli obojętni, do których sympatyi lub antypatyi nie wiele przywiązywał wagi, nie pozwalał sobie nigdy (a przynajmniéj rzadko kiedy) na nic takiego, coby ich dotknąć niemile lub zniechęcić mogło: z tymi (np. z Odyńcem z czasem) był grzeczny i nie sarkastyczny. Dokuczać, sprzeciwiać się lubił tylko tym, których kochał, o których wiedział, że jego kochają" (I, 56). Tak więc ostro i surowo sądzi autor charakter Słowackiego; pomimo to wszystko twierdzi, że poeta, „skoro się zsumuje wszystkie jego zalety i wady, źle na tém nie wychodzi ostatecznie" (I, VI), że nie przestaje być dla nas człowiekiem sympatycznym. I pod tym względem trudno nie zgodzić się z autorem, bo w gruncie rzeczy Słowacki miał naturę zacną i serce szlachetne. Zresztą my, którzy Słowackiego nie znamy, którzy nie jesteśmy narażeni ani na jego kaprysy, ani na jego gryzącą ironię, którym jego duma i ambicya

nie dały się we znaki, my prawie zupełnie zapominamy o rażących wadach jego charakteru — pod wpływem może nie tyle jego zalet, ile oślepiającego blasku jego brylantowéj poezyi. Jedno wszakże zastrzeżenie zrobić można i należy: dziwić się lub miéć za złe ludziom, którzy Słowackiego znali i utrzymywali z nim stosunki, że go nie kochali, nie mamy prawa, bo że poeta bywał często w stosunkach nieznośny, temu chyba i p. Hösick nie zaprzeczy. Słowackiego można wielbić, jako poetę; jako człowieka, można go tylko lubić; na wielbienie bowiem zasługuje tylko człowiek wielki, a że Słowacki nim nie był, o tém dostatecznie przekonywa monografia p. Hösicka.

III.

„Biografia psychologiczna" Słowackiego daje nam nietylko zupełny obraz życia poety, lecz zawiera w sobie nadto bardzo wiele cennych przyczynków do jego twórczości. Wprawdzie szczegółowemu rozbiorowi téj ostatniéj zamierza autor poświęcić osobne dzieło, ale już w biografii dotknął wielu kwestyi z zakresu krytyki estetyczno-literackiéj. Tak być musiało: Słowacki-człowiek jest nieodłączny od Słowackiego-poety, jego poezya jest w ścisłym związku z jego życiem, to téż autor zastanawia się wszędzie, jaki wpływ wywarło życie na ten lub ów utwór, kiedy lub w jakich okolicznościach powziął poeta zamiar napisania tego lub owego dzieła, co wziął z życia, a co z fantazyi, słowem—krytyczne uwagi autora dotyczą przedewszystkiém psychologicznéj genezy poezyi Słowackiego. Uwagi te są cenne i w znacznéj części zupełnie nowe.

Autor wykazuje, że częstokroć Słowacki „nie tworzył, lecz przypominał"; tak np. prześliczne opisy natury podolskiéj w „Beniowskim" mają swe źródło w osobistych wrażeniach, jakich Słowacki doznawał, kiedy, będąc dzieckiem, corocznie jeździł z matką na Podole. Bardzo trafnym daléj jest wykaz wielu reminiscencyi (w tymże poemacie) z podróży na Wschód, a mianowicie z pobytu w Kairze, z noclegu w grobowcu jakiegoś szeika, z kwarantanny w El-Arish, z pobytu w Jerozolimie i t. d. Na podstawie swych spostrzeżeń dochodzi autor do wniosku, że wszystkie prawie opisy w „Beniowskim" są ściśle realistyczne, że obok „najczarowniejszych obrazów oryentalnych" nie zapominał poeta bynajmniéj o „różnych prozaicznościach" i że wogóle, ilekroć chciał, potrafił być w opisach natury takim samym realistą, jakim jest Mickiewicz w „Panu Tadeuszu." Bardziéj jeszcze szczegółowo roztrząsa autor podmiotowy

pierwiastek „Beniowskiego“, wyjaśniając, kogo mianowicie miał na myśli poeta w swych złośliwych wycieczkach satyrycznych, co wywołało jego zgryźliwość i niechęć względem krytyków, poetów i t. p. P. Hösick, jak może, tak stara się usprawiedliwić złośliwość Słowackiego, chociaż—co do inwektywy na Mickiewicza w końcowych oktawach pieśni piątéj — przyznaje, że furya Słowackiego była nie tyle „Achilesowa, ile tygrysia.“ Nie myślimy temu przeczyć.

W romansie *Le roi de Ladawa*, zaczętym w Paryżu, a nie ukończonym nigdy, także dopatruje się autor wielu wspomnień z życia poety, jak tego np., że opis przybycia Kazimierza Ladowskiego do Sofiówki jest poprostu poetyczną reprodukcyą wspomnień z podróży do Tulczyna i t. p. Przypuszczenie, że emir w romansie jest to słynny Wacław Rzewuski, byłoby więcéj uzasadnione, gdyby istniała pewność, że Słowacki go znał. Bądź co bądź, jest rzeczą niewątpliwą, że i w tym romansie Słowacki więcéj przypominał, aniżeli tworzył. To samo zupełnie da się powiedziéć co do fragmentów poematu „Pan Tadeusz“, w którym odbiły się wspomnienia z czasów wileńskich, o poemacie „Wacław“ i t. d.

I do genezy innych dzieł Słowackiego podaje książka p. Hösicka niemało przyczynków. Co do „Anhellego“ prawdopodobném jest przypuszczenie autora, że pomysł poematu urodził się podczas nocy, spędzonéj nad jeziorem Genezaretańskiém, jak i to również, że imię bohatéra poszło może stąd, że w domu nazywano Słowackiego pieszczotliwie małym „Heli“. Słusznie daléj widzi autor w „Anhellim“ osobiste wspomnienia poety, zaznacza, że, kiedy Anhelli mówi o Eloi: „otom zobaczył anioła, podobnego téj niewieście, którą kochałem z całéj duszy mojéj, będąc jeszcze dzieckiem“, to Anhellim jest tu sam poeta, który ujrzał Maryę Wodzińską, podobną do Ludwiki Śniadeckiéj, że osobą, która Anhellego pokochała, jak siostra, i więcéj jeszcze, jest Eglantyna i t. d. Że Słowacki w znacznéj części identyfikował się z Anhellim, to zdaje się nie ulegać żadnéj wątpliwości, wierzył bowiem w teoryę Swedenborga, w którego dziele *De origine angellorum* rozczytywał się w dzieciństwie, w teoryę odrodzenia nieszczęsnego społeczeństwa przez jednego człowieka, człowieka-anioła, który swe cierpienia ludom przynosi w ofierze. Otóż Słowacki był właśnie takim człowiekiem-aniołem, cierpiał i poświęcał się dla społeczeństwa — we własnéj fantazyi [1]).

---

[1]) Anhellemu poświęcił p. Hösick osobne studyum „Anhelli i trzy poematy“, Kraków, 1895.

Trafne są spostrzeżenia autora co do genezy „Księdza Marka“, „Snu srebrnego Salomei“ i „Niepoprawnych“, w którym to dramacie występują przeważnie osoby, wzięte z życia; że wzorem dla stworzenia świetnego typu hrabiny Idalii była nie Delfina Pocka, lecz pani Bobrowa, to autor wyrażał już dawniéj [1]).

Nowym przyczynkiem do twórczości Słowackiego jest wiadomość, że podczas podróży wschodniéj powstał w nim zamiar napisania poematu czy téż tragedyi o Ramzesie; plan tego dzieła (nie napisanego nigdy) jest przez to ciekawy i charakterystyczny, że świadczy wyraźnie, iż wówczas już nosił się Słowacki z myślą utworu, którego ideą zasadniczą byłaby idea metampsychozy; jestto więc jakby pierwsze stadyum w psychologicznéj genezie „Króla Ducha“.

Powyższych przykładów wystarczy, aby przekonać się, że p. Hösick traktuje swój przedmiot naukowo, nie odłączając życia Słowackiego od jego twórczości. Dlatego to, jak się wyżéj powiedziało, bez jego monografii nie będzie się mógł obejść nietylko ten, kto zechce obznajmić się dokładnie z życiem Słowackiego, lecz i ten, kto zechce badać jego poetyczną twórczość.

Ignacy Chrzanowski.

---

[1]) Ob. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu“.



KWESTYA SZLACHECKA

w Rosyi.

Wobec powstałych od niedawna zagadnień w sprawie stosunku naszego do wielkiego społeczeństwa rosyjskiego, rządzącego ogromnemi przestrzeniami na wschodzie od nas, aż pod ocean Spokojny—staje się rzeczą konieczną rzucać coraz więcej światła na wewnętrzne prądy, nurtujące w głębi tego społeczeństwa, dotąd obcego nam przekonaniami i tradycyami, chociaż blizkiego życiem politycznem, pokrewnego pochodzeniem słowiańskiem i od wieków z nami sąsiadującego. Naród rosyjski należy do kolosalnych jednostek etnograficznych, które zawsze budzą ciekawość, niechęć lub podziw; dla nas zaś jest on narodem nie tylko ościennym, lecz najściślej z nami związanym przez dziejowe wypadki kilku ostatnich stuleci. Cokolwiek bądź gotują nam przyszłe dzieje, jakikolwiek bądź obrót wezmą nasze dzisiejsze usiłowania w kierunku ustalenia naszego bytu — nigdy naród rosyjski nie przestanie być naszym największym i najżywotniejszym sąsiadem, od którego będziemy zależni i którego wpływom, przynajmniej politycznym i ekonomicznym, a może i społecznym, ulegać będziemy, sami oddziaływając nawzajem, w mniejszym lub większym stopniu, na jego rozwój kulturalny. Ideałem stosunków międzynarodowych jest obopólne zbliżenie się: nie zaprzeczy temu chyba najbardziej rozgoryczony przedstawiciel naszej opinii publicznej. Zgoda nie przychodzi

bez walk i namiętności, trwających całe dziesiątki lat, zwłaszcza, że w czystém zrozumieniu, zgoda narodów jest pojęciem warunkowém, zależném od mnóstwa przyczyn i wypadków historycznych. O ile jednak następują dziejowe oscylacye, przychylne dla idei zgody, jest rzeczą rozumną i szlachetną czynić wszystko, co tę zgodę może sprowadzić i zapewnić współdziałanie uczciwych pierwiastków narodowych we wspólném dziele cywilizacyi wszechświatowéj.

Nic dziwnego, że myśl o możliwości zgody zawsze i wszędzie pociąga wszystkie wybitniejsze umysły. Obecny stosunek nasz do społeczeństwa rosyjskiego zaczyna przybierać cechę większéj normalności, co daje już teraz prasie i jednostkom podstawę do występowania z projektami nie tylko zgody ideowéj lecz nawet czynnego współdziałania. W prasie polskiéj napotkaliśmy niedawno pierwszy w téj mierze i przytém poważny artykuł Jerzego Moszyńskiego, w którym ten hrabia-publicysta rzuca myśl wspólnéj pracy szlachty polskiéj i rosyjskiéj ku ogólnemu dobru państwa. Myśl to istotnie ciekawa, jakkolwiek nie nowa, bo kiełkowała już kiedyś za lepszych czasów, lecz poszła rychło w zapomnienie. Hr. Moszyński poruszył ją teraz, szukając naturalnego sprzymierzeńca dla stanu, którego jest przedstawicielem, w takimże stanie w Rosyi. Myśl swoją rozwinął w następujących wyrazach („Kraj" Nr 12 r. b.):

„Ważność większéj własności w rozwoju społecznych stosunków jest bez wątpienia uznaną, zarówno przez naszą jak przez rosyjską szlachtę. We wspólném więc tém pojęciu zyskujemy potężny łącznik do wspólnéj pracy i działania...

„Jeżeli szlachta rosyjska szczerze pragnie uchronić państwo rosyjskie od téj ostateczności (upadku własności ziemskiéj) — a nie mam powodu wątpić o jéj szczerości—jeżeli chce zachować Rosyi niezbędny do jéj cywilizacyjnego rozwoju pierwiastek szlachecki i większéj własności ziemskiéj; to powinna przedewszystkiém połączyć się z nami w dążeniu do jak największego prawnego zabezpieczenia średniéj własności ziemskiéj i ukrócenia propagandy anty-społecznéj, by nadal wspólnemi siłami pracować nad zdrowym rozwojem społecznym w całém państwie rosyjskiém."

Jaką więc jest owa szlachta rosyjska, w któréj hr. Moszyński upatruje realnego sprzymierzeńca? Przyznać należy, że o ile Rosyanie ciągle miewali na ustach wyraz „szlachta polska", z którą utożsamiali niesłusznie cały naród polski, o tyle my sami nigdy nie mieliśmy sposobności, ani potrzeby rozprawiania o szlachcie rosyjskiéj. Pochodziło to z prostéj przyczyny, że społeczeństwo rosyjskie reprezentowali wobec nas zawsze urzędnicy, szlachta zaś rosyjska, osiadła stale w głębi

Rosyi, pozostawała dla nas daleką i nieznaną korporacyą. Upatrując w każdym Polaku historycznego szlachcica, podszytego jezuitą i przewrotnego aż do szpiku kości, sąsiedzi nasi aż do ostatniéj chwili ulegali dziejowéj iluzyi, gdy my znowu, widząc przed sobą wyłącznie działaczy państwowych, nie widzieliśmy po za nimi reszty społeczeństwa rosyjskiego. Podobnie jak prasa rosyjska z pewném zdziwieniem wykryła u nas niedawno oprócz szlachty i włościan, stan trzeci, tak samo i my dowiedzieliśmy się teraz, że w Rosyi istnieje stan szlachecki, a nawet kwestya szlachecka zaprzątająca wiele umysłów i wchodząca obecnie w ostre stadyum przesilenia. Okazało się nawet możebném przypuszczać, że nastąpi zidentyfikowanie interesów szlachty rosyjskiéj i polskiéj na wspólnym gruncie podtrzymania rolnictwa i zapobieżenia upadkowi większéj i średniéj własności ziemskiéj, jak to zaznaczył hr. Moszyński. Ze względu na to, iż ze stanowiska prawnego znaczenie państwowe szlachty rosyjskiéj i polskiéj jest jednakowe, można przewidywać, że po zatarciu niektórych zbyt ostrych różnic politycznych zarówno polski stan szlachecki, jak i rosyjski znajdą się kiedyś w zupełnie jednakiém położeniu wobec rządu i pozostałego społeczeństwa. Dlatego téż kwestyę szlachecką w Rosyi warto poznać bliżéj.

Historyczny rozwój stanu szlacheckiego w Rosyi odbywał się odmiennemi drogami, niż na Zachodzie, jakkolwiek w zasadzie te same pierwiastki występowały zarówno tu, jak tam. Za czasów pierwszych Rurykowiczów i powstawania udzielnych księstw, szlachta ziemska jeszcze nie istniała; zarodki jéj kiełkowały wszakże w licznych drużynach książęcych, do których należeli „lepsi” ludzie (*łuczszyje ludi*) z pośród kmieci. Gdy po pogromie tatarskim potworzyły się stalsze księstwa wielkorosyjskie nad Wołgą i Oką, a trony książęce stały się dziedzicznemi w ściślejszém tego słowa znaczeniu, t. j. gdy przestano „powoływać“ na tron obcych książąt, miłych ludowi, zaś władzę oddawano braciom lub synom zmarłego księcia, wówczas powstała pewnego rodzaju arystokracya, „bojarowie”, którym książęta odstępowali używalność swoich gruntów pod warunkiem stawienia się na obronę kraju w razie wojny z wrogami. Wielcy książęta moskiewscy zdołali zjednoczyć powoli pod swojém berłem wszystkie księstwa rosyjskie i podbić wolne miasta Nowogród i Psków, a następnie całkowicie zgnietli potęgę tatarską i wytworzyli dokoła siebie znaczne zastępy starszyzny, która stale im służyła. Typ dawnych wolnych „drużynników“, przyjaciół księcia, znikł, zaś miejsce ich stopniowo zajął stan ludzi, którzy służbę przy dworze książęcym pełnili już niejako z musu, ażeby nie ściągnąć na siebie niechęci możnego księcia lub

otrzymać jakiekolwiek łaski. Pojęcie służby powoli stało się nieodłączne od pojęcia wierności i obowiązku, od którego poddany nie mógł się uchylać.

Termin „*dworjanin*", używany obecnie w Rosyi dla oddania pojęcia „szlachcic" a równoznaczny pierwotnie z wyrazem polskim „dworzanin," napotyka się w pomnikach piśmiennictwa rosyjskiego już w wieku XII; oznaczał on początkowo osobę, mieszkającą przy dworze książęcym. Owi dworzanie pełnili zrazu tylko funkcye niższéj władzy wykonawczéj i uczestniczyli w wyprawach wojennych księcia. Gdy książe wzrastał w potęgę, do dworu jego garnęły się wówczas wszystkie możniejsze osoby z okolicy. Przy dworze wielkich książąt moskiewskich synowie bojarów rozpoczynali karyerę, stając nasamprzód w szeregach młodszéj „drużyny", wśród t. zw. „*otroków*" i „*dietskich.*" Z biegiem czasu i sami bojarowie zaczęli gromadzić się dokoła tronu, pociągnięci zaszczytami i życiem dworskiém. Liczba posad dworskich i tytułów wzrosła szybko w końcu wieku XV, gdy Moskwa stała się stolicą całéj Wielkiéj Rosyi i w zwyczajach jéj książąt zapanował przepych. Ponieważ dla wszystkich dostojników i sług zabrakło wreszcie miejsca przy dworze, musiano wielu dworzan „pomieścić" na gruntach należących do wielkiego księcia. Grunta te otrzymały nazwę „*pomiestja*", zaś osoby, którym je oddano, nazwę „*pomiestnyje dworjanie*" co możnaby przetłómaczyć „pomieszczeni dworzanie." W skróceniu ta nazwa brzmi „*pomieszczyk*"—wyraz, używany dziś powszechnie w Rosyi dla oznaczenia ziemianina, osiadłego na roli. Dworzanie tacy musieli odsługiwać za prawo korzystania z gruntów wielkiego księcia i stawać bezzwłocznie na każdy jego rozkaz. Wyżsi bojarowie oraz ich dzieci otrzymywali nieraz grunta na zupełną własność; grunta takie otrzymały miano „*wotczyny*" (ojcowizny). Bojarowie jednak przez długi czas zachowywali prawo opuszczenia księcia i zaciągnięcia się pod sztandary innego; prawo to upadło dopiéro z chwilą zjednoczenia się ziem wielkorosyjskich pod władzą Moskwy. Wprawdzie i potém przez czas jakiś wyjeżdżano do Litwy, lecz w wieku XVI wyjazdy te ustały. Różnica pomiędzy dworzanami, otrzymującymi za służbę „*pomiestja*", a bojarami, otrzymującymi z łaski wielkiego księcia „wotczyny" zatarła się całkowicie z nastaniem wieku XVII, gdy dla oznaczenia ziemiaństwa używać poczęto jednego tylko terminu „*dworjanie*", co świadczyło o stanowczéj przewadze pierwiastku służby dworskiéj nad służbą wolną. Służba „dworjan" miała przedewszystkiém cechę wojskową. W tym celu zaprowadzono zwyczaj spisywania szlachty; w spisach wymieniano wysokość żołdu lub dochodu z darowanych gruntów. Z końca XVI w. pozostał przepis, aby do tych spisów nie wciągano osób

niższego pochodzenia, czém poraz pierwszy zawarowano kastowość stanową szlachty. Najlepsze rody zapisywano do wykazów szlachty moskiewskiéj; z pośród nich obierano przeważnie dostojników dworskich, których liczba nigdy nie przestała być wielką. Szlachta rosyjska w owych czasach składała się z różnorodnych elementów: potomków starych rodów książecych, dawnych rodzin bojarskich, zwykłych dworzan i osób, których ojcowie jeszcze byli włościanami. Elementy te walczyły ze sobą o wpływ, a ponieważ na służbie starym rodom oddawano pierwszeństwo, przeto wynikały niezliczone spory o dawność rodów, kończące się waśniami i bójkami. Zjawisko to znane jest w historyi rosyjskiéj pod nazwą „*miestniczestwo*" (spory o miejsca czyli posady) i zniesione zostało przez energiczny ukaz cara Teodora Aleksiejewicza z r. 1682, który spory takie polecił surowo karać.

Wiek XVIII wywołał kardynalne zmiany w położeniu szlachty. Piotr Wielki nadał jéj urzędową nazwę „*szlachetstwo*", brzmiącą z polska i do szlachty kazał zaliczyć mnóstwo urzędników różnych „*prykazów*" (instytucyi rządowych), jako téż dworzan biskupich i cudzoziemców, zostających w służbie rosyjskiéj. Szlachta za Piotra W. nie dzieliła się na kategorye; za lepszego szlachcica uważano tego, który bardziéj był do służby zdatny. Służyć musiał każdy szlachcic, inaczéj zabierano mu majątek i pozbawiano czci (poddawano t. zw. „szelmowaniu"). Kto nie umiał rachować, czytać, nie posiadał początkowych wiadomości z geometryi i nawigacyi, nie miał nawet prawa zawierania związków małżeńskich. Zaprowadzając tabelę rang z podziałem na XIV klas, Piotr W. popchnął szlachtę do kształcenia się i gorliwszéj służby, gdyż synowie najznakomitszych nawet rodów zmuszeni byli zaczynać służbę od najniższych rang. W r. 1714 ogłoszono znany ukaz Piotra W. o majoratach, znoszący zwykły sposób dziedziczenia majątków nieruchomych; dziedziczyć mógł odtąd tylko starszy syn, z wyłączeniem innych, co miało na celu zapobieżenie rozpraszaniu się i upadkowi majątków. Ukaz ten jednak przetrwał zaledwie do r. 1730, w którym został uchylony przez cesarzową Annę na skutek skarg szlachty. Jakkolwiek surowe ukazy Piotra W. o przymusowéj służbie zostały potém znacznie złagodzone, jednak w zasadzie służba pozostała dla szlachty obowiązkiem; dla synów szlacheckich zaprowadzono nawet specyalne egzamina i popisy, („*smotry*") celem sprawdzenia ich postępów i zdolności do służby.

W r. 1762 Katarzyna II zwolniła szlachtę od przymusowéj służby, wskutek czego stała się szlachta zupełnie uprzywilejowanym stanem, posiadającym oprócz ziemi i poddanych, prawo dobrowolnego piastowania urzędów. W słynnym „Nakazie" swoim Katarzyna II wy-

raziła myśl, że tytuł szlachecki jestto „szczególnie zaszczytna nazwa, odróżniająca od zwykłych ludzi te osoby, które są nią ozdobione"; w tym samym duchu wydaną została w r. 1785 zasadnicza ustawa, nadająca szlachcie rosyjskiéj różne przywileje osobiste, majątkowe i korporacyjne. Przywileje osobiste polegały na zwolnieniu od obowiązkowéj służby, wszelkich podatków i kar cielesnych oraz na nietykalności tytułu szlacheckiego, którego szlachcic mógł być pozbawiony jedynie sądownie i za zezwoleniem monarszém. Do osobistych przywilejów należało wyłączne prawo posiadania „wotczyn" czyli dziedzicznych majętności ziemskich z poddanymi. Od czasów Katarzyny II stan szlachecki nazywa się stale w mowie urzędowéj i potocznéj „*dworjanstwo*", termin zaś „*szlachetstwo*", wprowadzony w użycie przez Piotra W. poszedł w zapomnienie.

Przywileje korporacyjne po raz pierwszy nadane zostały szlachcie rosyjskiéj na mocy wspomnianéj ustawy 1785 r., dotąd bowiem praw tych szlachta nigdy nie posiadała. Podług téj ustawy szlachta każdéj gubernii stanowiła oddzielną korporacyę, na któréj czele stali marszałkowie gubernialni i powiatowi, obierani przez zebrania szlachty. Zwykłe zebrania odbywały się co trzy lata; obierano na nich również prezesów oraz wszystkich członków sądów gubernialnych i powiatowych, jako téż sprawników i inne władze policyjne. Zebrania te rozpatrywały wnioski rządowe w sprawach miejscowych, układały memoryały do rządu, uchwalały składki pieniężne na swe potrzeby i prowadziły księgi rodów szlacheckich, prócz tego, w każdym powiecie ustanowione zostały rady opiekuńcze dla sierot szlacheckich.

Ustawa z r. 1785, znana w Rosyi pod nazwą „*żałowannaja gramota*", podniosła wysoko znaczenie szlachty. Paweł I zniósł był wprawdzie całą tę ustawę, lecz następca jego wkrótce przywrócił jéj moc, a nawet nadał szlachcie prawo zajmowania z wyborów posad prezezów i członków izb cywilnych i karnych. Taki stan rzeczy przetrwał aż do chwili uwłaszczenia włościan w r. 1861, które spowodowało znaczne uszczuplenie przywilejów służbowych szlachty. Reforma policyjna z r. 1862 pozbawiła szlachtę wyłącznego prawa do urzędów policyjnych w powiatach, reforma sądowa z r. 1864 zniosła szlachecką organizacyę sądownictwa, stwarzając sądy koronne i ziemskie, zaś reforma ziemska oddała całą gospodarkę powiatową ziemstwom, wobec czego zamknięto rozmaite komisye gospodarcze, w których dotąd wyłącznie zasiadała szlachta. W r. 1863 zwolniono od kar cielesnych wszystkie stany, prócz włościańskiego, w r. 1874 wprowadzono powszechną powinność wojskową, którą szlachta pełnić odtąd musi narówni z innemi stanami; tym sposobem liczne przywileje szlachty

upadły, jakkolwiek pozostawiono jéj rozległe pole działalności w ziemstwie. Zebraniom ziemskim obecnie przewodniczą z urzędu marszałkowie szlachty, którzy również stoją na czele urzędów powiatowych, mających ustrój kolegialny. Jakkolwiek wszystkie stany mają dziś udział w zarządzie spraw lokalnych, szlachcie jednak pozostawiono w nim najwybitniejsze, nawet dominujące stanowisko.

Panowanie cesarza Aleksandra III-go odznaczało się przychylniejszém usposobieniem rządu dla szlachty. Kategoryczne oświadczenie cesarskie podczas uroczystości koronacyjnych] w r. 1883 położyło kres nieuzasadnionym nadziejom włościaństwa jakiegoś nowego nadania gruntów kosztem posiadłości szlacheckich. W r. 1885, w setną rocznicę „żałowannéj gramoty", otwarto rządowy bank szlachecki, w roku 1886 wydano nowy regulamin o najmowaniu robotników wiejskich, w r. 1889 stworzono instytucyę naczelników ziemskich, mianowanych przez rząd z pośród miejscowéj szlachty dziedzicznéj, wreszcie w roku 1890 zapewniono szlachcie całkowitą przewagę w ziemstwach.

Wogóle rzec można, że szlachta rosyjska, która nigdy nie posiadała władzy politycznéj, pod względem znaczenia społecznego grała doniosłą rolę, zwłaszcza od czasów Katarzyny II, która rozciągnęła nad nią szczególną opiekę prawa.

Obecne stanowisko prawne szlachty rosyjskiéj reguluje się postanowieniami, zawartemi w IX tomie Zbioru Praw. Szlachta dzieli się na dziedziczną i osobistą. Dziedziczną szlachtę każdéj gubernii zapisuje się do ksiąg rodowych, przechowywanych w archiwach zebrań szlacheckich; księgi te dzielą się na 6 części: do pierwszéj należą rody, uszlachcone bezpośrednio z łaski Monarszéj, do drugiéj — rody, które uzyskały szlachectwo przez wysługę wyższych rang wojskowych, do trzeciéj — wyższych rang cywilnych lub orderów, do czwartéj wciąga się naturalizowane rody szlachty cudzoziemskiéj, do piątéj — rody utytułowane, wreszcie do szóstéj — starożytne rody, które istniały już co najmniéj sto lat przed wydaniem „żałowannéj gramoty" r. 1785-go. Szlachcicem dziedzicznym zostaje dziś każdy, który w służbie wojskowéj uzyskał rangę pułkownika, w służbie morskiéj — rangę kapitana I stopnia, zaś w cywilnéj — rangę rzeczywistego radcy stanu; otrzymanie tych rang powinno jednak nastąpić w czasie trwania służby rządowéj, udzielanie ich bowiem w postaci nagrody przy jednoczesnéj dymisyi nie nadaje szlachectwa dziedzicznego. Prawo do tegoż szlachectwa dają wszelkie ordery pierwszéj klasy, oraz wszystkie klasy orderu św. Włodzimierza i św. Jerzego, kupcy jednak w tych razach nie otrzymują szlachectwa, lecz obywatelstwo honorowe. Szlachcicem dziedzicznym zostać może również każdy urzędnik, którego dziad i ojciec

służyli nie mniéj jak 20 lat w randze, nadającéj prawo szlachectwa osobistego. O szlachectwo dziedziczne ubiegać się mają prawo starsi sułtanowie Kałmuków syberyjskich, którzy z wyborów trzykrotnie swój urząd spełniali.

Szlachectwo osobiste nabywa się albo z łaski Monarszéj, albo téż w drodze otrzymania na służbie rangi radcy honorowego lub ober-oficera. Osoby, które przy dymisyi otrzymały rangę rzeczywistego radcy stanu lub pułkownika, korzystają jedynie z praw szlachectwa osobistego. Szlachta osobista nie uczestniczy w samorządzie szlacheckim, natomiast w ziemstwie zrównana jest ze szlachtą dziedziczną. W sprawach karnych szlachcic podlega wyłącznie juryzdykcyi sądów okręgowych, nie zaś sądów pokoju, w których się rozstrzygają przestępstwa mniejszéj wagi, popełnione przez osoby innych stanów.

Samorząd szlachecki dotąd opiéra się na zasadach, wyrażonych w ustawie z r. 1785. Szlachta obiéra sobie marszałków, deputatów i sekretarza do zebrań szlacheckich, oraz asesorów do opieki szlacheckiéj. Wybory te odbywają się samodzielnie, gdyż gubernator po zagajeniu zebrania szlacheckiego winien salę posiedzeń natychmiast opuścić. Wybory szlacheckie odbywają się obecnie we wszystkich guberniach, posiadających ziemstwa, z wyjątkiem Wiackiéj, Permskiéj i Ołonieckiéj; w guberniach północno- i południowo-zachodnich wybory te zostały zawieszone od r. 1863, marszałków zaś szlachty i innych funkcyonaryuszów rząd mianuje tam bezpośrednio; w guberniach nadbaltyckich wybory odbywają się jeszcze podług dawnych zwyczajów miejscowych; wreszcie w Królestwie Polskiém szlachta nie posiada żadnéj organizacyi korporacyjnéj, i podlega zwierzchnictwu rządów gubernialnych.

Liczebność szlachty rosyjskiéj przedstawia się w zarysach nader niepewnych, gdyż do ostatniéj chwili nie czyniono żadnych prób w celu dokładnego zbadania téj kwestyi. Powszechny spis ludności, który się odbył w r. b., dostarczy niewątpliwie pewniejszych danych. Podług niezbyt nieścisłych wykazów urzędowych w r. 1858 szlachty dziedzicznéj było w Rosyi 609,973 osób, co stanowiło mniéj więcéj 1% ówczesnéj ludności całego państwa; w r. 1870 było jéj tylko 544,188 czyli mniéj więcéj $^{3}/_{4}$ % ludności. Szlachty osobistéj i urzędującéj w r. 1858 było 276,809, zaś w r. 1870 znacznie więcéj, gdyż 316,994, lecz ponieważ z pośród niéj tylko bardzo nieznaczna liczba osób uzyskuje z biegiem czasu szlachectwo dziedziczne, przeto przypuszczać należy, iż liczba ogólna szlachty dziedzicznéj w Rosyi prawie zupełnie nie wzrasta, lecz raczéj zmniejsza się; procent zaś, jaki szlachta dziedziczna stanowi w stosunku do ogółu ludności, niewąpliwie ulega szybkiemu obniżeniu w miarę znacznie szybszego rozrostu liczebnego stanów nie-

szlacheckich. W chwili obecnéj szlachta dziedziczna w ogólnéj liczbie 130 milionów ludności państwa stanowi zaledwie $^1/_2$ %. W każdym jednak razie liczba szlachty jest zbyt wielka, aby państwo mogło każdemu jéj przedstawicielowi zapewnić udział w rządach, zwłaszcza wobec konkurencyi szlachty osobistéj i osób innych stanów, osiągających coraz wyższy cenzus umysłowy, nadający w Rosyi prawo do służby rządowéj. Rząd przedsiębrał niekiedy środki w celu zmniejszenia liczby szlachty dziedzicznéj; np. już za czasów Piotra W. znaczna ilość szlachty i dzieci bojarskich w południowych guberniach (małoruskich) zapisaną została do stanu „jednodworców". W r. 1853 generalny gubernator kijowski, Bibikow, przeprowadził odszlachcenie przeszło 80,000 drobnéj szlachty w gub. kijowskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj; po r. 1863 wraz ze zniesieniem stanu „jednodworców", mnóstwo szlachty drobnéj, albo nie posiadającéj wyrobionych legitymacyi, zapisano w gub. zachodnich do stanów opodatkowanych — do mieszczan, kupców, przeważnie zaś do gmin włościańskich, jakkolwiek w rzeczywistości cała ta szlachta trudni się wyłącznie rolnictwem i w samorządzie włościańskim żadnego udziału nie bierze. Rząd również przedsiębrał środki w celu zatamowania nadmiernego przypływu świeżéj szlachty urzędniczéj. Za Piotra W. każdy ober-oficer lub asesor kolegialny zostawał szlachcicem dziedzicznym z chwilą otrzymania tych rang, względnie niskich; z biegiem czasu rangi, nadające szlachectwo dziedziczne, stopniowo podwyższano, aż wreszcie w r. 1856 postanowiono, iż tylko wysokie rangi rzeczywistego radcy stanu lub pułkownika udzielają szlachectwa; wobec tego przypływ szlachty dziedzicznéj został zredukowany do nieznacznych rozmiarów.

Powaga szlachty przedewszystkiém wypływać powinna z posiadania wielkich obszarów ziemskich. Temu warunkowi szlachta rosyjska czyni zadość, gdyż w ręku jéj pozostaje przeszło połowa własności ziemskiéj całego państwa, ale $^3/_4$ ziemi szlacheckiéj ześrodkowuje się w ręku największych właścicieli ziemskich, tak iż średnia własność ziemska reprezentowana jest w Rosyi, zwłaszcza centralnéj, nader słabo. Liczby urzędowe z r. 1878 podają ilość właścicieli ziemskich szlacheckiego pochodzenia na 114,716 osób, co jest chyba nie wiele, zwłaszcza, iż znaczna część téj szlachty mieszka w stolicach i większych miastach, zostawiając gospodarkę na opiece dzierżawców lub oficyalistów.

Pod względem etnograficznym szlachta w Rosyi przedstawia mieszaninę różnych żywiołów historycznych i narodowościowych. Rdzeń jéj stanowi oczywiście dawna szlachta moskiewska, oraz szlachta petersburska nowszych czasów; w guberniach małoruskich i ziemi Woj-

ska Dońskiego szlachtę, dość liczną, stanowią potomkowie dawnéj starszyzny kozackiéj. Znaczny odsetek wśród szlachty etnograficznie-rosyjskiéj, przedstawiają odpolszczone rody litewsko-ruskie, odniemczone rody szlachty nadbaltyckiéj, oraz zruszczone rody kaukaskie, a z dawniejszych czasów—tatarskie. Niwelujący wpływ kultury towarzyskiéj, idącéj wgłąb prowincyi od dworu cesarskiego, wspólna służba cywilna i wojskowa, wreszcie wspólne wychowanie szkolne — wszystko to w wysokim stopniu ułatwia wytworzenie jednostajnego typu szlacheckiego w Rosyi, właściwego stanowi, nie posiadającemu zbyt żywych tradycyi historycznych, ani nawet wspomnień o dawnych wpływach lub władzy politycznéj. Szlachta dziedziczna nadto nie rozrodziła się po całéj Rosyi: gubernie północne, wschodnie i syberyjskie wcale ziemskiéj własności szlacheckiéj nie posiadają; nawet w środkowych guberniach własność szlachecka pomieszała się na poły z posiadłościami zbogaconych kupców i mieszczan.

Przewaga większéj własności ziemskiéj i wypływający stąd brak najgłówniejszéj podstawy stanu szlacheckiego — licznéj i osiadłéj na wsi klasy średnich właścicieli ziemskich—jest jednym z największych szkopułów kwestyi szlacheckiéj w Rosyi. Uwłaszczenie włościan i zamożność innych stanów wytworzyły dla szlachty stałą konkurencyę, tak iż ziemia szlachecka przechodzić zaczęła powoli w obce ręce.

Od lat trzydziestu kwestya szlachecka nie przestaje zaprzątać umysłów, ale nigdy jeszcze nie wystąpiła ona tak wyraźnie, jak obecnie, gdy dla rolnictwa nadeszły czasy nader krytyczne, a warunki społeczne przeobraziły się w ogromnym stopniu, pociągając rdzenne zmiany. Prasa, która doszła już w Rosyi do pewnéj powagi, odtwarza obecnie jak najdokładniéj stan całéj téj kwestyi. Postaramy się więc dać możliwie treściwy obraz sprawy szlacheckiéj w Rosyi, opiérając się na wywodach pism różnych obozów. Najtrzeźwiéj na tę sprawę zapatrują się poważne miesięczniki rosyjskie, jak np. „Wiestnik Europy", liczący około 10,000 abonentów i stojący w obronie pojęć zachodnio-europejskich. Z dzienników od czasu do czasu zabiéra głos w sprawie szlacheckiéj „Nowoje Wremia"; jestto organ, nieprzychylny tendencyom szlacheckim i często zbywający je dowcipem; poważniéj natomiast traktują kwestyę „Petersburskija Wiedomosti", które upatrują w szlachcie żywioł potrzebny i pożyteczny dla państwa, lecz wymagają od niéj, aby szła z duchem czasu. Bezwzględnymi stronnikami szlachty są „Moskowskie Wiedomosti" i „Graždanin", które gorliwość swoją posuwają do ostateczności, udzielając miejsca najskrajniejszym teoryom o przewadze szlachty w życiu państwa.

Największą wagę w chaosie tych sprzecznych zdań posiadają bezwątpienia poglądy umiarkowanych przedstawicieli saméj szlachty, z którymi solidaryzują się sfery rządowe. Naszém zdaniem, poglądy te wypowiedział najlepiéj B. Czyczeryn w artykule o stanie obecnym szlachty rosyjskiéj, zamieszczonym w „S.-Petersburskich Wiedomostiach" na początku r. b. Autor za czasów uwłaszczenia włościan i wielkich reform w pierwszym okresie panowania Aleksandra II-go pokładał nadzieje we współdziałaniu szlachty z rządem i obecnie twierdzi, że nadzieje te w znacznym się stopniu ziściły. Z pośród szlachty bowiem wyszły zastępy komisarzy włościańskich (*mirowyje posredniki*), którzy najwięcéj przyczynili się do urzeczywistnienia dzieła uwłaszczenia. Szlachta stanęła również na czele nowopowstałych instytucyi ziemskich i zapełniła szeregi sędziów pokoju. Powodzenie tych instytucyi należy niemal wyłącznie zawdzięczać szlachcie, która pracowała nietylko dla siebie, lecz i dla innych stanów. Zarząd cywilny Rosyi spoczywał wówczas prawie całkowicie na barkach marszałków powiatowych, którzy przewodniczyli zgromadzeniom ziemskim, zarządom powiatowym, radom szkolnym, urzędom rekruckim, zjazdom sędziów pokoju i urzędom ziemskim. Największą aureolą szlachta otoczona była właśnie w epoce następującéj bezpośrednio po uwłaszczeniu włościan. Z biegiem czasu stanowisko szlachty uległo, zdaniem autora, znacznemu pogorszeniu, gdyż uszczuplenie praw samego ziemstwa było zarazem zmniejszeniem praw szlachty, która dotąd w ziemstwie szukała dla siebie kompensaty za uszczerbki, poniesione przy uwłaszczeniu jéj poddanych. Utworzenie odrębnych urzędów do spraw włościańskich, w których zasiadali członkowie (*niepremiennyje czleny*) z ramienia rządu, było widocznem zmniejszeniem wpływu ziemstwa i szlachty, biorącéj w niém udział, na losy włościańskie. Mimo to, rząd poszedł jeszcze daléj w tym kierunku i pozbawił ziemstwo całkowicie wszelkiego wpływu na sprawy włościańskie, mianując ze swego ramienia rządowych „naczelników ziemskich", posiadających nietylko władzę administracyjną, lecz i sądową w sprawach włościańskich. Obieralne sądy pokoju zostały zniesione, bo naczelnicy ziemscy zajęli ich miejsce. W ten sposób biurokracya dotarła do głębi powiatów, zaś marszałkowie szlachty utracili swoje znaczenie. W zreformowanych instytucyach ziemskich szlachta otrzymała prawo odrębne od innych stanów reprezentacyi, co zresztą nie stanowiło dla niéj żadnéj wygranéj, gdyż wyodrębnienie szlachty z pośród innych stanów rolniczych, zniweczyło naturalny związek własności ziemskiéj większéj i mniejszéj. Dla szlachty utworzono nawet oddzielny bank, którego zadaniem jest udzielanie szlachcie pożyczek na niski procent. Łatwość otrzyma-

nia pożyczki i chęć użycia pieniędzy doprowadziły wielu do ruiny; nieprzychylne okoliczności zostały spotęgowane przez warunki rynku wszechświatowego, wielce dla Rosyi niekorzystne. Wówczas zgromadzenia szlacheckie zaczęły zwracać się do rządu o pomoc; zwoływane jednak na prędce rady marszałków gubernialnych celu nie osiągały. Projektowano poddawać opiece rządowéj majątki szlacheckie, wystawiane na licytacyę; zamierzano używać na potrzeby szlacheckie część podatków ściąganych z posiadłości ziemskich; chciano wreszcie wyjednać pozwolenie na najszersze zastosowanie do dóbr ziemskich zasady niezbywalności (*zapowiednyja imienija*). Kardynalną wadą tych projektów, podług B. Czyczeryna, było to, iż kwestyę rozpatrywano wyłącznie z punktu widzenia stanowego, gdy tymczasem chodziło o sprawę podniesienia gospodarstw rolniczych. Zaradzić biedzie zdołaliby tylko specyaliści, a nie marszałkowie szlachty. Bardzo ciekawą jest następna argumentacya B. Czyczeryna: „Szlachectwo nie jest instytucyą dobroczynną, która powinna być utrzymywana z ofiar społeczeństwa. Państwo potrzebuje trwałych elementów, na których mogłoby się opiérać. Państwowe znaczenie szlachty polega na jéj zdolności stania na własnych nogach; oddawna przecież nazywano szlachtę pierwszą opoką tronu. Cóż to za opoka, która wymaga, by ją podtrzymywano?” Autor uznaje w zupełności konieczność utworzenia w Rosyi klasy niezależnych właścicieli ziemskich, biorących decydujący udział w sprawach lokalnych. Szlachta dotąd czyniła zadość téj potrzebie, dlatego też upadek jéj stanowi stratę dla państwa i złośliwe zadowolenie wrogich jéj żywiołów należy złożyć chyba na karb ich lekkomyślności. Szlachta wszakże nie powinna sama dawać powodów do podobnych objawów radości, usiłując bowiem wyodrębnić się z pośród innych stanów i wołając o różne ulgi, źle sama o sobie świadczy. Należy zatém polegać tylko na własnych siłach, nie uskarżać się na złe czasy i śmiało w przyszłość spoglądać. Niewątpliwie wielu zginie w trudnéj walce o byt, lecz pozostanie „zdrowe jądro — ci, którzy będą stali na własnych nogach, o to bowiem chodzi zarówno krajowi, jak i państwu.” W samym końcu swego artykułu p. Czyczeryn przewiduje szybkie zniwelowanie stanów, które wypłynie z rozwoju ogólnéj swobody obywatelskiéj. Niepowodzenia ekonomicznie zwykle ten proces przyśpieszają, dzisiejsze zaś przesilenie ekonomiczne ma wszelkie cechy zjawiska historycznego, oddziaływającego stanowczo na stosunki stanowe. Z owego rozkładu wykwitną jednak zdrowe siły, które obiorą sobie nowe drogi—i na nich polegają nadzieje Rosyi.”

Słuszność tych poglądów nie ulega kwestyi, lecz autor ich, za-

prząťnięty interesami szlachty, nie zawsze sprawiedliwie odzywa się o innych stanach.

Podług „Wiestnika Europy" autor np. niesłusznie twierdzi, że korzyści, jakie ludność osiągnęła z zaprowadzenia ziemstw i sądów pokoju, przypisać należy wyłącznie pracy przedstawicieli stanu szlacheckiego. Dość powołać się na ziemstwa w guberniach permskiéj i wiackiéj, w których szlachta wcale nie istnieje, a które mimoto wyprzedziły pod wielu względami gubernie centralne, gdzie szlachta rodowa zamieszkuje oddawna. Działalność marszałków szlachty, na którą tak silny nacisk kładzie B. Czyczeryn, była raczéj pozorną, niż rzeczywistą, ograniczała się bowiem przeważnie do honorowego prezydowania w licznych urzędach powiatowych. Jeżeli zresztą szlachta zdziałała wówczas wiele dobrego, to raczéj dlatego, że wśród niéj było wiele ludzi wykształconych; wpływ zatém szlachta wywierała nie jako korporacya, lecz jako zbiór jednostek wykształceńszych i ożywionych dobrą wolą.

Również nie wydaje się „Wiestnikowi Europy" słusznem to wszystko, co B. Czyczeryn pisze o zazdrości, żywionéj względem szlachty przez inne stany. Niepodobna mówić o zazdrości innych stanów, gdyż w Rosyi nie ma właściwie stanu, któryby o tę zazdrość mógł być posądzony. Przedewszystkiém Rosya nie posiada burżuazyi, owéj naturalnéj spadkobierczyni szlachty w Europie. Stan kupiecki, dość potężny w Rosyi, nie ma najmniejszego powodu do zazdroszczenia szlachcie; zresztą kupiectwo nie jest właściwie stanem, gdyż, jak wiadomo, nie jest dziedziczne i odnawia się przez zwykłe kupienie świadectw kupieckich. Wobec tego można chyba mówić o zawiści pojedyńczych kupców, nie zaś całego kupiectwa, jako stanu.

Głosy z obozu prasy, broniącéj bezwzględnie przywilejów i przewagi szlachty, niewątpliwie posiadają doniosle znaczenie wśród innych zdań. Liczne artykuły, jakie sprawie szlacheckiéj poświęca dawny organ Katkowa „Moskowskija Wiedomosti", odznaczają się wielką namiętnością, ale téż jednostajnością i brakiem wyraźnéj myśli przewodniéj. Przedewszystkiém pismo to pragnie uzasadnić pogląd na państwowe znaczenie szlachty jako stanu i dlatego nader usilnie przekonywa czytelników, że szlachta powołana jest do rządzenia sprawami Rosyi w charakterze historycznego stanu urzędniczego (*służyłoje sosłowije*). Publicystom z „Moskiewskich Wiedomosti" wydaje się, że dwory szlacheckie są naturalnemi punktami administracyjnemi, że należy oddać w ręce szlachty wszelką władzę miejscową, a wówczas wszystko pójdzie jak najlepiéj pod kierunkiem owych „stu tysięcy policmajstrów", jak niegdyś wyraził się cesarz Paweł I-szy. Oczywiście,

„Moskowskija Wiedomosti" nie mają na myśli stanowczego powrotu do czasów pańszczyźnianych, lecz cokolwiekbądź, propagują obdarzenie szlachty silną władzą wykonawczą, a nawet wprost policyjną. Pismo to nie wyjawia otwarcie swoich marzeń, mówiąc tylko ogólnikowo „o przywróceniu pełnomocnictwa państwowego szlachcie." Uwłaszczenie włościan, podług „Moskowskich Wiedomosti", odbyło się w sposób, który pogorszył dobrobyt szlachty, zaś doli włościan nie polepszył, chociaż pogorszenie się dobrobytu szlachty naprawdę przypisać należy nie reformie włościańskiéj, lecz nieumiejętności szlachty dostosowania się do nowych warunków bytu. Prawdą jest również, że i polepszenie doli włościan nie nastąpiło w pożądanym stopniu, lecz nie upadek szlachty przyczynił się do tego, jeno niepomyślne okoliliczności czasów późniejszych, nic wspólnego z uwłaszczeniem nie mających.

Dziennik moskiewski, walcząc za obdarzenie szlachty władzą wykonawczą i uważając to za jedyny sposób wyjścia z nienormalnego stanu rzeczy, ogranicza swe żądania tylko do środkowych gubernii Cesarstwa. Oczywiście, gubernie zachodnie ani nawet wschodnie (permska, wiacka) na zaufanie téj gazety nie zasługują. Wypadłoby utrzymać obecny stan rzeczy w guberniach zachodnich, a przynajmniéj zaczekać, póki te gubernie całkowicie się zrusyfikują. Cóż to za środek — czyni uwagę „Wiestnik Europy" — który dobry jest dla jednéj części państwa, dla innych zaś nieodpowiedni? Ustrój administracyjny, będący marzeniem pisma moskiewskiego, niedokładny jest już przez to, że wywołałby podwójny system rządzenia, co byłoby rzeczą całkiem dla państwa wadliwą.

Istnieje pewien ciekawy argument, którym się chętnie posługują „Moskowskija Wiedomosti". Oto twierdzą one, że „zdolność rządzenia" posiada tylko szlachta dziedziczna, która wskutek odwiecznych tradycyi umié rządzić samodzielnie, nie zaś samowolnie, jak rządzą ludzie, pochodzący z innych warstw społecznych. Szlachta zawsze uważała służbę państwową nie za przywiléj, lecz za powinność. Oto charakterystyczny ustęp z artykułów „Moskowskich Wiedomosti"- „Bez wychowawczego i umoralniającego wpływu sfery szlacheckiéj, dorobkiewicze i szczęśliwi karyerowicze mogą stać się nietylko szkodliwymi, lecz i niebezpiecznymi dla państwa. Ci „przypadkowi" ludzie, jak świadczą dzieje Rosyi, mogą wprawdzie posiadać świetne zdolności, mogą się odznaczać dokładną znajomością rzeczy, niezwykłą pracowitością, lecz mają bardzo słabą stronę — mianowicie brak im zasad politycznych, brak zrozumienia obowiązku i bezgranicznego oddania się panującemu."

Przytoczone przykłady dostatecznie malują poglądy „Moskowskich Wiedomosti". Dodajmy, że pismo to nieraz wpada w gwałtowną polemikę i ma zwyczaj zarzucania swoim przeciwnikom nielojalności.

„Graždanin" — pismo ks. Mieszczerskiego, z którego poglądami wpływowa opinia publiczna w Petersburgu nieraz się liczyła i jeszcze liczy, jakkolwiek jestto organ raczéj samego księcia, niż zorganizowanego stronnictwa, w ostatnich miesiącach zapełnia się niemal wyłącznie artykułami w sprawie szlacheckiéj. Książę najusilniéj przemawia za polepszeniem bytu szlachty i ma wiele punktów stycznych z „Moskowskiemi Wiedomostiami"; różni się jednak tém, że chce całą sprawę oprzéć na zasadach sprawiedliwości i słuszności. Nie wiedząc, jak najlepiéj trafić do przekonania sfer decydujących, książę nie waha się twierdzić, że uwłaszczenie włościan przeprowadzone zostało w sposób wprost niesprawiedliwy, oraz że kiedy władza najwyższa, która mogła się p o m y l i ć w wyborze środków, tę niesprawiedliwość zrozumié, to niewątpliwie stanowi szlacheckiemu pośpieszy z pomocą.

Jestto rzecz skądinąd oryginalna, że „Graždanin" uważa za wrogów sprawy szlacheckiéj — szlachtę petersburską, zwłaszcza stale zamieszkałą w stolicy nadnewskiéj. Szlachta petersburska zawiniła w obliczu „Graždanina" zbytniém oddaniem się reformom Aleksandra II-go, i europejskim liberalizmem, natomiast szlachta wiejska dotąd jeszcze oddycha zdrowemi tradycyami i wraz z ozonem wciąga w swe piersi „żywiołowe ideały" dawnych czasów. „W Petersburgu całkiem inaczéj — uskarża się książę. — Wszyscy tu, z góry aż do dołu, wychowują się w otoczeniu z jednéj strony kosmopolityczném i zachodnio-europejskiém, z drugiéj zaś — urzędniczo - inteligentném. W téj atmosferze niemasz nic pozytywnego, nic stałego, nic historycznego, nic narodowego, nic uświęconego, nic surowo przestrzeganego. Przeciwnie, wszystko tu jest warunkowe i niepewne, a więc nietrwałe i nieokiełznane, albowiem wszyscy myślą nie o tém, w jaki sposób należy uczynić zadość potrzebom życia rosyjskiego, lecz o tém, jak pogodzić wymagania europejskiéj cywilizacyi politycznéj, opacznie zrozumianéj, z potrzebami państwa rosyjskiego, zrozumianemi jeszcze opaczniéj."

Jestto, rzecz prosta, bardzo jednostronny pogląd, podyktowany przez niechęć dla sfer urzędniczych, z któremi szlachta petersburska ściśle się łączy przez stosunki służbowe i towarzyskie. Wogóle prasa tego autoramentu, co „Moskowskija Wiedomosti" i „Graždanin", bardzo chętnie rozprawia o „wrogach" szlachty. Pomijając sfery urzędnicze, które stale są oskarżone o nieprzychylność dla szlachty rodowéj, „Graždanin" upatruje nieprzyjaciół szlachty w t. zw. klasie „inteligen-

tów", czyli ludzi wolnych profesyi, dziennikarzy, uczonych i nauczycieli.

„Głównym wrogiem szlachty — poucza D. Bodisko na szpaltach „Grażdanina" — jest „inteligent", którego ideały i zasady polegają na dążeniu do szablonowéj równości, wynalezionéj w Europie zachodniéj. Do inteligentów zaliczyć należy wykształcone żydostwo, które walczy o równość, gdyż w krajach, gdzie ta równość istnieje, żydzi zdołali osiągnąć przewagę i zapełnić szeregi arystokracyi pieniężnéj, korzystając z jéj praw, lecz nie chcąc dźwigać na sobie jéj obowiązków. Do „inteligentów" w powyższém znaczeniu należy zaliczyć Polaków, którzy zawsze radzi bronią wszystkiego, co osłabia Rosyę... Związek „inteligentów" rosyjskich, Polaków i żydów—oto główny żywioł, występujący przeciw szlachcie, jako stanowi, gdyż pojęcie stanu wyklucza pojęcie równości... *Unisono* z tymi panami — śpiéwa arystokracya ziemska, która ma stanowiska zapewnione i uważa się za wyższą nad zwykłą szlachtę wiejską."

Pan D. Bodisko o urzędnikach pochodzenia szlacheckiego tak się wyraża: „ludzie ci skończyli już rachunki ze wsią, odzwyczaili się od niéj, zapomnieli lub raczéj nie wiedzieli wcale o znaczeniu kulturalném szlachty. Życie ich polega na wyczekiwaniu dnia 20-go w miesiącu [1]); umysł ich karmi się prasą stołeczną, a rozwija się w Towarzystwie Wolno-ekonomiczném i innych, gdzie się zbiérają urzędnicy-teoretycy i profesorowie, dla których życie po za murami miasta jest tak niezrozumiałe, jak życie na Marsie lub księżycu. Panowie ci kuszą się o rozstrzygnięcie losów Rosyi pod względem społecznym, ekonomicznym i politycznym!..."

Do tych głosów prasy należy dodać, dla wyraźniejszéj charakterystyki, zdania, wychodzące bezpośrednio z ust przedstawicieli szlachty. W tymże „Wiestniku Europy", który rozbiérał poglądy B. Czyczeryna, napotykamy znaczący ustęp z mowy, wygłoszonéj przez hr. Bobryńskiego, marszałka gubernialnego szlachty petersburskiéj:

„Dopóki kwestya polegała na ustawicznéj walce szlachty z zazdrośnikami, była to rzecz zwykła i powody do szczególnego niepokoju nie istniały. W ostatnich wszakże czasach pojawiły się mylne zdania o szlachcie, zgodne z oskarżeniami jéj nieprzyjaciół i znalazły odgłos w sądach osób rządowych, a nawet jawnie wygłaszane są w dokumentach, posiadających urzędową powagę. Twierdzą niektórzy otwarcie, że utrudniony stan i zadłużenie szlachty nie powinny wywoływać utożsamiania interesów pewnéj grupy właścicieli ziemskich z ogólno-pań-

---

1) Data wypłaty pensyi urzędnikom.

stwowemi interesami kraju... Nie, nie jesteśmy pewną grupą właścicieli ziemskich! Jesteśmy przedstawicielami własności ziemskiéj całéj Rosyi, przedstawicielami potrzeb zarówno własnych, jak włościańskich i ogólno-państwowych. Szlachta zawsze była wyrazicielką potrzeb ogólnych... Szlachta pozostała wierną odwiecznym tradycyom. Sztandaru swego nie porzucimy nigdy: w nim spoczywa siła nasza. Wiedzą o tém dobrze nasi przeciwnicy, lecz niech nam wolno będzie zapewnić, że sami również dobrze o tém pamiętamy. My więc, jako szlachta, jesteśmy przedstawicielami potrzeb ziemi rosyjskiéj i wskutek tego jesteśmy przedewszystkiém ludźmi „ziemskimi”!... Imiona nasze mogą zaginąć, rody upaść, ziemia—przejść w inne ręce, lecz oświecona i postępowa reprezentacya ziemi rosyjskiéj nigdy nie zniknie. Nie wyrzekamy się reform; gotowiśmy iść z duchem czasu. Nie byliśmy nigdy kastą feudalną! Grupą w sobie zamkniętą nie chcemy być... lecz żeby szlachta w Rosyi miała wyginąć... żeby tronowi zabrakło téj niewzruszalnéj opoki... nie, panowie, to nigdy nie nastąpi!“

Mowa ta, wygłoszona przez ustępującego marszałka szlachty na pożegnalnéj uczcie, wybornie maluje obecny nastrój umysłów w petersburskich sferach szlacheckich. Jest w niéj pewna cecha charakterystyczna, mianowicie gotowość pójścia z duchem czasu, która, jak już widzieliśmy, nie podoba się „Grażdaninowi“ i jego korespondentom „z Rosyi środkowéj“, gdzie szlachta „wraz z ozonem“ wdycha dawne przekonania społeczne. „Wiestnik Europy“, oceniając dość przychylnie tę mowę, nie zgadza się jednakże na twierdzenie hr. Bobryńskiego, jakoby szlachta była wyłącznym wyrazicielem potrzeb ogólnych; wiadomo, że szlachta w Rosyi posiada prawo wyrażania swych życzeń (*chodatajstwowat'*) wobec rządu, lecz korzysta z niego jedynie we własnych sprawach i nie raz wbrew interesom innych stanów. Mowa hr. Bobryńskiego posiada przeto cechę raczéj panegiryczną, niż programową i powinna być brana pod uwagę, jako wyraz nastroju liberalniejszéj części szlachty petersburskiéj. Nastręcza się pytanie, gdzie szukać należy rozwinięcia programu szlachty lub stronnictwa, domagającego się nowych reform dla tego stanu? Widzieliśmy już, jak ogólnikowo wyrażają się o aspiryacyach stanu szlacheckiego tacy obrońcy jego, jak „Moskowskija Wiedomosti“ i „Grażdanin“. Przywrócenie szlachcie dawnego znaczenia — oto *desideratum* tych pism. Dawne zaś znaczenie szlachty polegało, według ich zdania, na służbowych przywilejach stanu. Szlachta — była to klasa ziemiańsko-urzędnicza, powołana do rządzenia nie państwem wprawdzie, lecz powiatami, guberniami, a z czasem nawet całemi ziemstwami, które w założeniu swojém

są wszechstanowe. Aspiracye popleczników „Moskowskich Wiedomosti“, jakkolwiek niejasno wyrażane i jakby ukrywane z umysłu, nie są jednak tak dalece tajemniczemi, żeby ich nie można było całkowicie zgłębić. Czyni to właśnie „Wiestnik Europy“, który z pewną dozą sarkazmu rozwija program stronnictwa szlacheckiego w duchu moskiewskiego organu ze Strastnego bulwaru: „Nie pomylimy się, odgadując główne punkta tego programu: policya dominialna (dosłownie *wotczynnaja policija*), t. j. prawo każdego szlachcica-ziemianina lub jego pełnomocnika do przestrzegania porządku na ziemi własnéj i gruntach sąsiada nie-szlachcica, połączone z władzą dyscyplinarną nad nieuprzywilejowanymi burzycielami spokoju, zwłaszcza nad niepokornymi i niepoprawnymi robotnikami wiejskimi; obsadzanie szlachtą ziemską, z polecenia powiatowego marszałka, nietylko urzędu naczelnika ziemskiego, lecz i wielu innych urzędów—policyjnych (sprawnicy, asesorowie), skarbowych (inspektorowie podatkowi), agronomicznych (agronomowie powiatu), administracyjno-naukowych (inspektorowie szkół początkowych), z pominięciem wszelkiego censusu umysłowego, a w niektórych wypadkach nawet majątkowego, lecz przy bezwarunkowém przestrzeganiu censusu stanowego; daléj—zwiększenie liczby naczelników ziemskich i podniesienie im pensyi; rozszerzenie ich władzy i zwolnienie ich, jako sędziów, od formalistyki postępowania sądowego, czyli innemi słowy, ostateczna zamiana administratorów-sędziów na administratorów czystéj krwi, obdarzonych, między innemi, i władzą sądową; zamiana obieralnych władz włościańskich przez władze, mianowane z ramienia naczelników ziemskich; obniżenie samodzielnych zebrań gminnych i gromadzkich do roli organów doradczych przy naczelniku ziemskim; zaprowadzenie instytucyi honorowych naczelników ziemskich w miejsce honorowych sędziów pokoju; całkowite usunięcie z pod kontroli senatu lokalnych instytucyi sądowo-administracyjnych.“

Program taki, podpowiedziany szlachcie przez ironizujący „Wiestnik Europy“, nie wiele w rzeczy saméj mija się z ogólnym duchem artykułów „Moskowskich Wiedomosti“ i „Graždanina.“ Gdyby został wykonany, co jest rzeczą poniekąd niemożliwą, szlachta rosyjska (a przynajmniéj najbardziéj nieprzejednani w jéj łonie), ujrzałaby ziszczenie najśmielszych swych marzeń, ponieważ by odzyskała oddawna utracone „miejscowo-służbowe znaczenie“, które stało się obecnie hasłem najbardziéj przez nią umiłowaném.

Przejdźmy teraz od prasy do danych z życia społecznego. Na gruncie realnym stan szlachecki dotąd jeszcze wyraźnych żądań nie stawia. Zwyczajne i nadzwyczajne zebrania szlacheckie w różnych

guberniach występowały wprawdzie z rozmaitemi projektami, lecz były to tylko projekta. Wśród tych projektów wyróżniają się dwa, nad któremi rozprawiano na zebraniach szlachty w gubernii tulskiéj. Pierwszy projekt polega na wyjednaniu od rządu specyalnego *moratorium* dla niezmiernie licznych dłużników rządowego banku szlacheckiego, które ma polegać na tém, iż w ciągu lat trzech dłużnicy mają być zwolnieni od obowiązku płacenia rat terminowych pod warunkiem, że raty te mają być uiszczone (bezprocentowo) w ciągu trzech lat, następujących po upłynięciu terminu pożyczek, zazwyczaj rozłożonych na lat kilkadziesiąt. Drugi projekt polega na utworzeniu funduszu szlacheckiego wzajemnéj pomocy, który ma powstać przez dodatkowe pobieranie z gruntów szlacheckich sumy, jaka została zniesioną na podstawie manifestu koronacyjnego z r. 1896 (wówczas państwowy podatek gruntowy został obniżony o połowę). Rzecz prosta, że oba te projekty napotkały wielu przeciwników nie tylko w prasie lecz i wśród pewnéj części szlachty, która nie zaciągnąwszy żadnych długów w banku szlacheckim, nie uczuwa chęci ponoszenia kosztów na podtrzymywanie sąsiadów, zadłużonych w banku.

Istnieje wreszcie jeszcze jeden projekt, omawiany parokrotnie na zebraniach szlachty, mianowicie wprowadzenie w życie instytucyi majątków niezbywalnych, przechodzących tylko drogą spadku. Są to tak zw. „*zapowiednyja imienja*”, co do których przeciwnicy szlachty robią słuszną poniekąd uwagę, że wytworzą one legalną klasę upadłych obywateli, których państwo i społeczeństwo, na mocy przymusu prawnego utrzymywać będą musiały. Gdy bowiem obecnie szlachcic popadnie w ruinę, nikt mu nie broni wyzucia się ojcowizny i poszukiwania gdzieindziéj lepszego losu; po wprowadzeniu zaś w życie zasady niezbywalności dóbr ziemskich, podupadły dziedzic będzie mimowoli grał rolę urzędowego bankruta, któremu pośrednio wszyscy nieść pomoc powinni. Przeciwko temu rozliczaniu na obcą pomoc, zwłaszcza na pomoc państwa, usilnie powstaje wspomniany już wyżéj B. Czyczeryn, który wygłosił zdanie, że państwo nie jest zakładem dobroczynnym.

Gorące te rozprawy w zgromadzeniach szlacheckich zwróciły uwagę sfer rządowych, które w interesie dobra ogólno-państwowego, zamierzyły tę kwestyę skierować na drogę prawodawczą, stwierdzając tém niejako jéj doniosłość dla państwa.

Istnienie kwestyi szlacheckiéj w Rosyi i krytyczny stan ziemian nie ulegają obecnie najmniejszéj wątpliwości. Ustawiczne skargi właścicieli ziemskich na ciężkie czasy w rolnictwie obok wskrzeszonych zachcianek szlachty do przewodniczenia innym stanom, są wymownym

dowodem, że sprawa szlachecka stoi na porządku dziennym i roztrząsana jest już w odpowiednich instytucyach społecznych i państwowych. Najwyższa władza sama wreszcie uznała istnienie téj kwestyi, i początkiem jéj rozwiązania stał się reskrypt Cesarski na imię prezesa komitetu ministrów, sekretarza stanu Durnowo, ogłoszony w kwietniu r. b. W reskrypcie tym powiedziano, iż utrudniony byt szlachty stanowi przedmiot szczególnéj uwagi Monarszéj i że szlachta powinna dla dobra Rosyi utrzymać się na dotychczasowém stanowisku. W celu wynalezienia sposobów, mogących przynieść ulgę szlachcie, prezesowi komitetu ministrów rozkazano stanąć na czele specyalnie utworzonéj rady, do któréj weszli ministrowie: dworu Cesarskiego i apanaży, spraw wewnętrznych, rolnictwa i dóbr państwa, sprawiedliwości, skarbu oraz cztery osoby z liczby wyższych urzędników dworskich i państwowych.

Reskrypt wywołał rozmaite przewidywania co do możliwego rozstrzygnięcia kwestyi, które znane nam są z nowych rewelacyi prasy. „Moskowskija Wiedomosti" oczekują całkowitéj reformy i przypisują jéj zawczasu nie mniejsze znaczenie, niż wielkiéj reformie włościańskiéj z r. 1861. Przywrócenie szlachcie mandatu państwowego, w tym stopniu, jak żąda to pismo, uważać należy za nieprawdopodobne i niemożliwe ze względu na dokonane uwłaszczenie włościan. Rzecznicy szlachty usiłują jednak uzasadnić przynajmniéj częściowy powrót do dawnych porządków, które wystawiają w najpiękniejszém świetle. Szlachta ówczesna—twierdzą oni — prócz władzy patrymonialnéj nad włościanami (czyli poprostu praw pańszczyźnianych), miała w swych rękach powiatową policyę i sądy, reprezentowała potrzeby całego stanu rolniczego w rozlicznych komisyach, posiadała wyłączny przywiléj samorządu gubernialnego, a najwyższy jéj przedstawiciel — marszałek gubernialny—zajmował drugie miejsce zaraz po gubernatorze. Wogóle cały zarząd lokalny wówczas był „szlacheckim." Reforma 1861 r. miała jakoby obniżyć znaczenie szlachty. W istocie jednak szlachta, jakkolwiek utraciła swe przywileje, zyskała po r. 1861 daleko żywotniejszy wpływ na sprawy lokalne już to w ziemstwie, już to w różnych zarządach powiatowych, gdzie jéj marszałkowie posiadali prawo przewodniczenia, jak wiemy z artykułu B. Czyczeryna. Lecz „Moskowskija Wiedomosti" tego nie chcą zrozumieć: stan rzeczy z przed r. 1861 wciąż wydaje się im najidealniejszym. Pozwolimy sobie przytoczyć złośliwą charakterystykę owych czasów, naszkicowaną przez „Wiestnik Europy:" „Przedreformowe sądy i policya były synonimem łapownictwa i samowoli; przedreformowa „gospodarka lokalna" — gniazdem martwego formalizmu i rutyny; przedreformowe zebrania szlacheckie — ogniskiem intryg osobistych; przedreformowe wybory

szlacheckie, rozdawnictwem większych i małych synekur (*kormlenij*). Sędzia powiatowy, wodzony za nos przez sekretarza; sprawnik ziemski—obrany z pośród zrujnowanych obywateli lub „*dentystów*"; prezes izby sądowéj, rozważający nie tyle słuszność stron prawujących się, ile ich wpływy wyborcze lub stanowisko społeczne; asesor szlachecki, wiedzący o sprawach tylko ze słuchu; deputat, stwierdzający zgodność nieprzeczytanych i nawet nieoglądanych rachunków; większy wyborca, prowadzący za sobą mnóstwo drobnych — wszystko to są postaci typowe, utrwalone w historyi i w literaturze."

Mniejsza jednak o tę charakterystykę. Dziś w Rosyi nikt chyba nie wątpi, że wobec tych wszystkich wad, jakie posiadał dawny „szlachecki" porządek rzeczy, reformy Aleksandra II były istném dobrodziejstwem dla całego narodu, a zwłaszcza prowincyi. Były one także dobrodziejstwem dla saméj szlachty, którą wprowadziły na normalne tory pracy społecznéj z zachowaniem jéj wydatnego stanowiska, a wszystkie utyskiwania rzeczników szalchty nie mają głębszéj podstawy. Jednakże nadzieje ich nie tylko nie ustają, lecz przybierają nieraz cechę widocznéj przesady. Marszałek szlachty gubernii saratowskiéj P. Krywskij, w ostatnim swym memoryale, aprobowanym przez zebranie szlachty, twierdzi, jakoby sfery rządowe i towarzyskie przejęte były wrogiem usposobieniem i obojętnością dla zasad szlacheckich, poczynając od chwili uwłaszczenia włościan aż do ostatnich niemal czasów. Rząd zwracał jakoby wyłącznie usiłowania swoje ku polepszeniu bytu włościan, nie roztaczając opieki nad szlachtą. W istocie zaś rząd, jak już wiemy z przytoczonych faktów, poczynił bardzo poważne kroki dla poprawienia losu szlachty, jakiemi były np. założenie banku szlacheckiego, reglamentacya najmu robotników wiejskich, zaprowadzenie instytucyi naczelników ziemskich, nadanie szlachcie przewagi w ziemstwach. Wszystkie te kroki stronnicy „Moskowskich Wiedomosti" nazywają „nieśmiałemi półśrodkami paliatywnemi". Jakich zaś „stanowczych" środków wyczekują oni—trudno się domyślić; wyrazy „przywrócenie szlachcie mandatu państwowego" nie tłómaczą dostatecznie rzeczy; nie rozstrzyga tego pytania i dowcipnie podsunięty szlachcie program „Wiestnika Europy", zawierający w pierwszym punkcie żądanie wskrzeszenia archaicznéj policyi „wotczynnéj." Przypuśćmy z „Wiestnikiem Europy", że szlachcie udzieloném zostało prawo do owéj policyi i do urzędów sądowych, oraz innych urzędów powiatowych (agronomów, inspektorów szkół i t. d.). Gdyby posady te mogły zajmować tylko osoby mianowane z pośród miejscowéj szlachty z pominięciem censusu umysłowego, nastąpiłby niechybny powrót do dawnych czasów, kiedy ani sędziów ani urzędni-

ków nie obowiązywało żadne wykształcenie, sprawy zaś spoczywały w ręku sekretarzy lub pisarzy. Jak wiadomo, rząd wymaga dziś od sądowników a nawet naczelników ziemskich wyższego wykształcenia. Czyżby census umysłowy miał całkowicie paść ofiarą interesów stanu? Gdyby projekt policyi „wotczynnéj" brano na seryo, to niepodobna przypuścić, żeby dla obsadzenia wszystkich posad policyjnych wystarczyła niewielka stosunkowo liczba odpowiednio wykwalifikowanych ziemian, stale w swéj okolicy zamieszkała. W braku takich ziemian wypadałoby władzę policyjną oddawać w ręce ich pełnomocników lub dzierżawców; przywiléj publiczny stałby się wówczas prywatnym. Żądania takie trącą oczywistym anachronizmem i nie ma wątpliwości, iż rząd na nie uwagi nie zwraca.

W reskrypcie Cesarskim z kwietnia r. b. przedewszystkiém zwrócono uwagę na utrudniony byt szlachty, który jak wiadomo, datuje się od niedawna i jest wynikiem ciężkich dla rolnictwa okoliczności, mianowicie złych urodzajów, obniżenia cen zboża i dzierżawy, drożyzny robotnika, bankructwa starych systemów gospodarki rolnéj i t. d. Chodzi więc rządowi o poprawę bytu materyalnego szlachty osiadłéj na wsi, ażeby dać jéj możność swobodnego pełnienia służby państwowéj i społecznéj oraz uchronienia jéj przed liczebnym upadkiem, czyli wogóle chodzi o zapewnienie jéj „dotychczasowego" stanowiska w Rosyi. O przywróceniu szlachcie „mandatu państwowego" reskrypt Cesarski nie czyni żadnéj wzmianki, z czego łatwo wywnioskować, iż o zmianie organizacyi zarządu lokalnego nie ma nawet mowy, tém bardziéj zaś nie może być obecnie mowy o uszczupleniu praw innych stanów na korzyść szlachty. Kwestya szlachecka w Rosyi, która wynikła z przyczyn natury ekonomicznéj, powinna być rozstrzygnięta przedewszystkiém tylko z pomocą środków ekonomicznych; nic jednak dziwnego, że przy téj sposobności odezwały się głosy i aspiracye natury ogólniejszéj, zmierzające do wyróżnienia w szlachcie jakiegoś odrębnego pierwiastku duchowego, nadającego jéj prawo do wyłącznego reprezentowania i piastowania władzy administracyjnéj i sądowéj w zarządzie lokalnym. Te głosy świadczą wymownie o natężeniu myśli panującym wśród wszystkich przedstawicieli opinii publicznéj z powodu wytoczenia przed oblicze rządu sprawy szlacheckiéj.

Czytelnik bez wątpienia zdoła wyrobić sobie właściwy pogląd na związek, jaki może zajść pomiędzy sprawą szlachecką w Rosyi a aspiracyami do współdziałania, wypowiedzianemi przez hr. Moszyńskiego. Zbyt wielkie jeszcze różnice natury czysto społecznéj oddzielają naszą szlachtę od szlachty rosyjskiéj, aby współdziałanie tych dwóch grup wydało natychmiastowe skutki. Jest jednak rzeczą prawie niewątpli-

wą, że nasza szlachta a szlachta rosyjska zejdą się na gruncie nie pojęć korporacyjnych, lecz interesów ekonomicznych. I u nas i w Cesarstwie wyłączność stanowa upada coraz bardziéj a w miejsce historycznéj grupy właścicieli ziemskich, zarysowuje się coraz wyraźniéj grupa właścicieli rolnych o charakterze przemysłowym, która będzie i nadal stanowić jedną z najsilniejszych podstaw ustroju społecznego. Na gruncie wspólnych usiłowań celem podtrzymanie rolnictwa i ładu w państwie wytworzyć się może z czasem i wspólność dążeń społecznych, po uprzedniém pozbyciu się uczuć wyłączności kastowéj i pogodzeniu się z innemi stanami w życiu publiczném.

Stanisław Hłasko.



PRZYCZYNEK DO ŻYCIORYSU

WESPAZYANA KOCHOWSKIEGO

i jego rodziny.

Dr. W. Wisłocki w pracy swéj „Wespazyana z Kochowa Kochowskiego *Rubus incombustus*" na str. 9-éj powiada, że Kochowski „w każdym razie, mimo wszelkich swoich wad i ułomności, jest pod wieloma względami postacią swego czasu pierwszorzędną, a jako żołnierz z wojen kozackich i szwedzkich, jako bohatér z potrzeby wiedeńskiéj, jako poeta niepospolity i znakomity historyk, jako autor „Niepróżnującego próżnowania", „Klimakterów", „Psalmodyi" i wielu innych dzieł, a przytém wszystkiém jako ziemianin — *arator non orator*, jak sam siebie nazywa — pozostanie dla nas na zawsze tym wybitnym i charakterystycznym typem drugiéj połowy XVII wieku, podług któréj, przyjrzawszy mu się bliżéj, wolno nam w przybliżeniu wydawać sąd o reszcie społeczeństwa, między którém wzrósł, z którém żył i obcował. Każdy zatém szczegół pozytywny, przyczyniający się w czémkolwiek do bliższego wyświecenia życia i dzieł jego, nie powinien i nie może być dla nas obojętnym." Jakoż posiadając nieznane szczegóły, odnoszące się do Wespazyana Kochowskiego i jego rodziny, a prostujące niektóre błędne o nim zdania, ogłaszam je dla wiadomości publicznéj.

Oprócz biografii i krótkich rozbiorów dzieł w różnych historyach literatury polskiéj, posiadamy sumienne i obszerne studyum o Wespazyanie Kochowskim przez Adama Rzążewskiego [1]). Jednak w pracy téj spotykają się pewne niedokładności i błędy, które należy sprostować. I tak na str. 18 czytamy o Kochowskim: „Od pierwszych lat swojéj młodości to książką, to szablą zajęty, nie dopuścił do serca swego uczucia miłości, jakkolwiek, jak to widać z całéj prawie III-éj księgi liryków, wrażliwy był na wdzięki niewieście. Dopiéro, kiedy osiadł na własnym roli swéj zagonie, a rzeczpospolita zwolniła go na chwilę od posług, wtedy, z wrodzoną przodkom naszym praktycznością i taktem, obejrzał się za dozgonną towarzyszką, za gospodynią i panią małéj swojéj chudoby. Praktyczny pogląd na miłość, oraz dochodzący już czwarty krzyżyk wieku, nie przeszkodziły mu wcale kochać, jak się kocha w pierwszéj wiośnie życia. Kto była jednak ta, co wzbudziła namiętną miłość poety i została późniéj dozgonną jego towarzyszką, nie udało nam się wyśledzić. Z niektórych tylko metryk Goleniowskich i z aktu jéj zejścia dowiadujemy się, że imię jéj było Maryanna. Z nią czterdziestoletni szlachcic, chrztem krwi zlany pod Gnieznem, poeta i polityk narodowy, mąż i z nauki i z zasług poważny, nie waha się grać w z i e l o n e, a z jakim zapałem, z jaką radością dziecinną cieszy się, ilekroć mu się uda bohdankę swoją w grze pochwycić i zażądać zielonego, kiedy go nie ma.

Ja znowu: Maryś, zielone?
Darmo się przysz (wypierasz), bo stracone.
Potém się sam przyznała,
A w zakładzie fawor dała.

Z wiersza Kochowskiego „Suplika do jéj mci panny N. N. N.”, pomieszczonego w III-éj księdze „Liryków polskich”, dowiadujemy się jaką pałał miłością względem swéj bohdanki, która zawojowała go nie tyle swą urodą, ile przymiotami swéj pięknéj duszy.

Z dwóch dokumentów, pisanych po łacinie, a odnoszących się do Wespazyana Kochowskiego, podaję w tłómaczeniu polskiém krótszy, zawierający te same szczegóły biograficzne, co i drugi obszerniejszy.

---

[1]) Studya nad literaturą polską XVII i XVIII-go wieku do czasów panowania Stanisława Augusta. „Hieronim Wespazyan Nieczuja Kochowski“ przez Adama Rzążewskiego. Warszawa, 1871.

Zapis dożywotny Kochowskich.

Z księgi: *Zapisy Grodzkie Chęcińskie. Indukty*, ks. 38, str. 740. We wtorek najbliższy przed uroczystością Św. Tomasza Apostoła, roku 1658-go.

„Stanąwszy osobiście przed urzędem i aktami niniejszemi, grodzkiemi, starościńskiemi, chęcińskiemi, — *urodzony Wespazyan Kochowski, syn niegdy urodzonego Jana Kochowskiego*, podsędka sandomirskiego, dziedzic części swych na Goleniowach, Gaju i Kowalkowicach — z jednéj strony, a *Maryanna Misiowska ze Smielowéj Woli, córka niegdy urodzonego Józefa Misiowskiego z niegdy urodzoną Dorotą Oraczewską splodzona* — z drugiéj strony; małżonek sam przez się, a małżonka pod opieką i w asystencyi tegoż swego małżonka, jako opiekuna małżeńskiego, zdrowi na umyśle i na ciele, i używszy rady przyjaciół, odstępując od ziemstw, powiatów, praw i jurysdykcyi, w jakikolwiek sposób sobie właściwych, a niniejszéj grodzkiéj, starościńskiéj, chęcińskiéj co do aktu tego, ze swymi sukcesorami i ze wszystkiemi dobrami swemi całkowicie się poddając, jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznali: Iż dóbr swych dziedzicznych i zastawnych, ruchomych i nieruchomych, jakichkolwiek sum pieniężnych, i wogóle wszystkich dóbr, które teraz mają i potém mieć będą, wzajemnie, jedno drugiemu zapis dożywotny i użytkowanie tylko do końca życia swego niniejszém ustąpili i zapisali, ustępują i zapisują, to jest takim sposobem: Iż jeżeli przerzeczonemu małżonkowi, Wespazyanowi Kochowskiemu, pierwéj przyjdzie umrzéć, niż przerzeczonéj małżonce, urodzonéj Maryannie Misiowskiéj, tedy ona, Maryanna Misiowska, małżonka, wszystkie wyżéj wskazane, po śmierci małżonka swego pozostałe dobra, będzie trzymała i one posiędzie ze wszystkiém prawem, państwem, przynależnościami, dochodami i pożytkami, nic nie wyjmując, i będzie ich użytkowała tylko do końca życia swego. Po śmierci zaś przerzeczonéj małżonki, Maryanny, wszystkie, wyżéj wskazane, tegoż jéj małżonka dobra, zupełném prawem wrócą się do sukcesorów przerzeczonego jéj małżonka, urodzonego Wespazyana Kochowskiego, bez wszelkiéj przekazy i sporu ze strony sukcesorów przerzeczonéj małżonki, urodzonéj Maryanny Misiowskiéj. I podobnież, jeśli przerzeczonéj małżonce, Maryannie Misiowskiéj, wypadnie pierwéj umrzéć, niżeli przerzeczonemu jéj małżonkowi, Wespazyanowi, tedy tenże małżonek wszystkie wyżéj wskazane, po śmierci przerzeczonéj swéj małżonki pozostałe dobra, będzie trzymał i one posiędzie ze wszystkiém prawem, państwem, ze wszystkiemi przynależnościami i użytkami, nic nie wyjmując, i będzie ich użytkował tylko do końca życia swego; a po śmierci przerzeczonego małżonka, urodzonego Wespazyana Kochowskiego, wszystkie wyżéj wymienione dobra małżonki jego, całkowicie i zupełnie wrócą się do sukcesorów małżonki tegoż, bez wszelkiéj przekazy i sporu ze strony sukcesorów przerzeczonego małżonka Wespazyana Kochowskiego.“

Z dokumentu powyższego okazuje się, że 1) żona Wespazyana Kochowskiego nazywała się Maryanna Misiowska ze Smielowéj Woli i była córką Józefa i Doroty z Oraczewskich, Misiowskich, już w roku 1658-ym nie żyjących; 2) że Wespazyan Kochowski w r. 1658 był już żonaty i miał najwyżéj lat 28, jako urodzony między 1630 i 1633 ro-

kiem, żona zaś jego w r. 1658 miała lat 22, jako urodzona w r. 1636, gdyż umierając w r. 1696 miała lat 60. Nic więc dziwnego, że Kochowski jako dwudziestokilkoletni młodzieniec, a nie czterdziestoletni kawaler, jak utrzymuje Rzążewski, wrażliwy był na wdzięki niewieście, pisał miłosne wiersze i grał w zielone ze swą młodą bohdanką.

Jan Kochowski, ojciec Wespazyana, wstąpił powtórnie w związki małżeńskie z Elżbietą z Piaseczna, wdową po Stefanie na Mirogonowicach Mroczku, i umarł 1655 r., a nie 1663 r., jak utrzymuje Rzążewski. Przekonywamy się o tém z dzieła ks. Józefa Gackiego: „Benedyktyński klasztor Świętego Krzyża na Łysej Górze", Warszawa, 1873 r., gdzie na str. 321 czytamy: „Nadmieniamy, że w papierach łysogórskich o rodzinie Kochowskich wyczytaliśmy także, „iż Stefan Mroczek złp. 1,000 na budowę kościoła w mieście Waśniowie testamentem odkazał, a sumę tę ożeniony z wdową po nim Elżbietą Piasecką Jan Kochowski, podsędek ziemi sandomierskiéj, plebanowi waśniowskiemu Delegowiczowi w poniedziałek po św. Łukaszu 1654 r. wypłacił; że roku 1656 w sobotę po trzech Królach, Elżbieta z Piaseczna, wdowa po Janie Kochowskim (um. 1655 r.), Wespazyana, Seweryna (um. r. 1657, Koch. Liv. 121) i Jana Kochowskich, synów podsędka Jana, który jéj prostym długiem przyznał 5,000 złp., skwitowała z sumy 4,000 złp., jako już sobie przez nich zapłaconéj. Nawzajem Wespazyan i Seweryn Kochowscy, imieniem swojém i małoletniego brata Jana, zeznali, że od swéj macochy odebrali spadające na nich ruchomości w złocie, srebrze, klejnotach, w gotowiźnie, w miedzi, mosiądzu, cynie, dobytku, trzodzie, stadninie, oraz wszelkie sprzęty domowe i pisma we wszelkiéj formie i treści." Dodajemy, że podział dóbr między rodzinę Kochowskich nastąpił w r. 1663. A gdy brat Jan i siostra Anna wzięli Gaj i Dobrucbnę, historyk i poeta Wespazyan przeniósł się w lelowskie („Przyjaciel Ludu", 1827 r., N. 27), gdzie Goleniowy, Mękarzów i Moskarzew nabył („Tyg. ilustr.", III, 92). Rzążewski („Studia", I, 4, 14), według dokumentu z r. 1698, w którym Franciszek Kochowski pisze się dziedzicem Gaju, uważa go za najmłodszego z braci Wespazyana; przywiedzione jednak tu dokumenta znają jedynie przy podziale dóbr 1663 r. dwóch braci rodzonych, Wespazyana i Jana Kochowskich. Franciszek mógł być bratem stryjecznym, i kiedy w Gaju spłacił Jana, ten wziął 1678 r. w dzierżawę Moskarzew."

Drugi dokument z téj saméj daty, co i przytoczony, znajduje się w téj saméj 38 księdze „Zapisów Grodzkich Chęcińskich" na str. 737. Jest to akt, w którym Wespazyan Kochowski ubezpiecza oprawę czyli reformę posagu swéj żonie i jéj sukcesorom w ilości

26,000 złp., t. j. 13,000 złp. jako posag (*dotem*) i 13,000 złp. jako przywianek (*dotalitium*) [1].

W księdze „Zapisy Grodzkie Chęcińskie. Indukty", ks. 30, str. 205: „w sobotę najbliższą po uroczystości Św. Małgorzaty Panny, roku 1641" znajduje się akt, w którym: „Stanąwszy osobiście przed urzędem i niniejszemi aktami grodzkiemi, starościńskiemi chęcińskiemi szlachetna Maryna Kochowska, córka niegdy urodzonego Andrzeja Kochowskiego, dziedzica na Gaju i Kowalkowicach, a urodzonego Jakóba Nosarzewskiego małżonka prawa, stająca w jego obecności, zdrowa na umyśle i ciele, odstępując od ziemstw, powiatów, praw etc., jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznała, iż z rąk urodzonego Jana Kochowskiego, brata swego rodzonego, dziedzica na Gaju i Kowalkowicach, w zupełności otrzymała zadośćuczynienie ze wszystkich dóbr ojczystych i macierzystych, ruchomych i nieruchomych, przez tegoż brata rodzonego, Jana Kochowskiego, co do posagu i wyprawy, i z tego kwituje go niniejszém.

Widzimy więc z tego aktu, że Jan Kochowski, ojciec Wespazyana, był synem Andrzeja, a siostra Maryanna była żoną Jakóba Nosarzewskiego.

Feliks Rybarski.

---

[1]) Mąż biorący posag za żoną *dotem*, zapisywał jéj takiéj wysokości sumę, jak posag, i te dwie sumy złączone, ubezpieczał na swym majątku; to się nazywało oprawą czyli reformą posagu. Suma od męża przypisana, po łacinie nazywała się *dotalitium*, przwiankiem. („Prawa cywilne", jakie w Polsce od roku 1347 do wprowadzenia Kodeksu Napoleona obowiązywały. Napisane przez W. Dutkiewicza. Warszawa, 1869, str. 28).



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Antoni Krasnowolski. „Systematyczna składnia języka polskiego.“ Wydanie z zapomogi Kasy pomocy naukowéj imienia d-ra Mianowskiego. Warszawa, Drukarnia Estetyczna K. Sierpińskiego, 1897, str. 319 + IV. Cena rs. 1.

„W niniejszéj książce miałem zamiar nakréślić, o ile możności, dokładny obraz języka polskiego pod względem budowy zdania”: temi słowy autor zagaja przedmowę do wymienionego tutaj dzieła, które swą wartością wewnętrzną i zakrojem zasługuje na szczegółowe omówienie i zalecenie tym, co pragną zapoznać się gruntowniéj z ustrojem syntaktycznym mowy rodzinnéj. Nawet w naszéj, stosunkowo ubogiéj, literaturze naukowéj i pedagogicznéj przedmiotu tego nie można nazwać nowym: p. K. miał dość znaczną liczbę poprzedników—jeżeli nie wyłącznych badaczy składni, to przynajmniéj autorów całokształtu gramatyki. Pomiędzy nimi byli wyborni znawcy języka i doskonali na swój czas teoretycy; to też nie możemy stłumić w sobie pewnego żalu, wiedząc, że autor nasz nie wymienił w „Przedmowie” ani jednak nazwiska (nazwisko p. F. Łagowskiego tutaj się nie odnosi) i nie wspomniał ani słówkiem, czy, oprócz pewnéj ilości nazw technicznych, któremuś z dawniejszych lub spółczesnych gramatyków zawdzięcza cokolwiek lub nie. A przecież w tego rodzaju pracy specyalnéj, wykraczającéj po za ramy zwykłych podręczników szkolnych i przeznaczonéj widocznie dla ludzi dojrzałych, rzut oka na literaturę dotychczasową byłby dla czytelników wielce pożądany i pożyteczny. Wprawdzie p. K. nie zamilcza bynajmniéj o istnieniu innych gramatyk, ale cóż,

kiedy wspomina o nich tylko w wyrazach ogólnych, zawiadamiając nas w „Przedmowie", że w książce jego „uważny czytelnik (zdaje się, że autor żąda od nas zadużo uwagi) znajdzie niemało szczegółów, na które dotychczas nikt nie zwracał uwagi, albo które zupełnie błędnie wyjaśniono", następnie zaś okazując, jak dowolnym, nie logicznym był ogólny układ dotychczasowych gramatyk, oraz szczegółowe w nich podziały, gdy tymczasem nasz autor dążył w swéj pracy do jaknajwiększéj systematyczności. Mojém zdaniem, w książce o charakterze naukowym krótkie wskazówki, dotyczące badań nad składnią polską, byłyby tém pożądańsze, że przymieszka żywiołu historycznego w jakiéjkolwiek umiejętności dodaje zawsze téj ostatniéj więcéj ożywienia i pozwala oceniać pojedyncze twierdzenia z właściwszego stanowiska, że zebranie jakichś dokładniejszych wiadomości o naszéj literaturze gramatycznéj nie dla każdego jest rzeczą łatwą, i wreszcie że użycie niektórych „mniéj lub więcéj przyjętych" terminów „w nieco odmienném znaczeniu" wymagało już wprost — jeżeli nie usprawiedliwienia, to przynajmniéj gołego zaznaczenia wprowadzonéj odmiany. Weźmy np. termin „orzecznik". W najbardziéj rozpowszechnionych obecnie gramatykach (Małeckiego, Boczylińskiego, Bema) nazwy téj wcale nie spotykamy, więc téż niejeden czytelnik lub nauczyciel będzie się pewnie zapatrywał na to, jako na zupełną nowość, z którą mu się nawet trudno pogodzić. Czy więc nie byłoby właściwém, gdyby p. K. nie był poprzestał na kategoryczném twierdzeniu, że „imię, wyrażające treść orzeczenia, nazywa się orzecznikiem" (§ 6), lecz w jakikolwiek sposób zaznaczył, że S. Gruszczyński w swojéj „Nauce o zdaniu" (Poznań, 1861) użył téjże nazwy na oznaczenie „orzeczenia"?

Pomijając jednak rzeczy pominięte i zwracając się do tego, co nam autor dał, przyznajemy najchętniéj, że z pomiędzy innych tego rodzaju książek „Składnia" pana K. wyróżnia się istotnie dwiema najznamienniejszemi cechami, które są zaznaczone w „Przedmowie". Przedewszystkiém mamy tu zgromadzone, rozklasyfikowane i ochrzczone odpowiedniemi nazwami niemal wszystkie zjawiska syntaktyczne, jakie spotykamy w naszéj mowie, zwłaszcza książkowéj, używanéj przez warstwy mniéj lub więcéj inteligentne, tak iż przy rozbiorze syntaktycznym jakiegokolwiek ustępu z naszych najnowszych i dawniejszych pisarzy książka pana K. nigdy nas prawie nie zawiedzie, i zawsze znajdziemy w niéj —jeżeli nie całkowite objaśnienie i uzasadnienie (jestto inna i o wiele trudniejsza sprawa!), to choć jakąś informacyę, albo téż będziemy mieli przynajmniéj tę pociechę, że gramatyka powie nam, jakie miejsce zajmuje pewien zwrot językowy w cało-

kształcie składni, co oznacza i jaką nazwą może być najtrafniéj określony. Ta to właśnie obfitość szczegółów, troskliwość i odwaga, z jaką autor gromadził przeróżne, czasami wielce oryginalne zwroty mowy polskiéj, nie cofając się przed objaśnieniem takich wyrażeń, któremi się oddawna prawie wszyscy posługujemy, a które nieraz trzeba było naciągać do istniejących w dotychczasowych gramatykach „prawideł” (liczba tych ostatnich była oczywiście za szczupła) i które czasem były jakby rozmyślnie pomijane, wreszcie przenikliwość i subtelność logiczna, z jaką p. K. starał się wykryć różnice znaczeniowe (semazyologiczne) między pozornie jednorodnemi zjawiskami, trafność i dokładność określeń i terminów — stanowią, według mnie, największą, górującą zaletę omawianéj tutaj „Składni”. Można się o tém przekonać np. z §§ 20 — 30, gdzie jest mowa o zdaniach bezpodmiotowych i czasownikach nieosobowych, albo też z obszernego traktatu o zdaniach podrzędnych zupełnych (§§ 367 — 423). Potrzeba zaś takiego przewodnika gramatycznego była niezaprzeczoną, pod względem bowiem składniowym żaden może z języków literackich nie wyprzedził w swym rozwoju tak daleko odpowiednich badań teoretycznych, jak polski. Skutkiem tego niejeden nauczyciel, a nawet rozsądniejszy uczeń lub uczenica przy rozbiorze syntaktycznym musieli poprzestawać niekiedy na stanowisku ciemnego prostaka, dla którego np. pewne zwierzę czworonożne, pilnujące domu, towarzyszące człowiekowi na polu, w lesie i t. d., nazywa się zawsze poprostu „psem”, w którym rozróżnia się conajwyżéj wzrost i zabarwienie sierści — bez uwzględnienia budowy, zdolności, pochodzenia i przeznaczenia, jedném słowem gatunku czy odmiany. Pan K. przeprowadza klasyfikacyę prawie ze ścisłością i drobiazgowością przyrodnika, tak iż obecnie nauczyciele i ucząca się młodzież nie będą potrzebowali okłamywać się mimowoli i wmawiać w siebie, że np. zdania przyczyny realnéj i przyczyny logicznéj (§ 399—402)—to jedno. Zaznaczając tyle odmian składniowych i ustanawiając tyle drobnych podziałów, autor był oczywiście zniewolony wprowadzić wiele nowych terminów, na co ten i ów nauczyciel lub nauczycielka może się skrzywi albo nawet obruszy. Nie przecząc bynajmniéj, że oswojenie się z mianownictwem pana K. i zapamiętanie wszystkich nazw będzie rzeczą dość trudną, muszę się pomimo to oświadczyć po stronie autora, gdyż wprowadzone przezeń nowości były, według mnie, nieuniknionemi. Czyż bowiem można się obejść bez takich terminów, jak np. wspomniany wyżéj orzecznik (§ 6), odpowiednik (§ 371), zdania czasowo-odwrotne (§ 402), i czy na ich miejsce da się obmyśléć coś trafniejszego? A są to tylko próbki terminologii naszego autora. — Oprócz obszerności i wyczerpu-

jącéj dokładności, wyróżniającém znamieniem „Składni” p. K. jest jéj układ, polegający na tém, że z nauki o zdaniu pojedyńczém i zdaniu główném autor utworzył dwie części główne, rozważając zaś zarówno pierwszy, jak i drugi rodzaj zdań „osobno ze strony treści i osobno ze strony formy”, wprowadził cztery rozdziały mniejsze, w których znowu odpowiednio do ilości członków zdania i materyału językowego rozwinął całe mnóstwo drobnych poddziałów. Układ taki, posiadający niektóre punkty styczności z elementarnemi „Zasadami” Boczylińskiego (część II), trzeba istotnie nazwać systematycznym, jak to opiewa i tytuł książki. Wobec wymagań naukowych system ten może się ostać, gdyż jest on rzeczywiście racyonalny. W praktyce atoli korzystanie z książki pana K. okaże się dość uciążliwém — nawet dla uczących, a to dlatego, że oprócz zwyczajnego „Spisu rzeczy” nie mamy tu nic, coby ułatwiało oryentowanie się w takiéj mnogości szczegółów. Najpotrzebniejszym według mnie byłby tu skorowidz abecadłowy, do którego powinnyby wejść spójniki, przyimki, niektóre przysłówki, większość terminów gramatycznych, czasowniki z wielorakim rządem i t. p. Wiem-ci ja, że ułożenie takiego skorowidza wymagałoby znacznego nakładu pracy i czasu, a tego rodzaju kapitału pan K. włożył do swego dzieła i tak ilość ogromną (ile tu nagromadzono samych przykładów!); ale jakże nie wypowiedziéć swego życzenia, skoro różni autorowie już nas przyzwyczaili do podobnych ułatwień, odczuwając jakby instynktownie ich potrzebę — zwłaszcza w czasach nowszych! W obecnéj swéj postaci „Składnia” pana K. nadaje się przedewszystkiém dla nauczycieli i nauczycielek, którzy przy rozbiorze syntaktycznym znajdą w niéj o wiele pewniejszego i wszechstronniéj informującego przewodnika i doradcę, aniżeli dotychczasowe gramatyki. Tylko nadmieniłbym jeszcze, że prawidła, dotyczące użycia znaków przestankowania, byłoby zapewne praktyczniéj skupić gdzieś na jedném miejscu.

Szczegółowy rozbiór pracy pana K. jest na tém miejscu niemożebny, gdyż to pociągnęłoby chyba za sobą szereg monografii, które, niestety, powinny były uprzedzić tego rodzaju syntezę. Pozwolimy sobie tedy zrobić jeno kilka dorywczych uwag. Otóż przedewszystkiém żal nam, że autor, tak obeznany z językami starożytnemi i nowożytnemi, nie starał się uwydatniać częściéj i dobitniéj tego, co jest dobytkiem, że tak powiem, międzynarodowym, t. j. właściwym wielu językom, co w mowie polskiéj już się dawno utarło, lecz było prawdopodobnie urobione na wzór obcy, i wreszcie, co stanowi osobliwość tylko naszego języka. Mojém zdaniem, w omawianéj „Składni” zbyt daleko posunięte jest równouprawnienie różnych prawideł i przykładów. Nie

chcę przesadzać: wiem, że określenie stopnia swojskości jakiegoś zwrotu nie wszędzie jest możebne—zwłaszcza bez wyczerpujących studyów specyalnych na tém polu; wiem również, że o rozmaitych zwrotach obcych mówi się zwykle w stylistyce. Pomimo to jednak wydaje mi się, że pan K. mógłby był już teraz w wielu wypadkach orzec bez znacznego ryzyka, jak mamy się zapatrywać na to lub owo zjawisko syntaktyczne; przynależność zaś takich kwestyi do składni uważam za niewątpliwą: stylistyka powinna się na nie tylko powoływać. Jeżeli sobie uprzytomnimy, ilu wpływom postronnym ulegali prawie wszyscy nasi wybitniejsi pisarze, to zgóry musimy przypuścić, że nawet u największych mistrzów słowa i powag językowych znajdzie się tu i owdzie wyrażenie, zabarwione zcudzoziemska, którego zatém nie można stawiać narówni z wyrażeniami szczeropolskiemi i rozbierać go jako zwyczajnego zjawiska składniowego. To też i p. K. wytyka niekiedy rozmaite „barbaryzmy", spotykane w naszéj mowie książkowéj i potocznéj. Ale sądzę, że robi to za rzadko; tak np. w § 104 (punkt 2), pomimo powagi Górnickiego („Przed solą i jeść nie mogę"), nie odważyłbym się polskiemu przyimkowi „przed" przypisać znaczenia przyczynowego narówni z innymi przyimkami, wyliczonymi w tymże paragrafie: mojém zdaniem, autor „Dworzanina" w tym razie przetłomaczył tylko dosłownie, bez głębszego zastanowienia, łaciński przyimek *prae* (a może niem. *vor*?) i dopuścił się poprostu latynizmu, którego nie można wciągać do teoryi składni polskiéj jako wyrażenia równouprawnionego. Podobnież nie ręczyłbym za prawdziwą polskość wyrażenia: „Jarmark był *w* kilku milach" (§ 96—również z Górnickiego), a i zdanie Sienkiewicza: „Pewnie na chęci mi nie brakło" (§ 32 uw. 2)—w moich oczach trąci niemczyzną. Tak samo w § 341 (punkt 1), przytaczając napuszone a liche zdanie z „Kuryera Warszawskiego", nie należało mówić o błędnym szyku" wogóle, lecz skarcić bijący w oczy germanizm jako prawdziwy *grober Unfug*. Zaznaczając silniejszy lub słabszy, mniéj lub więcéj usprawiedliwiony wpływ obcy w poszczególnych wyrażeniach, nie potrzebowaliśmy zaraz uwłaczać naszym wielkim pisarzom, gdyż bądźcobądź są to u nich objawy sporadyczne, od których jest wolen mało który gieniusz cudzoziemski, powtóre zaś obok pewnych naleciałości niepotrzebnych, mamy przecież w swojéj mowie niemało takich wyrażeń, które są właściwe tylko polszczyźnie i stanowią jéj piętno indywidualne w obrębie składni. Tego rodzaju osobliwości języka polskiego napotykamy i u pana K. (np. § 92 uw. 2, § 98 punkt 8, poczęści § 107 punkt 2 uw., w pewnéj mierze § 167 punkt 1 uw.), a liczba ta jeszczeby się zapewne powiększyła, gdyby autor był uwzględnił także mowę ludową, która

i w książkach ma swoich przedstawicieli. **P o l o n i z m y** muszą istnieć, boć przecie i pod innemi względami nie byliśmy i nie jesteśmy jeszcze pozbawieni pewnych znamion indywidualnych, a zatém byłoby nam przyjemnie i pożytecznie widziéć, że choć niektóre z nich są w ten lub inny sposób uwydatnione w „Składni", jak w gramatykach francuskich bywają wykazywane galicyzmy. Określając tu i owdzie, choć jednėm słówkiem, stopień rodzimości pewnego wyrażenia, można było sam wykład nieco urozmaicić, ożywić i pogłębić; ażeby zaś książka wskutek tego nie rozrosła się zbyteczie, można było zaniechać niektórych przykładów z literatury, oświetlających rzeczy zbyt proste i pospolite: bo czyż np. w § 98 (punkt 3 lit. *e*) potrzebna była cytata z Sienkiewicza dla pokazania, jak wygląda przyimek *o*, oznaczający godzinę? („O godzinie piątéj mieliśmy wyjechać"). Czy natomiast nie byłoby rzeczą ciekawszą i bardziéj pouczającą — nie tylko zestawić, ale i wskazać wyraźniéj na pokrewieństwo semazyologiczne polskiego c z ł e k (c z ł o w i e k), francuskiego *on* i niem. *man*? (§ 26 uw,) Wszak niejeden nauczyciel języka polskiego może się tego pokrewieństwa nie domyślać. Podobnież, czy nie byłoby właściwém zestawić osobliwy przyimek d z i ę k i z łac. *gratia*, franc. *grâce*, niem. *dank*? (§ 104 punkt 3).—Jeżeli względem stwierdzenia mniejszéj lub większéj rodzimości pewnych zwrotów w mowie polskiéj mogliśmy wyrazić tylko nasze skromne życzenia, to z drugiéj strony musimy szan. autorowi już stanowczo zganić, że deklinacyjne przypadki, czy tam „sklonniki", albo oznacza liczbami porządkowemi, albo téż nazywa p o ł a c i n i e. Pierwszy sposėb nie przedstawia jakiegoś udogodnienia praktycznego, może w pewnych wypadkach stać się bałamutnym, i prócz tego równa się on dobrowolnemu ogałacaniu mowy z terminów, które najniezawodniéj przyczyniają się do jéj zasobności (prw. zdanie Kryńskiego w „Pracach filol." tom I str. 110 ust.). Drugi sposób również niczém się nie zaleca. Czyż bowiem starożytne, tradycyjne nazwy łacińskie, których częściowa niedorzeczność (np. *genitivus*, *accusativus*) została dawno wykazaną, są choć odrobinę lepsze od zręcznie obmyślanych i słusznie upowszechnionych p o l s k i c h nazw księdza Kopczyńskiego? Z łacińskiemi nazwami przypadków czytelnikowi „Składni" trudno się pogodzić, gdyż naprzód stoją one w rażącéj sprzeczności z pozostałą terminologią autora, a przecież każdy widzi, że np. termin „czasownik" wcale nie jest lepszy od terminu „mianownik„ lub „biernik"; powtóre są one niezrozumiałe dla tych, co się nie uczyli łaciny, a liczba takich może być znaczna; potrzecie nakoniec, przy rosprawianiu o odnośnych kwestyach, prowadzą one do takich conajmniéj dziwacznych wyrażeń jak: „nie posiada *ablativa*, który się zlał z *genitivem* (§ 218). Terminologia

łacińska dałaby się usprawiedliwić chyba w książce, przeznaczonéj dla cudzoziemców, albo w „Pracach filologicznych", choć i w tém ostatniém wydawnictwie widać od początku dążności wręcz przeciwne: w omawianéj składni jest ona w każdym razie niewłaściwą. Rzecz zastanawiająca: nasi matematycy, przyrodnicy, lekarze umieją sobie poradzić z nomenklaturą specyalną, czasami o wiele trudniejszą, i stworzą sobie nieraz nazwę polską, do któréj aż się dusza śmieje; gramatycy, a więc specyaliści od języka, zdają się wogóle nie miéć do tego tak szczęśliwéj ręki. Co się rzekło o nazwach przypadków, to samo można zastosować do dwuznacznego terminu *„elipsa"* (§ 32, 429 nst.), który przynajmniéj w gramatyce da się łatwo zastąpić przez utarty termin w y r z u t n i a.—A oto jeszcze kilka drobnych szczegółów. Z uwagi na niektóre wyrażenia nieosobowe i rolę, jaką często odgrywa bezokolicznik (o czém w „Składni" znajdują się wiadomości wyczerpujące), definicyę z d a n i a (§ 2) należałoby koniecznie jakoś uzupełnić, faktycznie bowiem nie zawsze widzimy w zdaniu czasownik „w formie o r z e k a j ą c é j", lecz musimy jéj się dopiéro domyślać i niekiedy nawet wysilać się na odgadnienie, jakie to mianowicie *verbum finitum* zostało opuszczone. Drugi ustęp § 17 sformułowany jest zanadto bezwzględnie, boć wyjątkowo i w języku polskim spotykamy przymiotniki i imiesłowy rodzaju nijakiego, użyte rzeczownie (złe, frycowe, czopowe, mostowe, rogatkowe, wszystko, święcone; „z i e m s k i e pokryć ziemi bryłą"—Syrokomla w „To i dosyć"). W punkcie 1 § 24 możnaby dodać: zjawisk n a t u r y, oznaczających pogodę lub porę dnia, — a wtedy różnica pomiędzy punktem 1 i 2 byłaby wyraźniejsza. § 33, po szczegółowém zbadaniu odnośnych zwrotów językowych, wypadnie może kiedyś zmodyfikować: w mowie ludu spotykamy do dziśdnia formy w i e l a (narzędnik „wielą" dość długo używany był w literaturze), „s i ł a", t y l a, t y ć k a, d u z a (= duża), a nawet t r o c h a, które oczywiście trudno uważać za „przypadek 4" czyli b i e r n i k. W 1 punkcie § 92 mamy, jak się zdaje, do czynienia z wyraźném przeoczeniem albo nawet błędem językowym. O ile mi wiadomo, pytając o „d r o g ę, po któréj się r u c h odbywa", wszyscy używamy wyrazu k t ó r ę d y (łac. *quâ*, franc. *par où*). Otóż słówka tego n i e mogłem się w „Składni" doszukać, natomiast p. K. każe tutaj zadawać pytanie k ę d y? Czy można się spodziewać na to zgody ogólnéj? Wątpię. Według mnie, rzadko używane słówko k ę d y pod względem znaczenia już oddawna niczém się nie różni od przysłówka g d z i e (pomimo przyrostka d y), i t a k go też używa np. kanonik Starowolski w zdaniu: „Bo jako człowiek, puściwszy się bez wiosła w łodzi po rzece jakiéj, nie tam zapłynie, k ę d y zechce, albo g d z i e mu potrzeba, ale tam,

gdzie go woda swoją bystrością zaniesie...“ („Ref. obycz. pol.“, XIX); prw. także Krasickiego: „na téjże, kędy poległ, ziemi sprawował uczty”, „kędy Loklińców mężne roty stały“, „stał Fingal, kędy zapalone stosy” (Pieśni Ossyana), albo W. Pola: „I postawiono mary przed kościołem, Kędy jest wnijście do onego dołu...“ (Pacholę hetm.). Nietylko „kędy“, ale i wszędy nie oznacza samo przez się drogi, ale poprostu miejsce, na pytanie gdzie? („wszędy pełno Ciebie — Kochanowski, „wszędy ojczyzna, gdzie jeno dobrze“ — Syrokomla w „Janku cment.“), a i w przytoczonych przez autora dwóch zdaniach z Sienkiewicza można dziś, nie obrażając poczucia językowego, zastąpić wszędy przez wszędzie. W § 100, mówiąc o oznaczeniu czasu, p. K. wymienia między innemi przysłówek dokiedy, którego polskość wydaje mi się mocno podejrzaną, i który przypomina mi zaraz niem. *bis wann*, a opuszcza używańsze i właściwsze pytanie dopóki. Przytaczałem już wyżéj § 167 (punkt 1 uw.), gdzie jest mowa o tak zwanym *Dativus hteicus*: otóż radbym tam widziéć jakąś wzmiankę o zaimku *ci* lub *-ć*, który tak wybitną a charakterystyczną rolę odgrywa w języku polskim. Co do przybranki *wy* (§ 144, punkt 3, lit. *b*), to można było nadmienić, że, czyniąc ze słów nieprzechodnich przechodnie, oznacza ona nietylko „otrzymanie czegoś“, ale — że użyję słów J. Muczkowskiego (Gram. pols., § 335^2)—czasami także „ostateczne dokonanie“ lub „kierunek na zewnątrz“ (np. wyśmiać, wydrwić, wykrzyczéć, wyjałowić, wydostać, wygarnąć, wyświetlić, wydzwaniać, wytrzeszczyć). Pod koniec „Przedmowy“ pan K. oświadcza, że, co się tyczy wykładu, to starał się „połączyć jasność ze ścisłością, zwłaszcza w definicyach“, i unikał „zarówno gawędziarstwa, jak krasomówstwa.“ Jakkolwiek nietrudno odgadnąć, którego „gawędziarza“ i którego „krasomówcę“ pomiędzy gramatykami autor ma tutaj na myśli, to jednak, ponieważ sam ich nie wymienił, i my wolimy o nich zamilczéć. Dodamy tylko, że wysłowienie pana K. odznacza się rzeczywiście pożądaną prostotą i zwięzłością, aczkolwiek nie zawsze może być nazwane wzorowém pod względem poprawności i zręczności. Niepodoba mi się np. utworzony przez autora przykład w § 351 (punkt 2 uw.): „Pójdziemy na spacer, jeśli będzie pogoda i nam nic nie przeszkodzi“ (=*und uns nichts verhindert*); dziwnie także brzmią przykłady: „zmuszono nieprzyjaciół się poddać“ (§ 188, punkt 1), albo: „zmusiłem go mi oddać“ (§ 210, uw. 4).

Ale dosyć tego. Jak widzimy, w pewnych szczegółach „Składnia“ pana K. nie jest wolna od zarzutów, co nas nie powinno dziwić: autor tak rozszerzył materyał syntaktyczny języka polskiego, tyle zmu-

szony był poświęcić pracy myślowéj na jego obrobienie teoretyczne, że wydaje mi się niepodobieństwem, aby przytém każdy szczegół mógł być ostatecznie wykończony i przybrany w szatę najodpowiedniejszą,— témbardziéj że książka robi wrażenie, jak gdyby autor postanowił sobie opracować cały materyał całkiem samodzielnie, bez opierania się na innych gramatykach ojczystych. Sądzę też, że, gdyby się kto uwziął na wyszukiwanie usterek i braków w omówionéj „Składni“, to znalazłby ich więcéj, aniżeli ja ich mogłem wykazać w niniejszém, i tak przydługiém sprawozdaniu, i że z czasem, przy dalszych poszukiwaniach w téj saméj dziedzinie, okaże się jeszcze wyraźniéj potrzeba pewnych uzupełnień i sprostosowań w dziele p. Krasnowolskiego. Czy te stosunkowo drobne niedokładności podnoszą wewnętrzną wartość „Systematycznéj składni“? Oczywiście, że nie. Czy jednak zmniejszają one znaczenie rozebranéj książki dla naszéj literatury gramatycznéj? Na to pytanie odpowiedziałbym z równą stanowczością: nie! Owszem, wypowiadając swój sąd ostateczny, nie wahałbym się orzec, że dzieło pana K. pod względem obfitości szczegółów i ich obrobienia logicznego bezwarunkowo przewyższa dotychczasowe gramatyki, że obecnie mamy w niém najkompletniejszy obraz budowy syntaktycznéj języka polskiego, i że dla każdego, zajmującego się tym przedmiotem, winno się ono stać poradnikiem niezbędnym, choć może i nie wyłącznym. Niechże tedy autor przyjmie wyrazy uznania za jego pracę, Kasa Mianowskiego podziękowanie za jéj ogłoszenie, dotycząca zaś publiczność niech nie pozwoli wylegać się po półkach księgarskich książce niedrogiéj, a wielce pożytecznéj i wydrukowanéj starannie, jak na stosunki warszawskie! *M. Rowiński.*

„Adolf Pawiński. 1840--1896. Zarys dziejów żywota i pracy, skreślił Wincenty Zakrzewski.“ Petersburg, K. Grendyszyński, 1896. In 8-vo, str. 124, z portretem.

Jest to praca prof. uniwersytetu jagiellońskiego, d-ra Wincentego Zakrzewskiego, jak obecnie jednego z najkompetentniejszych sędziów prac historycznych, o przedwcześnie dla naszéj nauki zgasłym niezwykłéj miary i zasługi uczonym, który był nietylko źródłowym badaczem i popularyzatorem nauki, lecz i prawdziwym obywatelem, gorąco kraj swój miłującym, obywatelem, który do ostatnich chwil życia nie szczędził pracy dla dobra swego społeczeństwa. Dzieje żywota Adolfa Pawińskiego opiéra prof. Zakrzewski przedewszystkiém na długoletnich z nim stosunkach, następnie zaś na dokładnych informacyach, po które zwracał się do rodziny, przyjaciół, kolegów i uczniów zmarłego, dzięki

szemu dzieje te przedstawiają się przed oczami czytelnika jednolitém pasmem, w szeregu barwnych, wiernie z życia odtworzonych obrazów, owianych ciepłem serdecznéj sympatyi dla człowieka i wielkiém uznaniem dla uczonego. Widzimy go więc chłopcem rwącym się do książki w zgierskiéj szkole prywatnéj, następnie wzorowym uczniem w gimnazyum piotrkowskiém, które oddziałało korzystnie na wyrobienie jego umysłu i charakteru, z jednéj strony dzięki wpływowi zdolniejszych kolegów, z drugiéj zaś—profesorów; pomiędzy tymi ostatnimi dwu zwłaszcza ma Pawiński wiele do zawdzięczenia, a mianowicie profesorowi języka polskiego Zielińskiemu i Dębickiemu, który historyę wykładał, i takie do niéj zamiłowanie w uczniu swym obudził, że ten kończąc szkoły, pragnął gorąco zostać profesorem historyi lub filologii. Dla osiągnięcia jednak tego celu niejedną trzeba było przełamać przeszkodę, przedewszystkiém zaś brak środków materyalnych, który nie pozwolił jechać do Petersburga na uniwersytet na wydział historyczno-filologiczny. Wszakże silna wola, wytrwałość i praca przemogły i oto dziewiętnastoletni młodzieniec z uciułanym na guwernerce groszem, udaje się do Petersburga, gdzie w murach uniwersyteckich poznaje się z nim autor omawianego przez nas zarysu. Dzięki lekcyom i zajęciom literackim, czasy petersburskie nie należą do najcięższych w życiu Pawińskiego. Stosunki koleżeńskie, oparte na wzajemném wspomaganiu się, były jaknajlepsze, egzamina szły mu świetnie, a znajomość zawarta z młodym naówczas profesorem prawa karnego, Włodzimierzem Spasowiczem, zmieniła się niebawem w ścisłą przyjaźń. Lecz gdy wskutek zaburzeń studenckich zamknięto uniwersytet w Petersburgu, a Pawiński, nie chcąc tracić roku, przeniósł się do Dorpatu, ciężkie nastały dla niego chwile. O sposobność do pracy, mogącéj zapewnić choćby najskromniejsze utrzymanie, trudno było w małém mieście i, jak sam o tém w listach pisał, pożywiał się obiadami po 6 kopiejek, a mimo to zdrowie służyło, bo „człowiek żył przy książce“. W Dorpacie też dojrzał ostatecznie i przechylił się stanowczo ku historyi; w Dorpacie również dowiedział się, że nauki historyczne rozkwitają w Niemczech i że głównym ich mistrzem i twórcą nowożytnéj szkoły jest Ranke w Berlinie. Składając, jak zwykle, świetnie egzamin końcowy ze stopniem kandydata, za cel ambicyi postawił sobie zajęcie katedry profesora historyi w warszawskiéj Szkole Głównéj, która właśnie potrzebowała profesorów. U źródła, w Berlinie, pod kierunkiem mistrza Rankego pragnął nabyć umiejętnéj metody krytycznéj. Dzięki poparciu Wittego, który był naówczas kuratorem warszawskiego okręgu naukowego, otrzymał Pawiński stypendyum rządowe i zabawiwszy rok w Berlinie, na zakończenie studyów przeniósł się do Getyngi, gdzie

pod kierunkiem Jerzego Waitza, profesora niezrównanego w kształceniu młodzieży, poświęcającéj się studyom historycznym, napisał pierwszą swą samoistną pracę historyczną i uzyskał dyplom doktora filozofii.

Docentura Szkoły Głównéj, na któréj go niebawem zatwierdzono, nie mogła mu dać utrzymania; trzeba było dawać lekcye prywatne i zarabiać piórem, pisując i tłómacząc do „Gazety Warszawskiéj". Jedną z pierwszych, ogłoszonych po polsku, prac naukowych Pawińskiego była z wielkiém przezeń zadowoleniem pisana recenzya o świéżo wydaném przez senatora Romualda Hubego prawie salickiém. Uderzony zapewne gruntownością krytyki, wysoki ten dygnitarz, starcem już będący, zapragnął poznać swojego recenzenta i odwiedził go w skromném mieszkaniu na trzeciém piętrze, w oddalonéj dzielnicy miasta. Odwiedziwszy Pawińskiego, przekonał się naocznie, w jak ciężkiém położeniu materyalném młody uczony zostaje i, pragnąc umożliwić mu poświęcenie się naukowéj pracy, wyrobił mu urząd sekretarza w wydziale karnym komisyi sprawiedliwości z delegacyą do zajęć w Archiwum Główném. Poznawszy się na wartości Pawińskiego, ułatwił mu Hube pierwsze kroki w życiu, zaskarbiając sobie tém z jego strony wdzięczność dozgonną. Było to w końcu marca 1868 roku. Zapewniony byt pozwolił łamać wytrwałością i pracą inne trudności, których nie brakowało; wszakże z dniem każdym coraz większe zdobywała uznanie naukowa i literacka jego praca, jednając mu szacunek powszechny. Stanowisko ustalało się coraz bardziéj, a zarazem coraz wyraźniéj zakréślało się pole działania, na którém wytrwał do końca, jak żołnierz na powierzonym mu posterunku. Liczne stosunki nawiązane z ludźmi, pokrewnymi duchem, wykazały mu potrzebę założenia nowego organu literackiego, który niebawem zaczął wychodzić— „Ateneum". Było to pod koniec 1875 roku. W lutym tegoż roku Pawiński został naczelnikiem Archiwum akt dawnych w Warszawie, w listopadzie zaś otrzymał nominacyę na profesora zwyczajnego w uniwersytecie; osiągnął tedy najwyższe stanowisko w obu instytucyach, będących główną areną jego działalności.

Brak miejsca nie pozwala nam iść krok w krok za szanownym autorem cennéj monografii o Pawińskim; umyślnie jednak, podobnież jak i on, przytoczyliśmy niejeden szczegół o młodych latach nieodżałowanego uczonego, dla wykazania, jak sumiennie przygotowywał się do zamierzonéj pracy, śród jakich wpływów i okoliczności urabiał się jego umysł i charakter i ile trudności zwalczyć musiał, nim stał się wreszcie tém, czém był przez resztę żywota. A przeszkód i trudności, stwarzanych przez ludzi złéj woli, nie brakowało mu nawet pod koniec

steranego w ustawicznéj pracy życia — one to mu przedwczesny grób zgotowały. Prof. Zakrzewski nie tai bynajmniéj, co podkopało zdrowie Pawińskiego; dotychczas zapewne niewiele osób zna właściwy powód katastrofy.

W r. 1893-im, kiedy się kończyła dwudziestopięcioletnia służba profesorska Pawińskiego, wydział filologiczny Uniwersytetu warszawskiego postanowił jednogłośnie prosić, aby go nadal na katedrze pozostawiono. Innego wszakże zdania była kuratorya. Jako emerytowi nie wolno byłoby mu być nadal naczelnikiem archiwum, a dla człowieka bez majątku było to odjęciem środków do życia, a co gorsza—pozbawieniem koniecznych materyałów do pracy zawodowéj. Przez pół roku trwał ustawiczny niepokój i denerwująca niepewność jutra. Na szczęście przeważyły w Petersburgu zabiegi uczonych rosyjskich, znających wartość Pawińskiego; w sprawie téj najwięcéj zasłużył się uniwersytetowi warszawskiemu p. A. Byczkow, niegdyś współpracownik Hubego, dyrektor cesarskiéj biblioteki publicznéj i członek rady państwa. Lecz te miesiące niepewności głęboko podkopały zdrowie pozostawionego nadal profesora. Zaledwie w rok potém przyszedł pierwszy atak mózgowy, zapowiedź nieuniknionéj katastrofy; a w niespełna dwa lata śmierć przerwała pracowity jego żywot.

W przedostatnim rozdziale cennéj pracy swéj prof. Zakrzewski określa miejsce zajmowane przez Pawińskiego w nowéj polskiéj krytycznéj szkole historycznéj. Pionierami jéj nazywa Helcla, Hubego i Bielowskiego, przewodnikami i twórcami stojących w pierwszym szeregu czterech uczonych, którzy wszyscy w mogile już spoczywają: Kalinkę, Szujskiego, Liskego i Pawińskiego. Liske nazywał siebie uczniem Kalinki, Pawińskiego z Szujskim łączy jeden i ten sam sąd historyczny. Lecz Kalinka i Szujski nie byli wstanie dać nowéj szkole ścisłéj metody umiejętnéj, którą w młodych latach systematycznie poznać trzeba. Tę metodę naukową wnieśli do szkoły inni dwaj: Liske i Pawiński, stanowiący w niéj wspólnie grupę drugą. Obadwaj od młodości systematycznie kształcili się na profesorów i na uczonych w najlepszéj szkole i z tego samego źródła zaczerpnęli znajomość najbardziéj wydoskonalonéj metody naukowéj, którą potém obadwaj starali się usilnie u nas rozpowszechnić. Liske wykształcił liczny zastęp zdolnych uczniów, którzy od niego przejęli historyczną metodę naukową i te same poglądy na cel, zadanie i warunki skutecznéj pracy na niwie historycznéj. Pawiński nie stworzył szkoły i uczniów po sobie nie pozostawia; wzamian za to pozostawia zdobyte przez siebie dla dziejopisarstwa rozległe nowe pola badania i szereg pomnikowych

idzeł. Liczbą i doniosłością prac swoich prześcignął on Kalinkę, Szujskiego i Liskego.

W zakończeniu pracy swéj prof. Zakrzewski rzuca godną poparcia myśl wydania zgromadzonych przez Pawińskiego obfitych materyałów historycznych, nad któremi od tylu lat się mozolił, słusznie twierdząc, że byłby to najgodniejszy sposób uczczenia jego pamięci; zaleca również zebranie razem drobniejszych prac Pawińskiego, a także ogłoszenie wyboru jego uniwersyteckich prelekcyi, jak np. historyi parlamentaryzmu angielskiego, która podobno odznaczała się niepospolitem zaletami. Pragnąc zaś ułatwić wprowadzenie w czyn rzuconéj przez się myśli, dołącza w końcu książki szczegółową bibliografię wszystkiego, co napisał i wydał Pawiński.

Praca prof. Zakrzewskiego jest pięknym pomnikiem serdecznéj sympatyi i gorącego uznania dla człowieka, którego pamięci jest poświęcona. *Ar. Les.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Józef Korzeniowski.** Jego życie i działalność literacka. Zarys biograficzny przez *Piotra Chmielowskiego.* Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego, 1898, in 8-o str. 133. — W literaturze naszéj tak mało monografii posiadającéj, dotychczasowa luka zapełnioną zostanie dzięki pięknie zapowiadającemu się wydawnictwu „Życiorysów sławnych Polaków.” Księgarnia K. Grendyszyńskiego w Petersburgu zamierza wydać cykl życiorysów, z których każdy obejmie około sześciu arkuszy druku za cenę 30 kop. I dotychczasowa działalność wydawcy i szereg nazwisk „sławnych Polaków“, z których każde niespożytym jaśnieje blaskiem, pozwalają nam spodziewać się, że wydawnictwo to godnie spełni swoje zadanie, témbardziéj że przyjmą w niem udział tak wytrawne pióra, jak: P. Chmielowskiego, K. Bartoszewicza, Wł. Spasowicza, Wł. Smoleńskiego, St. Ptaszyckiego, St. Krzemińskiego, W. Zakrzewskiego, St. Tarnowskiego, M. Zdziechowskiego i wielu innych. Przystępna cena książki i popularna forma wykładu, jaką zapewne „Życiorysy” odznaczać się będą, pozwoli im rozpowszechnić się w sferach, dla których tego rodzaju duchowa strawa najbardziéj jest pożądana. — Już pierwszy tomik rozpoczynający wydawnictwo stoi najzupełniéj na wysokości swego zadania. Piotr Chmielowski, tak wytrawnie znający nasze piśmiennictwo, odtwarza literacką i społeczną działalność Korzeniowskiego. Wyczerpująca charakterystyka pisarza i sumienna ocena owoców jego pracy daje nam zupełny duchowy jego

postaci wizerunek, obszerne zaś streszczenie dzieł zapoznaje z niemi mniéj oczytanych czytelników i do bliższego poznania zachęca. Przy rozbiorze powieści „Krewni”, która jak wiadomo, wywołała słynną napaść Klaczki na Korzeniowskiego za jéj tendencyę, szanowny autor monografii uznaje wyprawę paryskiego krytyka za chybioną, stając po stronie pisarza „który przecież nie mógł odpowiadać ani za to, że nie był entuzyastą, lecz rozważnym spostrzegaczem, ani też za to, że w umyśle krytyka pojawiły się widma, które w myśli autora nie postały wcale.” — Zewnętrzna strona wydawnictwa w stosunku do niskiéj ceny nie pozostawia nic do życzenia. Książkę zdobi portret Korzeniowskiego. — Oczekując pojawienia się dalszych tomików, które w peryodycznych odstępach czasu wychodzić powinny, życzymy nowemu wydawnictwu najlepszego powodzenia, na co zresztą zupełnie zasługuje.

Ar. Les.

— „Tak, dostojni przodkowie moi!... prawda, ślepy byłem, alem drogi prawej szukał, zbawienia kraju pragnąłem... któż mógł wiedziéć, gdzie i z kim ono było... Dziś coraz gorzéj .. Dobrze, że wzrok straciłem, bym tego wszystkiego nie widział... Czemuż i nie ogłuchłem, abym strasznych rzeczy, które mię dochodzą nie słyszał ..” Z temi słowy konał w r. 1790 pan możny, pyszny magnat litewski, królik Nieświeski, książe Karol Radziwiłł. (*Józef Grajnert:* **Anegdoty księcia Radziwiłła Panie-Kochanku i ważniejsze wspomnienia z jego życia.**” Warszawa, 1898. Nakł. księgarni J. M. Bazewicza). — Zaraz przychodzą na myśl „Ostatnie chwile księcia Wojewody.” I zastanowisz się, zadumasz nad dziwnem życiem księcia—i nie potępisz go ryczałtem. To życie niby wesołe, nierówne, hulaszcze było wynikiem złego wychowania i nieumiejętnego oświecenia. Stąd poszło, że po człowieku, który tak świetny i potężny wpływ mógłby był wywierać na otoczenie, została garść anegdot i kilka smutnych czynów. Bezwątpienia bywał Radziwiłł dzikim wodzem swéj drużyny, ale w chwilach równowagi i zadumy jest tak pożałowania godnym, tak biednym, że nie współczuć mu niepodobna. Złym nie był: wspomagał, ludzkim był dla poddanych, ale raz zadraśnięty w swéj dumie, wybuchał gniewem, którego nikt nie ośmielił się hamować: towarzysze pohulanek i łowów bali się swego przywódzcy; księża i zakonnicy swych tylko zysków pilnowali; chociaż dwa razy był żonatym—ani pierwsza, ani druga żona wpływu na męża nie miały. I tak jak założył „akademię” Smorgońską, jak zebrał towarzyszy Alby, tak samo starał się i o dobre uczynki według swych pojęć: „Dosyć wzorowo urządził swe wojsko, które późniéj podarował rzeczypospolitéj. Założył w Nieświeżu szkołę kadetów... Uporządko-

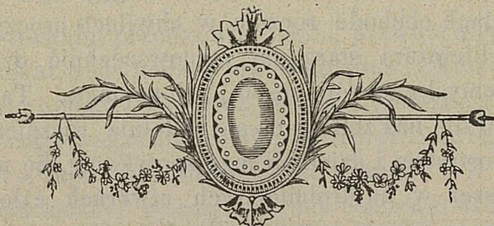
wał i rozszerzył ojcowską drukarnię... Uporządkował w Słucku i w Nieświeżu persyarnie czyli fabryki litych pasów... Założył hutę szklaną w Urzeczu, w Nalibokach rozszerzył, których wyroby dziś jeszcze gdzieniegdzie dochowane pięknym są zabytkiem..." (Str. 142). I trzeba się zgodzić, że to „dzikie serce było w gruncie dobrém, szlachetném, czułem na wyższe piękno..." Tylko marniało niestety. I jak rzekłem na wstępie—pod koniec życia, ociemniały, żałujący za popełnione winy książę Panie-Kochanku jest postacią obudzającą współczucie. Takich jak on „ślepych" było więcéj w tych czasach, a nie wszyscy mieli dobrą wolę *L. R.*

= Cześć jaką narody dla swych geniuszów mają, wyrazy uwielbienia, wdzięczności i niejako chęć zmazania win, jakie ciężą na każdém niemal społeczeństwie w stosunku do jego prowodyrów, potężnieją w chwilach obchodu rocznic, w chwilach uroczystosci narodowych. Wtedy literatura stara się rozpowszechnić dzieła lub czyny geniuszu, a przemysł na swój sposób jéj dopomaga. Taką chwilą zamyślenia się jest dla nas zbliżająca się stuletnia rocznica urodzin Mickiewicza. Z portretem i dziełami jego spotykamy się wszędzie. I dobrze jest: bo nawet w najdrobniejszych utworach człowieka wielkiéj myśli i olbrzymiego talentu zawsze widnieje potęga; poznać ją winien każdy, a uprzystępnieniem tego poznania jak w tym wypadku—jest popularyzowanie utworów poety. Do popularnych przybywają: **Bajki i powiastki**, **Sonety erotyczne i Sonety krymskie**—(Warszawa, 1897. Nakładem T. H. Nasierowskiego.) Do nich należy i **Co ojciec Kaziowi o Mickiewiczu opowiedział**. (Tamże). Szczęśliwy Kazio, który mógł poznać Zosię, „Trzech Budrysów," „Powrót taty" i inne. Wszystkie wspomniane książeczki wydane starannie. — Większych rozmiarów praca p. t. **Mickiewicz w Odesie i twórczość jego z tego czasu**, przez Aëra, (Warszawa, 1898. Skład główny w księgarni A. Rzążewskiéj) miała na celu „wynalezienie nici przewodniéj, któraby jak snujące się pasma z kłębka Aryadny, przeprowadziła czytelnika przez labirynt myśli"—w dziełach i życiu naszego poety. Jest to część studyum bardzo obszernego, znana już dawniejszym czytelnikom „Ateneum" (r. 1884). *L. R.*

= **Gutenberg**. Sein Leben, sein Werk, sein Ruhm. Von *Alfred Börckel*. Emil Roth. Giessen, 1897. — Nie dla wszystkich są dostępne wyczerpujące dzieła Lindesa i Schorbacha poświęcone Gutenbergowi. Autor pragnął spopularyzować postać wynalazcy sztuki drukarskiéj

w pięćsetną rocznicę jego urodzin. Jak wiadomo, rok przyjścia na świat Gutenberga nie jest ustalony; jedni głosują za ostatnim dziesiątkiem XIV w., inni znów za pierwszym dziesiątkiem XV stulecia. W każdym razie książka ta pojawia się na czasie i, jako rzecz napisana popularnie, lukę dotychczasową zapełnia. Autor, opierając się na faktach, w zwięzłém i barwném opowiadaniu kréśli wszystko to co wiedziéć należy o życiu Gutenberga i o dziejach jego wynalazku. Liczne ilustracye dają nam dokładne wyobrażenie o wyglądzie pierwszych dzieł sztuki drukarskiéj. Książka zasługuje na to, by ją przełożyć i u nas rozpowszechnić.

Ar. Les.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Posunięcie dyskusyi.—Dwie metody i dwa stronnictwa.—Publicystyka i polityka.—Rola prasy.—Kto ma prowadzić politykę.--Zbawienna abstynencya.—Pole działalności politycznéj. — Pierwsze związki stronnictwa. — Wyższa szkoła politechniczna.

Dyskusya w sprawach politycznych, a raczéj w sprawie naszéj polityki polsko-rosyjskiéj, posunęła się o krok naprzód. Nie ma już sporów o zasady, o cele; różnice zachodzą teraz w poglądach na m e t o d ę i na o s o b y, które działać mają.

Metody mogą być dwie. Jedna — oddawna znana i praktykowana—metoda bierna, wyczekująca, obserwacyjna, przyjmująca z uznaniem wszelkie zmiany na lepsze, bądź w akcyi rządowéj, bądź w rosyjskiéj opinii publicznéj zachodzące, ale w gruncie rzeczy sceptyczna, podkreślająca i wyzyskująca wszelkie zjawiska niepomyślne, jako dowód, że zasadniczo nic się nie zmieniło, że więc sceptycyzm był usprawiedliwiony.

Takie stanowisko można wytłómaczyć i zrozumiéć. Ma ono w sobie pewne cechy, wytrawnéj polityce właściwe. Ostrożność, krew zimna, powściągliwość — to przymioty w stosunkach ludzkich, zarówno prywatnych jak publicznych, niezmiernie cenne. Kto te przymioty w temperamencie swoim posiada, może grać w polityce rolę bardzo ważną, rolę czynnika hamującego, ostrzegawczego.

Jeden tu wszakże szkopuł jest do ominięcia, którego ustrzedz się bardzo trudno. Trzeba uniknąć niekonsekwencyi, nie wypaść z roli

ani na jedną, ani na drugą stronę. To znaczy—trzeba zachować zimną krew i w dobréj i w złéj przygodzie; obniżając znaczenie faktów dodatnich, nie przeceniać objawów niepomyślnych, wyciągnąć z nich pewien wniosek i naukę, ale z zachowaniem właściwéj miary. Kogo gorycz i oburzenie unosi po za granice właściwe, kto przy lada niepowodzeniu, a choćby i klęsce, rozdziéra szaty i sypie popiół na głowę, ten okazuje, że spokój i ostrożność nie leżą w jego temperamencie, nie są wynikiem konsekwentnie przemyślanego stanowiska, lecz sztuczną maską, w pewnych tylko momentach nakładaną, a ukrywającą oblicze zwykłego nerwowca.

I jest metoda druga, właściwa mianowicie naturom czynnym, których nie zadawalnia rola ani współczującego widza, ani najostrzejszego krytyka. Natury takie same pragną działać w zakresie możliwym, jeżeli nie bezpośrednio w dziedzinie faktów, to przez propagandę, wywołującą czyny, przez wysnuwanie z zasad ogólnych, teoretycznych — konsekwencyi szczegółowych i praktycznych. I ci mogą przeceniać aktualne położenie — w sensie odwrotnym od tamtych, mogą wybiegać po za granice chwilowéj możliwości, narażając się na zawód bądź z jednéj, bądź z drugiéj strony, t. j. natrafiać na szkopuł już to w warunkach zewnętrznych, już to w usposobieniu ogółu. Ale przez to nie wypadają ze swéj roli. To mianowicie ich rola właściwa—prowadzić, kroczyć naprzód, narażać się na możliwość niepowodzenia.

Kto siadł wygodnie na krytycznym stolcu, ten pełnić może także służbę publiczną, pożyteczną, niezbędną. Jedno mu tylko grozi niebezpieczeństwo: gdy zapomina o swéj olimpijskiéj godności i przemawia głosem Kassandry. Wtedy traci swój wpływ zbawienny, miarkujący, bo po stronie przeciwnéj może znaléźć posłuch głos rozsądku, nie znajdzie go jednak wieszczy patos, a tém mniéj zgryźliwe szyderstwo.

Ale kto postanowił kroczyć naprzód, wśród wielu przeszkód i niebezpieczeństw, ten może daleko łatwiéj zrobić krok fałszywy. Cóż jeszcze, gdy zamiast głosów życzliwego ostrzeżenia, towarzyszy mu drażniący sarkazm, podstępnie rzucony kamień lub niegodna potwarz. Więc zdobyć się on musi na duży zasób krwi zimnéj, i za siebie i za tych, którzy stracili jedyny swój tytuł do głosu, tytuł krytyków bezstronnych.

W polityce potrzebne są obie metody, a ponieważ połączenie różnych przymiotów umysłu i temperamentu w jednéj i téj saméj osobie nie zdarza się, więc potrzebne, nawet niezbędne są dwa stronnictwa — jedno czynne, działające, postępowe i drugie bierne, ostrzegawcze, krytykujące działalność pierwszego, ale krytykujące z całą ży-

czliwością, dobrą wiarą i z wiarą w dobrą wiarę po stronie drugiéj. Gdyby chodziło o zwięzłą nomenklaturę, nazwałbym pierwsze—stronnictwem czynu, drugie stronnictwem krytyki. Odmienność metod w traktowaniu spraw politycznych, czujna a lojalna krytyka jest rzeczą nietylko pożyteczną—w sobie saméj, ale jest téż niezbędną dla drugiéj strony, dla stronnictwa czynnego, które bez niéj straciłoby przeciwwagę i korektywę. Ale pamiętać zawsze należy, że w naszych stosunkach potrzebna jest nietyle walka stronnictw, ile skupienie całéj energii do przezwyciężenia niesprzyjających warunków. Gdybyśmy drobną część tego zapału i téj zawziętości, z jaką się cenzurujemy i oskarżamy pomiędzy sobą, zwrócili i zużyli na pracę dodatnią ku poprawie warunków bytu, na walkę z ogromem trudności i przeszkód życiowych, jużbyśmy może dłońmi swemi usypali niejedną groblę, zabezpieczającą prawidłowy bieg rzeki dobra publicznego.

Teoretycznie możliwe jest jeszcze trzecie stronnictwo — rewolucyjne, ale praktycznie, w naszych stosunkach, mogłoby to być tylko stronnictwo szaleńców, do których miary politycznéj przykładać nie sposób. Opowiadania o takiém stronnictwie w pewném pisemku lwowskiém są, dla znających stosunki tutejsze, bajką o żelaznym wilku.

Dwa pierwsze kierunki, powyżéj określone, wyrażały się u nas dotychczas przeważnie tylko w dziennikarstwie. Tak długo nie mieliśmy innych dróg i sposobności do wyrażenia nastroju i poglądów inteligentnego ogółu, albo téż—jeżeli nawet były—tośmy je zaniedbali, że prasa z konieczności stała się u nas jedynym czynnikiem politycznym. To téż dotychczas zazwyczaj dyskusya o stronnictwach sprowadza się do sporu o kierunek i taktykę pewnych pism peryodycznych. Pisma dają firmę, one stawiają programy, one podejmują pewną akcyę, one—jedném słowem—„robią politykę”.

Ponieważ myśl polityczna wyrażała się u nas dotyczas jedynie w prasie, więc przywykliśmy publicystów-dziennikarzy uważać za urodzonych i najbardziéj powołanych polityków. „Robić politykę” znaczyło u nas dotychczas pisać artykuły, „polityką” nazywało się podkreślanie w piśmie pewnych objawów, podnoszenie znaczenia jednych, obniżanie drugich — jedném słowem, robota, ograniczona do arsenału środków dziennikarskich.

Tkwi w tém oczywiście błąd logiczny, oparty na tém, że się przyjmuje *pars pro toto*. Dziennikarstwo może być niewątpliwie czynnikiem politycznym, najprzód jako środek agitacyjny, a późniéj jako

wyraz opinii tych działaczy praktycznych, którzy z daną redakcyą w stałéj styczności i porozumieniu pozostają. Ale u nas zaledwie parę pism może być uważanych za organy stronnictw, większość zaś jest tylko wyrazem poglądów pewnych kółek dzienikarskich, które „robią politykę“ w swoich dziennikach, t. j. propagują pewne myśli na — własną rękę. Ten brak łączności z jakąkolwiek akcyą życiową zapełnia publicyście wielką swobodę zdania, ale zarazem niewątpliwie obniża doniosłość praktyczną jego działalności.

Niedawno w jednym z tygodników warszawskich ubolewano nad tém, że do polityki biorą się u nas ludzie, odrywający się od swoich zajęć adwokackich, lekarskich, przemysłowych i t. d. Zarzut to niesłuszny, bo tak się dzieje wszędzie; byłby słusznym tylko wtedy, gdyby wykazano, że c i m i a n o w i c i e lekarze, adwokaci etc., którzy się u nas polityką zajmują, nie mają do niéj odpowiednich kwalifikacyi, albo że są u nas ludzie, żadnego zawodu praktycznego nie sprawujący, a posiadający większe uzdolnienie polityczne.

Wśród polityków zachodnio-europejskich znajdujemy ludzi wszelkich zawodów. Najpoważniejsi i najdzielniejsi mężowie stanu stykali się z praktyką życia, jako zawodowi lekarze, adwokaci, inżynierowie. Najmniéj zaś ponętnym i pożądanym wydaje nam się — owszem — typ polityka-zawodowca, polityka z rzemiosła, który politykę uważa nie za środek do osiągnięcia poprawy bytu społecznego, lecz do zaspokojenia własnych ambicyi, polityka, który żyje jedynie dla polityki i z polityki.

Jeżeli więc adwokat, lekarz, przemysłowiec może posiadać przymioty, wymagane od dobrego polityka, może je miéć również i dziennikarz. Ale nie idzie za tém, by każdy dziennikarz, każdy publicysta, albo każdy kierownik pisma peryodycznego był *ipso jure* wykwalifikowanym politykiem. Utrzymywać taką zasadę, to znaczy właśnie stwarzać coś w rodzaju polityka z zawodu. Dziennikarz jest politykiem tylko o tyle, o ile się nie ogranicza do pisywania artykułów i manipulowania techniką dziennikarską, lecz o ile obok tego jest związany z życiem i umié działać praktycznie.

Słowo a czyn, publicystyka a polityka — to dwie rzeczy różne, wymagające różnych uzdolnień i różnych warunków działalności. A warunki, w jakich się odbywa praca dziennikarska, cała ta, że tak się wyrażę, papierowo-drukarska atmosfera, oderwanie od życia praktycznego, nałóg widzenia rzeczy w formie frazesu, gorączkowość pośpiechu, ekscytacye współzawodnicze — wszystko to nie sprzyja bynajmniéj wyrobieniu przymiotów dla politycznego działacza niezbędnych.

Dlatego to zapewne, chociaż wielu polityków uprawiało niwę dziennikarską, ale z dziennikarzy zawodowych wyrosło bardzo niewielu wybitnych mężów stanu.

Zawód dziennikarza nietylko u nas, ale wszędzie wyrabia pewne nałogi i właściwości, w zawodzie politycznym niezbyt pożądane. Więc najprzód świerzb językowy, niepowstrzymana chętka do wywlekania wszystkiego na arenę dyskusyi publicznéj, nieraz ze szkodą saméj sprawy. Powtóre, upodobania literackie, skutkiem których rzecz, wymagająca całéj jasności i trzeźwości sądu, tonie nieraz w potokach łatwéj swady, komunałów i efektownych zwrotów frazesowych. Nareszcie koteryjność, płynąca ze współzawodnictwa bądź publicystycznych ambicyi, bądź zgoła interesów wydawniczych, nie zawsze zgodnych z interesem publicznym.

Skutkiem tych nałogów i specyficznych właściwości dziennikarstwa, widzimy, jak nieraz najczystsza, najpoważniejsza sprawa schodzi do rzędu felietonowego „tematu", staje się przedmiotem mniéj lub więcéj udatnéj „literatury", aż w końcu, niechybnie, wybucha całą siłą zjadliwa i gorsząca kłótnia. I dziś, jak niegdyś w Dobrzyńskim zaścianku, o dobru pospolitém dopóki jest rada, nie można się rozmówić—wnet gotowa zwada.

Z uwag powyższych jakiż płynie wniosek? Oto ten, że społeczeństwo nie może, nie powinno kierownictwa spraw swoich powierzać dziennikarzom. Że nad przebiegiem tych spraw czuwać powinni nietylko polityczni rozprawiacze, lecz grupy działaczy praktycznych, nie deliberujące, lecz pracujące w sposób realny nad poprawą bytu społecznego. Że i wśród tych grup wytworzyć się powinni specyaliści nie do ogólnego politykowania, lecz do pewnych poszczególnych zagadnień i potrzeb społecznych. Takie grupy mogą się skupiać około pewnych pism—dopóki inne formy działania obmyśléć się nie dadzą. Ale bezwarunkowéj dyrektywy w ręku dziennikarzy pozostawiać nie należy.

Że sama prasa odczuwa niekiedy niebezpieczeństwo załatwiania spraw praktycznych w drodze rozpraw dziennikarskich, dowodem tego chociażby sprawa pomnika dla Mickiewicza. W samym początku zaczęło się od takiego sejmikowego rozstrzelenia głosów, od takiego mnóstwa zdań i projektów, że mieliśmy przedsmak tego, coby się było stało, gdyby i daléj cała sprawa w drodze dziennikarskiéj dyskusyi prowadzoną była. Na szczęście jednak, z chwilą rozpoczęcia działania komitetu, który uchwalił zawiadamianie ogółu o postanowieniach zapadłych i faktach dokonanych, prasa umiała nakazać sobie

wstrzemięźliwość, pozostawiając rzecz całą tym, którzy do działania powołani zostali.

Zebranie miliona rubli na upamiętnienie pobytu Najjaśniejszych Państwa, a potém organizacya uroczystego wjazdu i dekoracyi miasta odbyła się także bez udziału prasy. Organizacyę stanowili tu działacze praktyczni—adwokaci, kupcy, lekarze, przemysłowcy, nawet i literaci, ale dyskusyi ani propagandy dziennikarskiéj nie było. I znaleźli się działacze praktyczni — nie publicyści, którzy poprowadzili akcyę tak, jak nie wiem, czyby dziennikarze poprowadzić umieli.

Nie myślę obniżać znaczenia prasy, zwłaszcza u nas, gdzie ona zastępuje wszelkie instytucye deliberacyjne, témbardziéj teraz, gdy pozyskała właśnie większą swobodę głosu. Wolna prasa—to jawność, to krytyka, to trybuna. Prasa może być niezmiernie ważnym czynnikiem politycznym, o ile się wiąże z akcyą praktyczną pewnego stronnictwa,—jeżeli zaś tego związku nie ma, pozostaje luźnym głosem publicysty. I w pierwszym i w drugim razie nie powinna miéć ani monopolu polityki, ani jéj steru.

Publicyści powinni „robić" publicystykę, ale politykę — politycy.

Polityka prawdziwa, rzeczywista — to przecież nie te ćwiczenia dyalektyczne, które uprawiają w „przeglądach" i artykułach wstępnych specyalni referenci dziennikarscy. Ani ta nawet, o któréj nam podają codziennie telegramowe i pocztowe wieści z całego świata. To nie wynurzenia téj lub owéj gazety, po za któremi szukamy zawsze wpływowego inspiratora, ani ta gadanina parlamentarna, obliczona na efekt oratorski lub na skandal. Prawdziwa polityka zagraniczna — to tajne układy międzymocarstwowe, a w stosunkach wewnętrznych — o które nam na teraz wyłącznie chodzi—to zarząd kraju, wykonywanie ustaw i obmyślanie reform, to wreszcie wszelka robota praktyczna, ku poprawie stosunków społecznych zmierzająca. Taka polityka rodzi się i rozwija nie w prasie i nie na trybunie parlamentu, lecz w gabinetach mężów stanu, w komisyach złożonych ze specyalistów, w urzędach i instytucyach, wreszcie w czynach obywatelskich grup społecznych.

Politykę wykonywają nie bogowie i nie automaty, lecz ludzie, rządzący się pewnemi motywami, lepiéj lub gorzéj poinformowani, zależni od różnych względów. Działając więc na te motywy, dostarczając lepszych informacyi, biorąc na uwagę owe względy, można zawsze wywierać wpływ na politykę — chociażby tylko pośredni i daleki. W każdém więc położeniu znajdzie się pole, a choćby tylko drożyna,

po któréj dobra wola obywateli może zdążać ku poprawie warunków politycznego bytu—czasami z lepszym skutkiem, częstokroć wśród niepowodzeń.

Otóż my—zdawszy całą troskę polityczną na dziennikarzy, o takiéj praktycznéj polityce myśleliśmy dotąd bardzo mało. W tych nawet instytucyach, do których dopuszczono współudział pierwiastku obywatelskiego, nasi przedstawiciele nie zawsze fachową znajomością rzeczy, pracą i energią osobistą stali na wysokości zadania, ograniczając się w razie napotykanych trudności do rozkrzyżowania ramion i ustępując bez walki. A w samém dopominaniu się o ścisłe wykonywanie prawa czyśmy wyczerpywali wszystkie możliwe instancye?. Załatwienie mnóstwa najpilniejszych potrzeb społecznych odkładaliśmy do czasu poprawienia się warunków ogólnych, ale celem poprawy tych warunków robiliśmy zbyt mało. Wszyscy oglądali się na prasę, a że prasa musiała milczéć, więc obywatele opuścili ręce, nie mogąc się zdobyć na żadną samoistną inicyatywę. Dopiéro gdy chodziło o interes prywatny, niejeden umiał znaléść energię, wynajdywać drogi i środki. Sprawy publiczne popieraliśmy... wzdychaniem i narzekaniem.

Otóż z politycznego impulsu, nadanego naszemu życiu publicznemu w ostatnich czasach, odnieśliśmy między innemi tę wielką korzyść, że, obok zwiększenia swobody dyskusyi dziennikarskiéj, zakrzątnięto się także około właściwéj roboty politycznéj, że obok pracowników pióra, ludzi słowa, zarysowała się także pewna grupa ludzi czynu, o sprawie publicznéj myślących. Należy tu stwierdzić, że wyjazd delegacyi w początkach rządów obecnie panującego Monarchy był pierwszém ogniwem, pewną łączność ludzi tych zadzierzgającém. Organizacya 46-ciu członków komitetu do zbiérania składek była ogniwem drugiém. Po za nią stanęło ośmiuset delegatów, po za tymi 100 tysięcy ofiarodawców. Formacya zasadnicza była z konieczności dorywczą i luźną. Nie objęła wszystkich do kierownictwa spraw publicznych uzdolnionych, wśród powołanych zaś, zapewne, zachodziły różnice uzdolnienia. Ale w trakcie dyskusyi i roboty dokonało się samo przez się zróżniczkowanie żywiołów składowych, z pośród których sama siłą rzeczy i wartości osobistéj wybiły się jednostki, przeważające inteligencyą, powagą zdania lub pracowitością.

Organizacya ta już nie istnieje, ale pozostał po niéj zbawienny wpływ zetknięcia się ludzi o dobro publiczne dbałych. Pozostało zadowolenie spełnionego obowiązku publicznego i zachęta do dalszéj pracy. Zarysowały się poglądy i stanowiska, ludzie się poznali i wiele

zasadniczych punktów ustalili. Wytworzyły się więc kadry, wytworzył się materyał na pracowników życia publicznego.

Ten zawiązek pewnego stronnictwa, zawiązek bardzo luźny, bo w żadną organizacyę nie ujęty, raczéj duchowy niż formalny, powinien ożywić intencye pracowania dla sprawy publicznéj. Powinien zwłaszcza poruszyć lub wytworzyć ludzi fachowych, specyalnie z różnemi kwestyami społecznemi i stosunkami krajowemi obeznanych. Potrzeba takich ludzi daje się coraz żywiéj odczuwać, ilekroć w danéj sprawie zjawia się konieczność dostarczenia argumentów rzeczowych, liczbowych, faktycznych.

Przy takiém powołaniu nowych pracowników z pośród ludzi czynu, prasie naszéj bynajmniéj roboty nie ubędzie. Owszem, przybędzie jéj znacznie. Musi ona tém gorliwiéj pełnić swoją właściwą rolę informatora, dysputanta, krytyka i propagatatora, ale zdejmie z bark swoich ciężar wcielania w życie polityki praktycznéj, który przechodzi jéj siły i jéj zadanie.

Dziennikarze, za pomocą jawności, przez informowanie i dopominanie się, mogą oddać niepospolite, niezastąpione usługi sprawie publicznéj. Ale pozostawić tę sprawę ich wyłącznéj pieczy i staraniu znaczyłoby tyleż, co powierzyć ster nawy państwowéj parlamentarnym retorom. Dziennikarze powinni pisać i rozprawiać — działać powinni ludzie czynu.

W zakresie średniego wykształcenia technicznego otrzymaliśmy, dzięki obywatelskiéj inicyatywie i ofiarności pp. Wawelberga i Rotwanda, szkołę wzorowo urządzoną i hojnie uposażoną, któréj uroczyste otwarcie odbyło się w ubiegłym miesiącu.

Jako zaś uwieńczenie gmachu wykształcenia zawodowego, mamy pozyskać w kraju naszym wyższą szkołę politechniczną. W sferach rządowych sprawę tę w zasadzie już podobno zdecydowano. Podstawę materyalną nowéj instytucyi da może przeznaczenie na ten cel miliona rubli, zebranego na upamiętnienie pobytu w kraju naszym Najjaśniejszych Państwa. Fundusz ten miał być użyty na instytucye dobroczynne, mianowicie na domy schronienia dla starców i kalek; gdy wszakże założenie instytutu politechnicznego stało się możliwém i prawdopodobném, a postawione w zależności od dostarczenia przez społeczeństwo środków materyalnych, gdy nadto przekonano się, że kraj cały z upragnieniem otwarcia wyższéj szkoły zawodowéj wygląda, komitet, który się zbieraniem składek zajmował, zdecydował się powrócić

do pierwotnéj swéj myśli, w tém przeświadczeniu, że politechnika stanie się rzeczywistą instytucyą użyteczności powszechnéj.

Tu i owdzie w prasie rzucono pytanie, czy nie należałoby przyszłéj politechniki otworzyć raczéj w Łodzi, niż w Warszawie. Naszém zdaniem, poruszenie téj kwestyi świadczy tylko, że Łódź odczuwa także potrzebę szkoły zawodowéj. Gdy jednak chodzi o wybór pomiędzy Łodzią a Warszawą, pierwszeństwo należy się niewątpliwie Warszawie.

Argument, przytoczony przez korespondenta „Kraju", mianowicie „duże moralne znaczenie wyższego zakładu naukowego w takiém mieście jak Łódź", nie może być decydującym dlatego, że tu chodzi przedewszystkiém o samą politechnikę, o postawienie zakładu i jego wychowańców w warunkach możliwie najkorzystniejszych.

Za otworzeniem politechniki w Warszawie przemawiają: 1) lepsze warunki hygieniczne (Łódź nie posiada wody), oraz tańsze i łatwiejsze środki utrzymania dla studentów; 2) możność korzystania z laboratoryów, gabinetów, pracowni, bibliotek w Warszawie istniejących; 3) możność utrzymywania pewnego związku z istniejącemi w Warszawie szkołami technicznemi, niższemi i średnią, którym przyszła politechnika dostarczyć winna właściwego kontyngensu nauczycieli i 4) większa różnorodność zakładów fabrycznych w obwodzie warszawskim, podczas gdy przemysł łódzki rozwinął się jednostronnie, przeważnie w kierunku przędzalniczo-tkackim.

Łodzi należy życzyć wszystkiego dobrego, choćby i drugiéj politechniki w przyszłości. Ale tymczasem starać się ona winna o szkołę specyalną przędzalniczo-tkacką, na wzór téj, jaka istnieje w Mülhuzie, może jeszcze z dodaniem oddziału farbiarstwa.

Co się tyczy typu, wedle którego ma się ukształtować politechnika warszawska, najwłaściwszém wydaje się nam przyjęcie gotowego wzoru organizacyi, jaki posiadamy w politechnice rygskiéj. Organizacya ta w praktyce okazała się bardzo dobrą, praktyczną i elastyczną, nie ma więc potrzeby szukać czegoś nowego.

Jakie wydziały są najpilniejsze? oczywiście zasadnicze: mechaniczny i chemiczny, a nadto ze względu na brak u nas szkoły budownictwa, obok rozwoju miast i nowopowstających fabryk — wydział budowlany.

Po za tém, przy organizacyi przyszłéj politechniki należy mieć na względzie rolniczy charakter naszego kraju, niedostateczność wyższego wykształcenia agronomicznego, uznaną przez powagi naukowe wyższość studyów rolniczych przy zakładach ogólnych nad specyalnemi

akademiami rolniczemi (patrz artyknł p. Grabskiego we wrześniowym zeszycie „Ateneum"), wreszcie i tę okoliczność, że wśród ofiarodawców, którzy złożyli zakładowy ów milion, „jest znaczna część rolników. Te względy przemawiają za otwarciem przy politechnice, jeżeli nie osobnego wydziału agronomicznego (jak w Rydze), to przynajmniéj studyum rolniczego, z wykładami chemii rolniczéj, botaniki i fizyologii roślin, z pracowniami doświadczalno-przyrodniczemi, z uwzględnieniem wreszcie przemysłu rolnego i robót melioracyjnych, do których potrzebni są tak zwani „inżynierowie kultury".

Tak uorganizowana politechnika będzie potężną dźwignią ekonomicznego postępu kraju.

Ludomir Grendyszyński.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Ноября 1897 г. — Druk Jana Cotty.